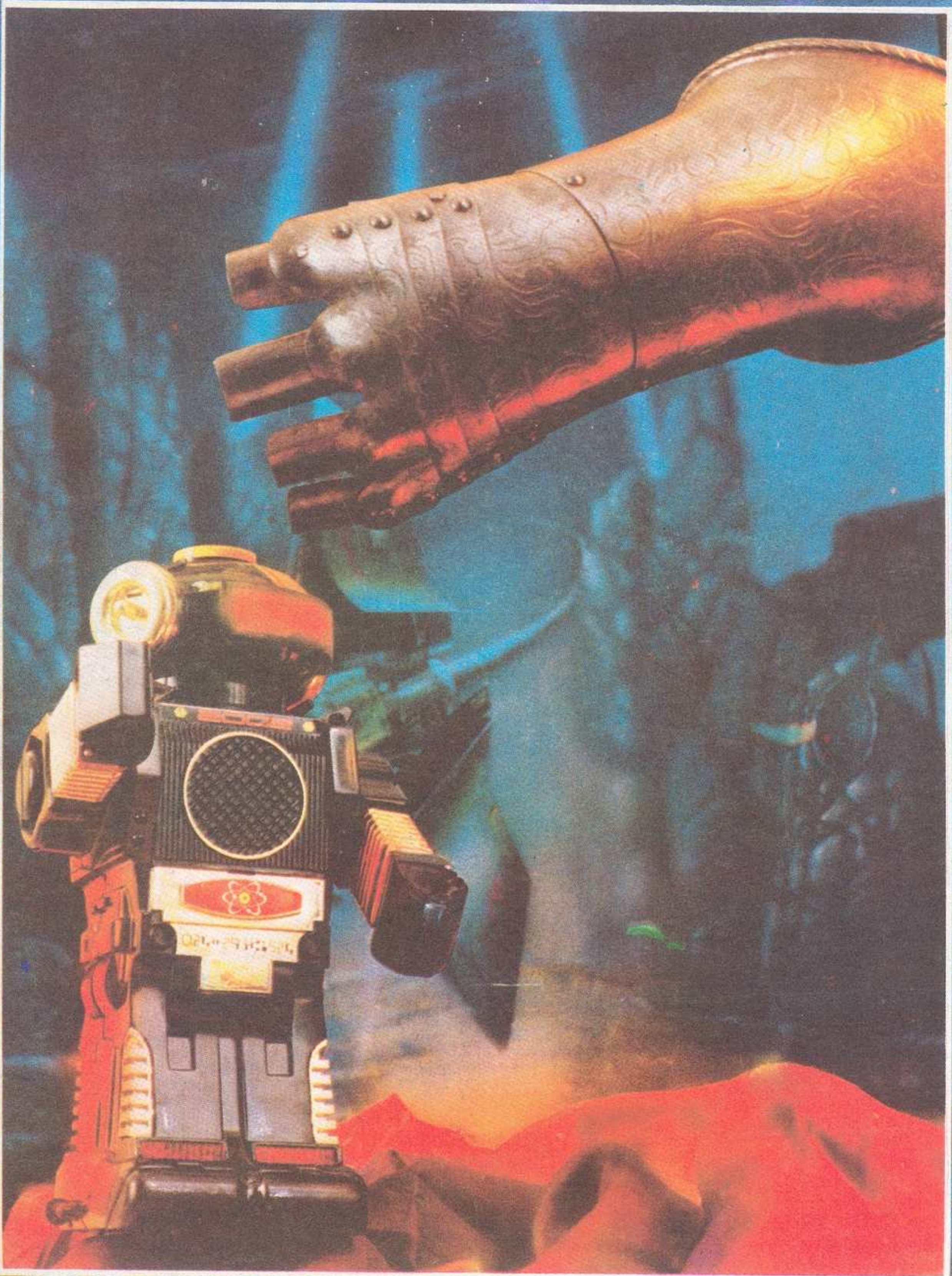
MIESIĘCZNIK

fantastyka

1(52) STYCZEŃ 1987 CENA 80 ZŁ

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



ZALEJSKI ● ROGIŃSKI



Maria – robot z filmu METROPOLIS Fritza Langa

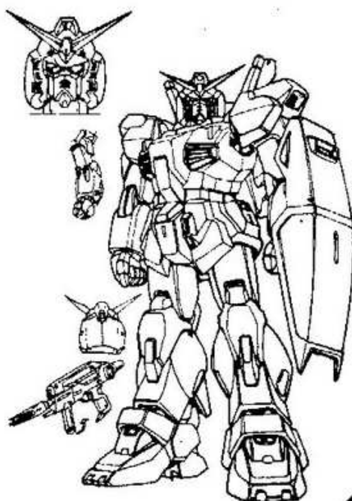
mówiąca lalka mechaniczna – 1794



Lepsze niż CZŁOWIEK...

Trzy prawa robotyki:

1. **Robot** *nie może wyrządzić nic złego człowiekowi ani też przez brak czynnej reakcji dopuścić, aby człowiekowi stała się krzywda.*
2. **Robot** *musi wykonać każdy rozkaz człowieka, pod warunkiem, że rozkaz ten nie jest sprzeczny z Prawem Pierwszym.*
3. **Robot** *ma obowiązek chronić przed uszkodzeniem lub zniszczeniem swój mechanizm i powłokę, jeżeli taka ochrona nie koliduje z Prawem Pierwszym i Drugim.*



Tym razem w naszej „Galerii" wizerunki automatów, robotów i sztucznych ludzi. Tych już skonstruowanych i tych widzianych oczami malarzy, grafików, ilustratorów różnych epok. Niektóre z przedstawionych podobizn ocierają się o granicę kiczu, inne są sztuką stosowaną lub mają wartość zaledwie historyczną i budzą uśmiech jak stare powieści Verne'a. Jeszcze inne fascynują, przyciągają uwagę, niepokoją. Spotkanie robotów i ludzi już nastąpiło. Jaki będzie świat przyszłości? Czy taki, jakim wyobrażają go ilustratorzy Sf?

Galeria „Fantastyki" – Lepsze niż człowiek...

Opowiadania i nowele

Powieść

Z polskiej fantastyki

Krytyka

Nauka i SF

Film i fantastyka

...3...2...1...



Nie chcę być naiwnym obrońcą czy też chwalcą fantastyki, uważam bowiem tę naszą dziedzinę pisarstwa lub powiedzmy bez żenady, literatury – za w pełni dojrzałą do samoobrony, nawet wobec najbardziej „sophisticated" ataków krytyki. Niechby to była krytyka elitarna, stawiająca na zjawiska najważniejsze historycznie. Jakkolwiek wydaje mi się, że w dzisiejszym pojęciu ataku krytyki tkwi przede wszystkim jego literackość, jego zindywidualizowanie – najważniejsze – jak w każdym akcie twórczym. Trudno więc w takich warunkach antycypować kto będzie wielkim pisarzem, a kto odpadnie z konkurencji historycznej. Zwracałem zresztą już nieraz na tych łamach uwagę na szybką rotację idoli pisarskich: ci, których wyczytywano do imentu i uważano za najważniejszych – utykają dzisiaj zbyt często w pięknych oprawach na półkach prywatnych bibliotek, jako przedmiot snobizmu, lecz absolutnie nie emocjonalnych czy intelektualnych olśnień.

Niestety, dla mnie osobiście niestety, choroba szybkiego przemijania, stająca się coraz bardziej naturalnością, zwyczajnością, dotyka największych pisarzy, zarówno światowych, jak i rodzimych. I trudno na to cokolwiek poradzić. Siłą nie da się nikogo przekonać do lektury trudniejszej, bardziej ekskluzywnej niż ta, którą wszyscy kochają. Zresztą tak bywało nie tylko dzisiaj, zakazane książki zawsze zaczytywano w szkole pod ławkami, mimo grożących dwój, a wiedzę o oficjalnie wynoszonej na piedestał literaturze czerpali młodzi jakże często jedynie z bryków. Nie przeczerniajmy więc obrazu teraźniejszości. Fantastyki zresztą broni chociażby fakt wydania przez nią najpopularniejszego na świecie pisarza polskiego współczesności, jakim jest bez żadnych wątpień Stanisław Lem, a wyszedł on przecież, wyrósł z masowej pop-literatury, tak ciągle pogardliwie traktowanej przez naszych elitarnych krytyków. Ale nie przez wszystkich intelektualistów bynajmniej. Jako że Lema czytują w kraju, a przede wszystkim na świecie właśnie ci najbardziej zaawansowani intelektualnie. I to jest fakt, powtarzam fakt bez precedensu w innych dziedzinach naszej literatury, a może i literatury ogólnoświatowej.

A więc fantastyka, dziedzina nowa w swej karierze na naszym rynku czytelniczym i pisarskim, wydała już człowieka aspirującego do historycznej nieprzemijalności. Krótszej czy dłuższej – to już inna sprawa. Z jakimi faktami literackimi „normalnego obiegu" da się ten ewenement fantastyki porównać?

Piszę to wszystko pod wrażeniem niezwykłej literackiej wiwisekcji dokonanej przez elitę krytyków i publicystów na małej grupce młodych twórców, którzy zaprezentowali swoje fantastyczne utwory w najnowszym almanachu „Iskier", ułożonym przez Mirosława Kowalskiego. Rolę wprowadzających spełnili pisarze średniego pokolenia już znani, już częściowo uznani. Nie będę tutaj podawał nazwisk, nie o nie mi bowiem chodzi, lecz o samą istotę sprawy. W kilku dotychczas pokazanych almanachach „Iskier", poświęconych młodej i najbardziej obiecującej rodzimej sztuce pisarskiej – przewinęła się cała plejada mniej lub bardziej obiecujących talentów. Mimo bardzo skromnego nakładu tych almanachów, nie były one jednak rozchwytywane, podobnie zresztą nie został od razu na pieńku sprzedany almanach (podobno ostatni – dlaczego?) z fantastyką, jakkolwiek wystąpili w nim ci sami autorzy, których drukujemy na łamach „Fantastyki", czasopisma – nie piszę tego, aby się chwalić – sprzedawanego w kioskach raczej spod lady. Dziwne zjawisko? Znowu niespodzianka? Czyżby nowatorstwo poprzednich almanachów zraziło do tego stopnia czytelników, że nie bardzo kwapili się do rozkupywania prozy – nawet fantastycznej – w wydaniu „iskrowego" almanachu? A więc dokumentami, dowodami stały się te almanachy z dziedziny socjologii odbioru literatury współczesnej?

Szkoda, że ciekawa inicjatywa ich periodycznego pojawiania się na rynku księgarskim ma się na fantastyce zakończyć, szkoda, że nie zapowiada się kontynuacji – może w nieco zmienionej formie – tych wydawnictw, chociażby pełniły one w końcu jedynie rolę eksperymentu ze sztuką najnowszą, z pisarstwem najmłodszych. Natomiast dobrze się stało, że do wiwisekcji na młodocianych autorach fantastyki współczesnej zaproszono elitę oceniających. W takich ostrych operacjach właśnie odsłania się bowiem nie tylko idee i warsztaty samych początkujących, tych poddanych wiwisekcji, lecz także i ich operatorów. Mimo woli nasuwają się tutaj porównania z klasycznymi dziełami sztuki malarskiej przedstawiającymi czy to scenę z prosektorium, czy też mistrzów, nakłuwających nagą, poddaną sądowi czarownicę w poszukiwaniu na jej ciele miejsc bardziej i mniej bolesnych. W tym szaleństwie jest metoda, takie rzeczy przechodzą, jak widać, w różnych potem formach do potomności.

Nie mam zamiaru tutaj kruszyć kopii o literacką wartość poszczególnych utworów młodej literatury fantastycznej. Zdania o niej areopagu znawców, którzy wypowiedzieli się w almanachu „Iskier", były bardzo zróżnicowane – od jawnej niechęci, przesądzającej à priori wszelkie oceny, po pełną życzliwość dla nowych treści i sposobów tkwiących na przykład w prozie o charakterze – w tym przypadku – wybitnie erotycznym. Zresztą i my też, publikując młodą i nie tylko młodą literaturę fantastyczną na łamach naszego pisma mamy zawsze do niej stosunek krytyczny, czemu daję wyraz w tych wstępnych felietonach. Myślę jednak, że krytykując fantastykę w naszym piśmie robimy to pozbawieni kompleksu Amadeusza. To znaczy sami, jako autorzy utworów fantastycznych, nie stawiamy się nigdy w roli Salieriego, pragnącego za wszelką cenę wykazać swoją wyższość intelektualną czy przewagę (fizyczną?) nad Amadeuszem. W sumie jednak pożyteczne bywają konfrontacje elity z powszechnością i od czasu do czasu nawet wiwisekcja nie zawadzi. Jakkolwiek określanie wartości utworów pisarskich i w ogóle dzieł sztuki (czy także sztuczki) operuje różnorodnymi skalami, wśród nich zaś ocena typu „to mi się podoba, a to nie" (zastosowana w ocenie utworów fantastycznych almanachu przez czołowego krytyka z kręgu „Twórczości") zajmuje także niepoślednie miejsce. Nie sposób oddzielać wartościowań intelektualnych od emocjonalnych, o czym nieraz się zapomina. I to tyle na dzisiejsze orbitowanie wokół antologii fantastyki z „Iskier". Kto wie czy jeszcze jakieś jej egzemplarze nie tkwią na półkach księgarń. Warto je natychmiast wykupić. To nie jakaś reklama – to tylko chęć przekazania naszym Czytelnikom rzeczy inaczej podanej niż większość książek fantastycznych.

10 – 9 – 8 · 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

MIESIĘCZNIK LITERACKI
Fantastyka

Redaktor naczelny: Adam Hollanek. **Zespół redakcyjny:** Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Lelała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Wiktor Malski, Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nacz.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Darosław J. Toruń, Marek Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6,
Telefony: 25-34-75 (red. nacz., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nacz., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy, tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch", Łódź, ul. Armii Czerwonej 28. Zam. 3745/86. P-31.

Nakład 150 000

NR INDEKSU 35839 PL ISSN 0209-1631 Oddano do składu 27 października 1986 r.

LĄDOWANIE XLVII

To już styczeń 1987 roku, jak ten czas leci. Piąty rok od wydania pierwszego numeru „Fantastyki", a kończy się czwarty tych naszych wspólnych lądowań, w czasie których rozwija się dyskusja, dotycząca pisma i problemów przez nie eksponowanych. Długo, jako podstawa do dyskusji, będą nam służyły głosy czytelników nadesłane w odpowiedzi na drugi sondaż. Trochę z nich już zacytowaliśmy, wprawdzie najczęściej wyrywkowo, z powodu zalecanej zresztą w listach zwięzłości. Dziś więc może trochę miejsca na propozycje niecodzienne, nadzwyczajne lub wręcz dziwaczne. Rozrzut zawodów i zainteresowań naszych Czytelników jest jednakże tak duży, że w gruncie rzeczy nawet skrajnie brzmiącym propozycjom warto poświęcić choćby trochę miejsca.

Więcej pogranicza

Diabli będą brać prawdziwych fanów, gdy przeczytają tę moją korespondencję, a niech ich biorą, czy tylko dla nich jest to pismo, czy wszystkie w nim zawarte materiały powinny dotyczyć czystej science fiction lub nawet niezbyt czystej, ale za to jakże naiwnej – fantasy. To już na nic innego nie może być placu? Dajecie nieśmiało w dziale „pożółkłych kartek" czy w ramach krytyki rzeczy z pogranicza fantastyki i głównych nurtów literatury (jeśli w ogóle powinno się wprowadzać taki podział), pisaliście o Witkacym, który absolutnie fantastą w sensie klasycznym nigdy nie był, pisaliście o Borgesie, o literaturze iberoamerykańskiej, zamieszczacie fragmenty zaledwie prozy i to mało mające z fantastyką wspólnego, autorów z pogranicza czy nawet spoza pogranicza. Nie macie jednak dotychczas odwagi, aby choćby dla porównania z fantastyką na przykład młodych pisarzy polskich, zamieścić od czasu do czasu utwory prozy zwyczajnej, niefantastycznej. W ten sposób „Fantastyka" nabrałaby rumieńców współczesności i w pełniejszy sposób spełniała swoje literackie obowiązki wobec szerokiej publiczności, przez którą także bywa czytana, nie jedynie przez samych fanów. Rozważcie tę propozycję.

***Jan Ciech** wraz z grupą polonistów z Południa Polski*

Skazani na przypadek

Polityka naszych wydawnictw przypomina mi nasze rybołówstwo. Jedzie się w siną dal morską i zagłębia sieci, odławiając przypadkowo trochę okazów fantastyki. Stąd i powtórzenia całkiem bezsensowne (także i u Was), i dublety (także u Was), i fatalny sposób na poszukiwanie i prezentację młodych talentów (nie u Was). Myślałem, że jak wychodzi takie czasopismo literackie jak „Fantastyka" to wpłynie lub próbować będzie wpłynąć na to, co się w kraju wydaje. A także co naszego powinno wychodzić za granicą.

Tymczasem każdy tak robi jak ci nasi rybacy (...). Partyzantka, że nie daj Boże. Są wydawnictwa, specjalizujące się w wydawaniu staroci, tylko dlatego, że za to się autorom nie płaci, a SF i tak w księgarniach poleci, każdy głupi ją kupi. Inni publikują dzieła swoich znajomków, początkujących, przypadkowo wpisanych na listę twór-ców" (tfurców) fantastyki. Dzieciuchów, którym się zdaje, że każdy, kto ma trochę wyobraźni, może zostać pisarzem. (...) Najgorzej zresztą z tym dzieje się w fanzinach. Dlatego bardzo się dziwię nagrodom „Fantastyki" dla różnych fanzinów, za ich utwory-potwory. O tłumaczeniach, o ich jakości lepiej w ogóle nie wspominać, to już chałupnictwo najwyższej marki, wszystko źle po polsku, źle w odniesieniu do oryginałów i to się jeszcze za grube słowy sprzedaje jako „wydawnictwa klubowe". (...) Ja bym tych wszystkich wziął za ... i dwadzieścia pięć na goło wsypał, bezwstydne to, bezczelne i...

*Stały czytelnik **Jerzy Torasiewicz***

Skróty i opuszczenia epitetów w wykonaniu redakcji.

Wyrzućcie plastykę

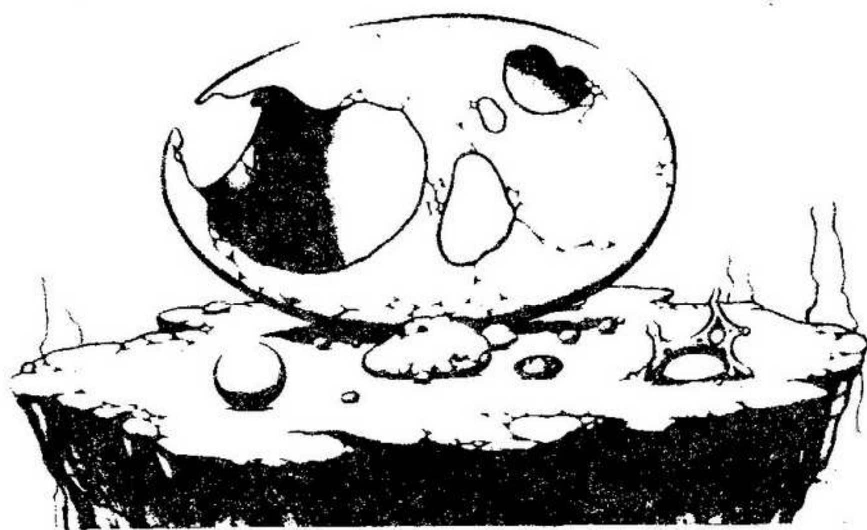
Komu to się u Was, panie Hollanek, zdaje, że stworzył nową szkołę polskiej fantastyki? I pan takim także potakuje. A przecież to bujda na resorach, pic i nawalanka. Jeszcze jaka nawalanka. Huśtanie się na granicy lub już za granicą kiczu. Jakieś porozbierane niby-księżniczki, jakieś rozbebeszone urządzenia techniczne, nie wiadomo do czego służące, jakiś pan z Francji kokietujący gołymi pośladkami swoich bohaterek. Po co to wszystko?

Ja rozumiem, że Wy musicie mieć jakieś okładki i musicie popozować trochę na zagranicę, ale co to z polską szkołą ma wspólnego? Proszę bardzo, niech się na okładkach śliskich i z połyskiem odbywają te wszystkie zabawy w plastykę, choć czasem to i płakać się chce, gdy Wasi, pożal się Boże „turpiści" demonstrują nam, czytelnikom poszukującym pogody życia, nagie kości. Jeśli z tych kości zrezygnujecie, to bym Wam pozwolił na okładki takie jak dotąd, chociaż mało wyliczyłbym, gdyby mnie zapytano, które z nich ciekawe. W sondażu wziąłem udział i rąbnąłem, że żadna okładka mi się nie podoba i oczywiście nie dostanę pewno za to nagrody, ale co mi tam z tych książeczek, które możecie kupić w księgarniach. Barachło! Po co jednak, w jakim celu zagracacie wnętrza pisma podłą makulaturą, nie najlepszymi dziełami szkoły polskiej (na czym ta szkoła polega?) zamiast dawać dobre teksty, do czego przede wszystkim jesteście powołani i z tekstami najczęściej trafiacie w dziesiątkę. Zastanówcie się, nie dawajcie zarobić partaczom, a i zawodowcy nasi z największymi, „światowymi nazwiskami" nie lepsi. Cześć pracy.

***Józef Wisłocki** z Krakowa*

To oczywiście jeszcze nie cała porcja wydziwiań, nieco innych niż zazwyczaj, niektórych wartych dyskusji, wartych zajęcia stanowiska zarówno przez redakcję jak i przez samych Czytelników. Wobec tego czekam i nie komentuję. Zwłaszcza że chowam w zanadrzu jeszcze jedną porcję takiego jak powyższy pasztetu dla Szanownego Państwa i dla nas do przełknięcia.

Redaktor



Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Papugi

Wydawnictwo „GLOB", Oddział ZLP, Zachodniopomorski Oddział Stowarzyszenia Marynistów Polskich w Szczecinie oraz Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie ogłaszają V Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Jana Papugi na opowiadanie sensacyjno-rozrywkowe dla czytelnika młodzieżowego i dorosłego.

- Konkurs ma charakter otwarty.
- Utwory przysyłane na konkurs powinny mieć objętość nie mniejszą niż 1 arkusz autorski (ok. 22 stron znormalizowanego maszynopisu).
- Utwory konkursowe nie mogą być dotąd nigdzie publikowane (nawet we fragmentach).
- Każdy autor może nadesłać dowolną liczbę prac.
- Do pracy konkursowej należy dołączyć zamkniętą kopertę z uwidocznionym na niej godłem, zawierającą imię i nazwisko oraz adres autora.

Organizatorzy przewidują następujące nagrody: I – 40 tys. zł, II – 30 tys. zł, trzy III – po 20 tys. zł, pięć wyróżnień po 15 tys. zł. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Maszynopisy utworów w 3 egzemplarzach (opatrzone godłem) należy nadsyłać do **20 stycznia 1988** pod adresem: **Zarząd Oddziału ZLP w Szczecinie, ul. Łukasiewicza 8, 71-317 Szczecin**, z dopiskiem: Konkurs Literacki.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w maju 1988 r. Organizatorzy zastrzegają sobie pierwszeństwo publikacji.

powinna brać, że to nic nie pomaga i że żadnych więcej prochów, ale mnie błagała. To co miałem zrobić? Przecież ją kochałem!

Nie patrzył już na drogę tylko w dół, na swe znoszone buty.

– Ona mnie błagała, człowieku! No, więc coś jej tam dałem. I kiedy nie patrzyli, wzięła wszystko na raz. Zwyczajnie, wszystko. Zrobili jej płukanie, ale w środku już nic nie działało. Usłyszałem o tym dopiero dwa dni temu i aż mnie poraziło. Tylko ja ją kochałem i nawet mi nic nie powiedzieli! Musiałem dopiero pójść do jej pokoju i zobaczyć puste łóżko. Jezu! Sterczałem koło związku taty, ktoś coś komuś powiedział i znalazłem ją na liście. Dolna Droga.

– Ja tam z tych dodatków nie korzystam – powiedziałem po prostu po to, żeby było jasne, że nic nie mogę mu pomóc. – Ci z tyłu mają wystarczająco wiele zmartwień beze mnie. Sądzę, że związek posunął się w tym trochę za daleko.

– Założe się, że myślą, że możesz poczuć się samotny, potrzebować jakiegoś towarzystwa – powiedział Billy cicho, patrząc mi w oczy. – Ja nie skrzywdzę tych ludzi z przyczepy. Może dam im szansę, żeby... no wiesz... żeby sobie to wszystko jeszcze raz przemyśleli. Może dam im parę godzin ulgi, odpoczynku od Pick...

– Słuchaj, parę godzin nic nie znaczy w porównaniu z wiecznością. Nie jestem taki pewien, czy z czasem do nich nie dołączę, a jeśli tak, to chcę, żeby wszystko poszło gładko, żeby mnie nikt nie wyciągał z przyczepy i nie pchał tam z powrotem.

– Racja, rozumiem cię, rozumiem, jak to jest. Ale ona może jechać właśnie teraz i wszystko, co powinieneś zrobić to tylko...

– Wystarczy, że muszę prowadzić ten wóz chciałem po prostu zmienić temat.

– No. Jak to się stało?

– Kilka wypadków, składka ubezpieczeniowa poszła w górę, nie dałem rady z opłatami i składką i w końcu zabrali mi ciężarówkę.

– Mogłeś jeździć bez ubezpieczenia.

– To nie ja. No i zaczęło się gadanie. Żadna firma nie chciała mnie wynająć. Poszedłem do związku, chciałem zobaczyć, czy nie mogą mi pomóc. Powiedzieli, że jestem skończony, albo dam sobie spokój z szoferką, albo – wzruszyłem ramionami – to. Nie mogłem rzucić szoferki. Ciężko teraz dostać pracę. Dużo bezrobotnych. Nie mogłem wyobrazić sobie siebie na taryfie, w wielkim mieście.

– Nie, człowieku – powiedział Billy, znów kiwając się cały w potwierdzającym geście i śmiejąc się współczująco.

– Dali mi zaliczkę. Starczyło na wpłacenie pierwszej raty na wykup wozu.

W silniku coś zazgrzytało, ale ciężarówka trzymała się kupy. Za górami, za bardzo malowniczą, jakby wyjętą ze starego sztychu przełęczą, w bardzo kamienistej dolinie leżało Miasto.

– Myśle, że lepiej będzie jak tu wysiądę. Zaczepię się w jakimś innym wozie, popytam kierowców – powiedział Billy.

– Ja tam poczułbym się lepiej, gdybyś się stąd ze mną wyniósł. Chcesz rady? – Kiepski zwyczaj. – Wracaj do domu.

– Nie. Nie bez Sherill. Spróbuję coś załatwić. Ja zostanę, ona pojedzie Górną Drogą. Takie są tam reguły gry, nie?

Na szczycie przełęczy zjechałem na bok i wysadziłem go. Pomachał do mnie, ja pomachałem do niego i każdy ruszył swoją drogą.

Miasto wyglądało na jakąś bardzo starą stolicę pełną wielkich białych katedr. Nie tak, jak powinno. Na obwodzie wysoka ściana, ciągnąca się jak okiem sięgnąć. Nie widać horyzontu, tylko zanikającą perspektywę, ścianę, która wydaje się nieskończona, jak przewrócona na bok autostrada. Gdy skierowałem ciężarówkę w dół, po zboczu, hałasy w przyczepach znów się nasiliły. Czuli, jak sądzę, co się zbliża, jak świnie spotykające człowieka z nożem. Podjechałem do punktu rozładunkowego i podstawiłem pierwszą przyczepę pod ogrodzenie. Pracownicy otworzyli bramę i używając jakichś dziwnych szpikulców zagnali martwych do środka.

Ci ludzie przeżyli już ból śmierci. Nie chciałem nawet myśleć o narzędziach, jakich używają pracownicy, żeby ich tam zapędzić.

Odczepili pierwszą przyczepę i cofnąłem się z drugą. Wylazłem z szoferki i zsunąłem się na ziemię. Podszedł do mnie pracownik, wielki facet z czerwonymi oczami, ubrany w nowiutki kombinezon.

– Dobry ładunek? – zapytał. Jego oddech pachniał jak po posiłku z kapusty, fasoli i czosnku.

Potrząsnąłem głową i wyciągnąłem papierosa po ogień. Przycisnął do niego paznokieć, czubek rozbłysnął i zaczął się żarzyć. Pracownik patrzył na peta z prawdziwą żądzą w oczach.

– Słuchaj – powiedziałem – macie tu kogoś imieniem Sherill? – Przeliterowałem mu to imię.

– A kto pyta? – burknął, ciągle patrząc na peta. Zaczął odchodzić.

– Jestem po prostu ciekaw. Słyszałem, że znacie wszystkich.

– Więc?

Zatrzymał się. Musiał chodzić w kółko, inaczej jego stopy topiły trochę asfalt i przyklejały się do niego. Wrócił do mnie i zatrzymał się podnosząc jedną nogę, obracając się trochę, stawiając ją i podnosząc drugą.

– Jest kilka Cheryl. Żadnej Sherill. A teraz....

Dałem mu papierosa. Uwielbiali je

– Dziękuję – powiedziałem.

Szybko wsunął peta w usta i przeżuł, a na jego pokrytej bliznami gębie pojawił się wyraz błogości. Przełknął i dym z palącego się tytoniu buchnął mu z nosa.

– Nie ma za co – powiedział i odszedł.

Wróciłem pustym wozem do Baker. Osiem godzin później leżałem w łóżku z puszką piwa w dłoni, czekiem na stoliczku i szeroko otwartymi oczami.

Gówno! Odezwało się moje sumienie. Myślałem, że mam to już za sobą. Przecież nie korzystałem z przywilejów i nie jeździłbym bez ubezpieczenia. Zdaje się, że nie bardzo nadawałem się do życia.

Następna podróż wypadła mi zimnym wieczorem, a droga biegła przez ponury, płaski kraj pełen szkieletowych drzew, szarych, jakby wyciętych z papieru. Kiedy zjechałem na pobocze, żeby się trochę zdrzemnąć – nigdy nie spałem bez przerwy dłużej niż dwie godziny dochodzące z przyczep krzyki potępionych zaczęły mi przeszkadzać bardziej nawet niż zwykle. Słyszałem takie idiotyzmy, jak:

– Panie, przecież może nas pan odwieźć z powrotem. Naprawdę pan może!

– Może?

– A gówno, pieprzony skurwiel!

– Przecież może nas pan puścić. Nie skrzywdzimy pana, nie jesteśmy w stanie. Naprawdę!

W tym przynajmniej nie łgali. Szoferzy żyli, a umarli nie mogą skrzywdzić żyjących. Tyle, że słyszałem co się zdarza, kiedy się ich wypuści. Wiozłem chyba z dziewięćdziesiątkę, a w każdym ładunku jest zawsze ktoś, kto sprawia, że miałoby się ochotę na skorzystanie z przywilejów.

Leżałem na wąskiej kanapce w szoferce i zastanawiałem się mocno co by tu zrobić. Patrzyłem na kalendarz Sierra Club wiszący tuż pod wentylatorem. Diabelska Skała. Ładunek uspokoił się, głosy cichły jeden za drugim. Zabrzmiał ostatni krzyk – jakieś świństwo – i zapadła cisza.

Właśnie wtedy postanowiłem wypuścić ich i zobaczyć, czy może jest wśród nich Sherill lub ktoś, kto ją zna. Spotykali się przecież wszyscy w Bazie, mieli ostatnią szansę na odrobinę towarzyskiego życia przed Miastem. Może ktoś coś wie? A później, jeśli znów zobaczę Billa...

No i co? Co mógłbym dla niego zrobić? Przycisnął Sherill wspaniale, ale i ona miała w tym swój udział, a Piekło jest właśnie od tego. Biedne, głupie skurwysyny.

Wylazłem z szoferki, zakładając koszulę i wciskając słomkowy kapelusz głębiej na oczy. „Hej" krzyknąłem idąc wzdłuż przyczep. Spomiędzy rozstawionych na dwa cale, pomalowanych na biało prętów patrzyły na mnie ich twarze.

– Mam zamiar was wypuścić. Na chwilę. Potrzebuję informacji.

– Pytaj! – wrzasnął ktoś. – Po prostu pytaj, do cholery!

– Wiecie, że nie możecie uciec, że nie możecie mnie zranić, że jesteście martwi. Wiecie?

– Wiemy – odpowiedział inny głos spokojnie. – Może będziemy mogli ci pomóc.

– Mam zamiar otworzyć obie przyczepy, jedną po drugiej.

Podszedłem najpierw do tylnej, wyjąłem klucze i zdjąłem kłódkę. Otworzyłem drzwi i stanąłem trochę z boku, jakby wyciec miała ropa z jątrzącej się rany.

Wszyscy byli nadzy. Nie brudni i nie chorzy, nie – po prostu martwi. Wokół każdego unosiła się jakaś nieuchwytna aura wskazująca, za co trafił do Piekła, nic określonego, raczej coś podświadomego.

Tak jak u tych trzech czarnych z tylnej przyczepy, którzy wysiedli pierwsi. Z ich twarzy łatwo było odczytać, za co tu trafili.

– Głupi pierdziel powiedział jeden, patrząc na mnie spod cienkich, wyraźnie zarysowanych brwi. Kiwnął głową, zwinął dłonie w pięści i spróbował od zewnątrz wyłamać pręty, choć te ciosy ledwie wprawiały je w drżenie.

Zeszła też z przyczepy stara, siwowłosa, porządnie uczesana kobieta. Nie byłem pewien, co zrobiła – sprawiła jednak, że poczułem się nieswojo. Po niej pojawili się inni, młodzi i starzy, przeważnie starzy. Spokojni. Patrzyli na mnie, niektórzy wyzywający, inni po prostu oszołomieni.

– Chcę wiedzieć, czy jest tu jakaś Sherill, która zna faceta imieniem Billy?

– Ja mam tak na imię – odpowiedziała ukryta w tłumie kobieta.

– Chcę ją zobaczyć – machnąłem na nich ręką.

Trzech czarnych wyszło naprzód. Ich oczy błysnęły dziwnie i wszyscy zaraz się cofnęli. Inni też ustąpili z drogi i za ich plecami zobaczyłem młodą kobietę.

– Jak się pisze twoje imię?

To pytanie przeraziło ją. Sylabizowała, powoli, patrząc czy się jej udaje i czy tak właśnie ma być. I bez tego czułem się fatalnie. Miała na imię Cheryl.

– To nie ciebie szukam – powiedziałem jej.

– Może nie specjalnie mnie – odpowiedziała, naprawdę miękko.

Była bardzo ładna, miała pełne piersi, biodra nastolatki i nogi może nie jakieś wspaniałe, ale ładne. Jej czarne włosy przycięte były krótko, a oczy sprawiały wrażenie niemal orientalnych.

– Możecie się teraz trochę przejść – powiedziałem do wszystkich. – Wypuszczę tych z pierwszej przyczepy.

Otworzyłem boczne drzwi i umarli zaczęli wychodzić. Niczym nie śmierdzieli, nie wyglądali nędznie, po prostu trochę blado.

– Szukam kobiety imieniem Sherill – powtórzyłem.

Nikt nie wystąpił. Poczułem nagle, że ktoś podszedł do mnie z tyłu i obróciłem się. To była Cheryl. Uśmiechała się.

– Chciałabym na chwilę usiąść z przodu.

– Każda z nas by chciała, siostro – wtrąciła się kobieta z siwymi włosami. Czarni stali z boku rozmawiając cicho.

Patrzyłem na nią przełykając ślinę. Inni szoferzy mówili, że oni są naprawdę bezcieleśni z wyjątkiem tej jednej czynności. To właśnie był dodatek. I mówili też, że te najlepsze zawsze trafiają do Piekła.

– Nie – powiedziałem. I pokazałem im, że mają wracać do przyczep.

Od początku to był bardzo głupi pomysł. Oni weźli do przyczep, a ja wróciłem do szoferki zastanawiając się, co mi kazało tak właśnie postąpić. Potrząsnąłem głową i ruszyłem. Niedobrze jest myśleć podczas martwego kursu.

– Nie – powiedziałem – cholera. – I dodałem: – Dobrze.

Twarz Cheryl pozostała mi w pamięci.

Ciało Cheryl pozostało mi w pamięci dłużej niż twarz.

Zawsze jest coś, co pojawia się i zwabia człowieka na Dolną Drogę, nie jako szofera, lecz jako ładunek. Myślałem, dlaczego Bóg obdarzył każdego z nas tą małą usterką, tą drzazgą w kryształowej duszy. Naciśniesz ją wystarczająco mocno i wszystko się rozpada.

Wracałem ciągnąc puste przyczepy i tym razem oprzytomniałem w małym miasteczku Shoshone. Zjechałem ciężarówką na parking kawiarni i z powodu zimna zostawiłem silnik na chodzie. Była mniej więcej jedenasta rano kiedy wszedłem do na pół pełnej knajpki i znalazłem miejsce przy barze koło staruszka, który miał może ze cztery zęby i atakował nimi francuską grzankę z bardzo uroczystą powagą. Zamówiłem jaja, zapiekankę i sok, zjadłem szybko i wróciłem do wozu.

Bill stał przy stopniach szoferki w towarzystwie wielkiej kobiety z twarzą jak pysk buldoga, owiniętej brudnym kawałkiem ordynarnego płótna, wyglądającego na wyciągnięte z pojemnika na śmieci.

– Cześć – powiedział Bill. – Pamiętasz mnie?

– Jasne.

– Zauważyłem, że tu zajeżdżasz. Chciałem, żebyś poznał Sherill. Wyciągnąłem ją!

Kobieta patrzyła na mnie z inteligencją cegły.

– Wszystko się tam pokręciło. Jakby moc im wysiadła albo co. Wyszliśmy po prostu na drogę i nikt nas nie zatrzymał.

Sherill mogła ukrywać dowolnie wiele wspaniałych zalet pod maską swego budzącego grozę wyglądu i nikt ze zwykłych ludzi niczego by nie zauważył, ja jednak nie miałem kłopotu z określeniem, co jest w niej najbardziej nie tak. Była martwa. Popatrzyłem wokół, żeby się upewnić czy jestem jeszcze na Świecie. To był Świat, a Billy nie kłamał. Jasne, coś się zdarzyło na Dolnej Drodze.

– Kłopoty? – spytałem.

– Mnóstwo uciekinierów. – Uśmiechnął się do mnie. – Pan-demon-ium.

– To się nie mogło zdarzyć – powiedziałem, wiedząc, że nie mam racji.

Sherill zadrżała na dźwięk mojego głosu.

– To szofer, Bill. Lepiej się stąd wynośmy.

Była wokół niej dobrze mi znana aura, ten sam wypalony w duszy znak. Sprawiała wrażenie świni, która właśnie zwiała z rzeźni i znów widzi rzeźnika. Cofnęła się kilka kroków. „Żarłoczność" pomyślałem. „Nienasycenie, ukryta żądza i naprawdę wstrętny sposób widzenia świata, całkowicie zniekształcony przez tę górę mięsa".

– Powiedz mi więcej – poprosiłem Billa.

– Ci tam uciekają i biegają wszędzie, chowają się w tych miastach, diabły ich szukają...

– Pracownicy – poprawiłem go.

– Aha, to bez różnicy.

Sherill szarpała go ponaglająco za ramię.

– Musimy iść, Bill!

– Musimy iść – zawtórował jej. – Hej, człowieku, dziękuję. Znalazłem ją!

Pokazałem palcem na Sherill, skinął po swojemu całym ciałem i obydwoje zniknęli w uliczce. Ubranie Sherill ciągnęło się za nią w kurzu.

Wróciłem do Baker, zaparkowałem przed swoim domem i usiadłem w środku, pijąc piwo i sprawdzając w kalendarzu trasę na jutro, a za oknem robiło się ciemno. Marzłem. Miałem zabrać nowy ładunek z Bazy, a nikt nie dzwonił. Gdyby były jakieś kłopoty, związek z pewnością dałby mi znać.

Pojechałem do Bazy wczesnym rankiem. Przejazd między Światem a robotą odbył się normalnie. Jechałem zwykłą trasą, błękitne niebo zmętniało w kolor cementu i byłem już na pierwszym odcinku drogi prowadzącej do Bazy. Cofnąłem tylną przyczepę do bramy w ogrodzeniu, a z przednią podjechałem do rampy, cały czas nadstawiając uszu na jakąś ciekawą rozmowę. Pracownicy z Bazy wyglądali całkiem po ludzku. Wziąłem list przewozowy od czerwonego na twarzy faceta z oczami jak kule do bilardu. Splunął na beton dymiącą śliną, łypnął na mnie spode łba gdy popatrzyłem na niego pytająco i nic nie powiedział. Być może wszystko było już w porządku. Doczepiłem obie załadowane przyczepy i pojechałem.

Znów jechałem przez pustynię, tylko tym razem miasteczka i zrujnowane domy wyglądały jak rozwalone przez bomby, jakby przeszło przez nie coś wielkiego, kończąc zabawę strzałami z armaty.

Nie przejmuj się. Patrz na drogę. Jedź.

Cztery godziny później trafiłem na blokadę. Nikogo przy niej nie było, po prostu wielka barykada z popękanej lawy, ciągnąca się przez wszystkie pasma, a za nią ściana żółtego dymu, który, jak mówiła niepisana instrukcja szoferów, oznaczał absolutny zakaz wjazdu.

Wyszedłem. Ładunek zaczął hałasować. Nagle znienawidziłem ich wszystkich. Mogli przynajmniej odejść z godnością i oszczędzić mi obrazu swego nieszczęścia. Stałem obok wozu, czekając na wskazówki lub przynajmniej jakiś znak tego, co mam robić. Ładunek uspokoił się, lecz zaraz usłyszałem jakieś głosy z boku drogi, głównie wrzaski i to rozlegające się dość daleko.

– Nie ma nic – powiedziałem, zapalając jeden z papierosów Billa (chociaż nie palę) i zaciągnąłem się głęboko – nic wartego tego gówna. Ani praca, ani godność, nic... Przyrzekłem sobie, że rzucę tę robotę po dzisiejszym kursie.

Usłyszałem, że coś porusza się za przyczepami i podszedłem bliżej schodków do szoferki. Wstęgi dymu najpierw wszystko zasłoniły, lecz potem wynurzył się z nich czarny kształt, wysoki na cztery albo i pięć metrów. Stanął, opierając się o pręty dachu tylnej przyczepy.

Chrząknął cicho. Pokryty był nagimi ludźmi, czołgającymi się po nim, gryzącymi, drapiącymi i wrzeszczącymi wstrętne obelgi. Opadł na kolana, podniósł się i chwiejnie zszedł z drogi.

Nigdy przedtem nie widziałem pracownika tak wielkiego i w tak wielkich opałach. Ładunek zaczął wyć jak stado zapowiadających śmierć upiorów. Rzuciłem papierosa i pobiegłem za nim.

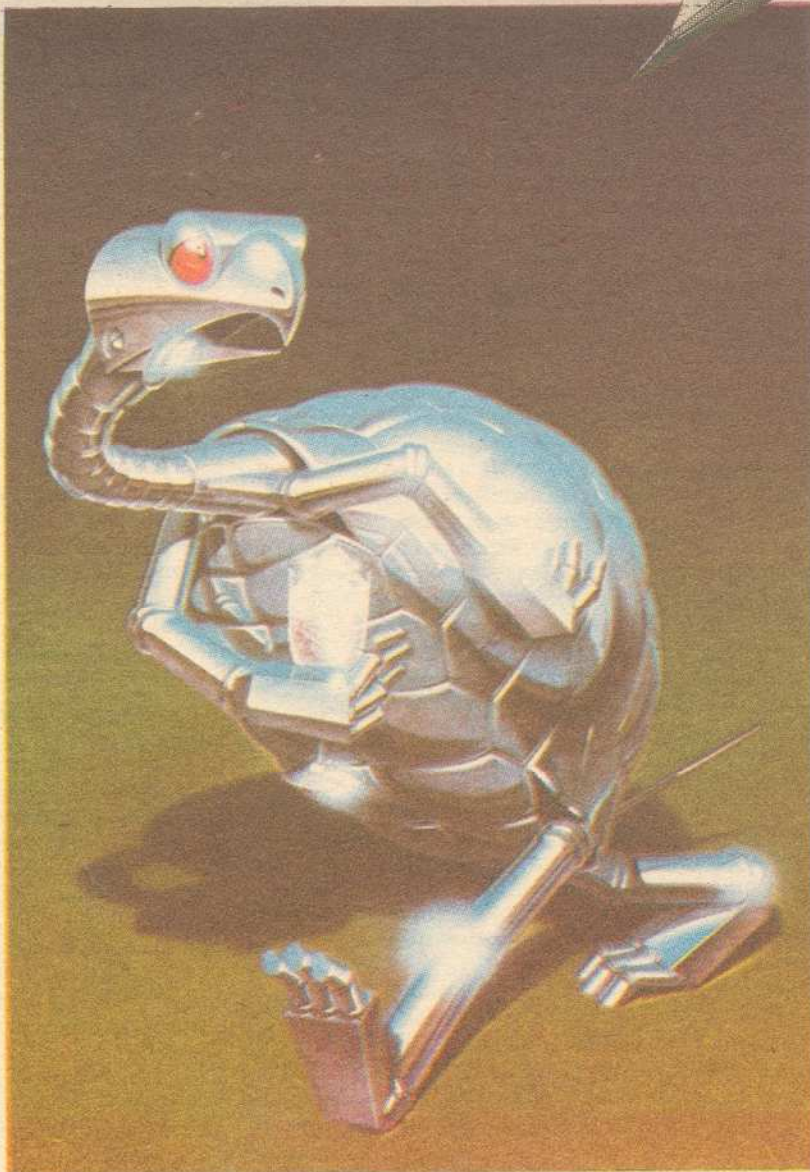
Ci wszyscy, którzy pracują, powiedzą to samo. Solidarność w robocie rozciąga się nawet na tych, których nie lubisz. Częścią tajemnicy jest to, że jak są w kłopotach, to im pomagasz. A poza tym nasze niepisane instrukcje są w tych sprawach całkiem jasne, a ja nigdy świadomie nie pogwałciłem zasad od czasu, kiedy odzyskałem wóz i nie miałem zamiaru zaczynać teraz.

Biegłem przez dym i wielkie grzbiety lawy i wreszcie zauważyłem go jakieś dziesięć metrów przed sobą.

Strząsnął już z siebie nagich ludzi i stał teraz, trzymając po jednym w każdej dłoni. Jego plecy dymiły, łuski sterczały we wszystkich kierunkach. Nieźle poszkodowali sukinsyna! Dziesięciu albo i dwunastu zmarłych zbierało się z lawy, bez siniaków, bez zadrapań. Zobaczyli mnie.

Pracownik też mnie zobaczył.

I wszyscy ruszyli w moją stronę, próbując mnie złapać. Obróciłem się i zacząłem uciekać do ciężarówki, potykając się o wyciągnięte ręce i nogi. Włosy stanęły mi dęba na głowie. Ludzie błagali mnie, żebym ich zabrał z powrotem, skowycząc jak bite psy.



Hajime Sorayama

Lepsze niż CZŁOWIEK...

Pragnienie zbudowania sztucznej istoty było zawsze nieukrywanym marzeniem człowieka. Tradycja kultury śródziemnomorskiej notuje przypadki kiedy próbowano posłużyć się magią (tajemnicza postać Golema z „Talmudu"; legenda o homunkulusie Jehudy Löwa ben Bezalela – XVI–wiecznego rabina z Pragi opisana w 1915 r. w „Golemie" Gustawa Meyrinka). Niekiedy marzenie stawało się faktem, ale magię zastępowała codzienna praktyka życiowa, znajomość praw mechaniki. W czasach antycznych istniały teatry lalek–androidów, które przeżyły okres niesłychanego rozkwitu w XVII stuleciu. Jak głoszą podania, papież Sylwester II skonstruował „mówiącą głowę", zasięgał jej rad i przepowiedni. W XIII wieku graf von Bollstadt stworzył mechaniczną kukłę, która potrafiła otwierać i zamykać drzwi, a także wypowiadać kilka słów powitania. Automat nie służył jeszcze celom użytkowym, był rodzajem rozrywki i to nader kosztownej. Słynny „gracz w szachy" zbudowany przez Kempelena na początku XIX wieku zrobił zawrotną karierę, a w roku 1809 – jak utrzymywali współcześni – wygrał nawet partię z Napoleonem w Schoenbrunnie.

Nic dziwnego, że podobne tematy podejmowali autorzy różnych epok, twórcy beletrystyki fantastycznej. Postać homunkulusa powołanego do życia za pomocą eksperymentów chemicznych pojawia się w opowieści Mary Shelley „Frankenstein albo Nowy Prometeusz" (1818), uchodzącej za jeden z pierwszych tekstów fantastyczno-naukowych. Motyw sztucznego człowieka obecny jest w „Piaskarzu" (1815) E.T.A. Hoffmanna, u E. A. Poego w noweli „Von Kempelen i jego wynalazek" (1836) nawiązującej do historii o mechanicznym szachiście, w „The Artist of the Beautiful" (1844) N. Hawthorne'a, w „L'Eve Future" (1886) I. de L'Isle-Adama. Wypada też wspomnieć o poszukiwaniach autorów zaliczanych do klasyków światowej science fiction: Jules'a Verne'a („Maitre Zacharius", 1852; „La Maison a Vapeur", 1880) i Herberta George'a Wellsa („Kiedy Śpiący budzi się", 1899). Ale w literaturze wysokiego lotu motyw sztucznego człowieka, homunkulusa, wreszcie – robota prowadzi do znacznie głębszych refleksji, analogii. Jest niemal zawsze łączony z toposem „sobowtóra", alter ego człowieka, a mistrzowie prozy światowej przejmują i opracowują na nowo klasyczne wątki mitologiczne, baśniowe, mityczne. W „Fauście" (1832) Johana Wolfganga Goethego – Mephistopheles jest personifikacją zła tkwiącego w naturze bohatera. Podobne rozwiązanie pojawia się u E.T.A. Hoffmanna w „Diablich eliksirach" (1815–1816) i u E. A. Poego („William Wilson", 1839). W powieści Hoffmanna mnich Medardus wypija eliksir pochodzący od diabła, opuszcza klasztor i udaje się na poszukiwanie kobiety, w której się zakochał. Zbrodnie Medardusa, które popełnia w czasie swojej wędrówki, prowokuje jego sobowtór: działania obu postaci są przejawem ślepych instynktów, wykładnią bezradności człowieka wobec zagrożenia ze strony nie rozpoznanych sił. W „Williamie Wilsonie" E. A. Poego drugie „ja" jest duchową emanacją bohatera, rozdwojeniem dotyczącym ciała i sumienia. W znanej powieści Roberta Louisa Stevensona – „Dr Jekyll i Mr Hyde" (1886) tytułowi partnerzy stają się wytworem jednej schizofrenicznej osobowości, wyrazem rozdwojenia jaźni, stanu patologicznego.

Sobowtórem człowieka jest także wspomniany Golem – Gustawa Meyrinka powołany do życia przez rabina w celu obrony społeczności żydowskiej przed prześladowaniami.

Już od zarania literackich dziejów robota, wielu autorów niepokoiła myśl, że harmonijna współpraca pomiędzy człowiekiem a wytworem jego intelektu może przerodzić się w otwarty konflikt. Buntowniczy Golem jest sprawcą zniszczenia, co prawda nie zaplanowanego, ale tym bardziej przerażającego. Homunkulus doktora Frankensteina odrzucony przez społeczeństwo mści się za doznane upokorzenia. W miarę upływu czasu narastają kolejne problemy etyczne. Z przeobrażeniami zapoczątkowanymi przez rewolucję naukowo-techniczną sztuczny człowiek coraz częściej wyręcza ludzi w różnych sytuacjach życiowych. Postęp techniczny prowadzi do teoretycznej równości wobec prawa, likwiduje niewolnictwo, ale czyni niewolnikami automaty. Kwestia uzależnienia nie traci zatem na znaczeniu, przeciwnie zaostrza się ze wzrostem doskonałości sztucznej inteligencji. Kreacja robota, maszyny wielofunkcyjnej, obdarzonej wolną wolą (jak przewidują fantaści) prowadzi do konfliktów, które po raz pierwszy opisał czeski twórca słowa „robot" – Karel Čapek w dramacie „R.U.R." (Rosums Universal Robots; 1920).

Co prawda, autorzy SF próbują kodyfikować zależności pomiędzy człowiekiem a sztuczną inteligencją (jak I. Asimov w trzech prawach robotyki – „I, Robot", 1950), ale w wielu prognozach literackich pojawia się wizja zbuntowanego robota, którego człowiek obdarzył wolną wolą (np. J. Williamson – „The Humanoids", 1950; T. Sturgeon – „The Syntetic Man", 1952; Ph. Dick – „Do Androids Dream of Electric Sheep?", 1969). O ile nie jest to aluzja do rzeczywistych stosunków społecznych (jak u Karela Čapka), kwestia nieposłuszeństwa stanowi podświadomą obawę przed nieoczekiwanym uzewnętrznieniem mocy, które powołaliśmy do życia realizując marzenia o potędze. Do lęków i niepokojów dołączy się obawa przed zastąpieniem człowieka maszyną, możliwość teoretycznej wymienności ról – co nie jest wcale utopią w epoce rosnącego bezrobocia, komputeryzacji, coraz doskonalszego, zautomatyzowanego kierowania systemami obrony.

(an)

Pracownik złapał mnie i podniósł wysoko, poza ich zasięg. Jego dłonie były zimne i twarde, jak trzymane w zamrażarce szczypce. Chrząknął i pobiegł w kierunku ciężarówki. Wcisnął mnie brutalnie do szoferki i za pomocą gwałtownych gestów jasno dał do zrozumienia, że lepiej będzie jak zawrócę i odjadę z powrotem, że tu przejazdu nie ma.

Zapaliłem silnik i zawróciłem. Podniosłem szybę. Miałem nadzieję, że umarli nie są wystarczająco materialni, żeby zdrapać farbę albo wyłamać pręty.

Nie obowiązywały już żadne reguły.

Wracałem.

Mój ładunek wrzeszczał jak żaden do tej pory. Bałem się, że mogą się wyrwać na wolność, ale się nie wyrwali. Dojechałem do Bazy i znów byli cicho, zbyt cicho by ich słyszeć przez warkot diesla.

Zagrody były puste. Długie, pomalowane na biało, betonowe platformy i wybielone rampy załadunkowe z drewnianych desek wyglądały na opuszczone. Ani ducha za drutami. Niebo miało nieokreślony, szary kolor, a dalekie słońce świeciło blado nad białymi murami budynku dla pracowników. Zatrzymałem ciężarówkę i wyszedłem, żeby się czegoś dowiedzieć.

Nie było nawet wiatru, tylko cisza. Powietrze ostre, ale nie czuło się specjalnego chłodu. W tej chwili jedyne, czego pragnąłem, to pozbyć się ładunku i wynieść się z powrotem do Baker, Barstow lub Shoshone.

Miałem nadzieję, że ciągle jeszcze jest to możliwe. Ale może wszystkie wyjścia zostały zamknięte? Może nadzorcy zamknęli je, żeby żadna z dusz nie mogła się wyrwać na wolność?

Spróbowałem zamków przy bramie i okazało się, że mogę je otworzyć. Więc je otworzyłem, wróciłem do ciężarówki, zawróciłem przyczepą tak, żeby stanęła przy rampie. Nikt nie wydał głosu.

– Wyłaźcie – powiedziałem. – Wyłaźcie. Spędzicie tu więcej czasu niż zwykle. Tylko mnie nie pytajcie czemu.

– Cześć, John – usłyszałem za plecami. Obróciłem się i zobaczyłem starszego mężczyznę, zupełnie gołego. Najpierw go nie poznałem. Na właściwy trop naprowadziły mnie dopiero jego oczy.

– Pan Martin? – Mój szkolny nauczyciel historii. Nie widziałem go chyba ze dwadzieścia lat. I nigdy nie widziałem go gołego.

– To nie ten rodzaj pracy, jakiego spodziewałbym się po moich uczniach – powiedział Martin. Roześmiał się tym swoim miękkim śmiechem, z którego był sławny, śmiechem, który wydawał się umieszczać we właściwej perspektywie wszystko, co powiedział w klasie.

– Koty zwiały, John. Teraz rządzą myszy. Jeśli tylko zdołam, uciekam stąd.

– Jak długo pan tu jest?

– Umarłem chyba z miesiąc temu.

– Pan nie może stąd odejść.

W gardle rosła mi gula.

– Gracz w drużynie – powiedział Martin. – Ciągle narwany gracz w drużynie, nawet jeśli drużyna ma cię w nosie.

Chciałem się wytłumaczyć, ale odszedł w stronę Bazy i drogi, która z niej wybiegała. Oglądając się przez ramię dodał:

– Zmądrzej, John. Rzeczy nie są takie, jakimi się wydają.

Po raz ostatni widziałem go, jak potrząsając głową znikał za rogiem ogrodzenia Bazy.

Martwi z mojego ładunku wyłamali kilka desek z rampy i wyskakiwali z tylnej przyczepy. Ci z przedniej wrzeszczeli i awanturowali się, trzęsąc całym wozem.

„Do dupy z odpowiedzialnością" – pomyślałem. Kiedy umarli poszli za panem Martinem odczepiłem obie przyczepy. Później wsiadłem do szoferki i wyjechałem z Bazy drogą, którą się do niej wjeżdżało.

– Pewne jak nic na świecie – powiedziałem głośno – rzucam robotę.

Wydawało mi się, że jadę strasznie długo. Na tej trasie nie byłem nigdy przedtem i żadnym sposobem nie mogłem zorientować się czy dojadę tam, dokąd chcę. Ale jechałem tą drogą, już ze dwie godziny, na płaskim cisnąc gaz do dechy.

Powietrze szarzało, jakby ktoś przykręcił kontrast w telewizji. Włączyłem długie światła, ale i to nie pomogło. Trząsłem się jak osika i powtarzałem w kółko: nikt na to nie zasługuje. Nikt nie zasługuje na Piekło niezależnie od tego co uczynił. Byłem przerażony. Robiło się coraz chłodniej.

Minęła trzecia godzina jazdy i przed sobą znów zobaczyłem zagrody i Bazę. Droga zatoczyła pętlę. Zakląłem i zwolniłem jeszcze bardziej. Punkty załadunkowe płonęły. Umarli łazili wokół nie wiedząc co robić i dokąd iść. Przyspieszyłem i przejechałem po tych kilku, którzy zostali na jezdni. Zbliżyli się, zderzaki ciężarówki uderzyły w nich, a ja nie poczułem nic, jakby ich tam w ogóle nie było. Zobaczyłem we wstecznym lusterku jak się poprzewracali, a teraz wstawali. Po prostu ich przewróciłem! A potem minąłem punkty załadunkowe i tym razem nie było już żadnych wątpliwości.

Jechałem prosto do Piekła.

Punkt wyładunkowy również płonął. Ale Miasto za nim było jak zawsze błyszczące, białe, nie tknięte. Po raz pierwszy tak się do niego zbliżyłem, przejechałem poza punkt. Mogłem zrobić tylko to lub pogodzić się z myślą, że wszystko się pochrzaniło, stanąć i czekać. Pomyślałem, że może tam, w środku, jest normalnie.

Ciężarówka przemknęła między dwiema białymi kolumnami grubymi chyba na siedemdziesiąt, a może nawet osiemdziesiąt stóp i wysokimi niczym pomnik Waszyngtona. Nie widziałem nikogo, ani pracowników, ani umarłych. Przeleciałem między kolumnami i... to było jak szok.

Żadnego Miasta, żadnych ścian – po prostu wijąca się droga i ze wszystkich stron, nawet z tyłu, wiejski pejzaż.

Pola pokryte były chałupami i domkami w mniejszych i większych skupiskach. Wszystko stłoczone ciasno, ludzie pracowali razem na jednym wzgórzu, siedzieli razem na werandach, spacerowali ścieżkami, odwracali się i gapili na mnie, kiedy wóz przejeżdżał koło nich. Nie ma pracowników – i żadnych w ogóle potworności. Żadnych płomieni. Żadnych krwawych jezior i rzek.

Tak to pewnie wygląda z zewnątrz – pomyślałem. – W środku musi być gorzej.

Jeszcze godzinę jechałem przez ten sielski krajobraz, a potem skończyło mi się paliwo. Zjechałem na pobocze i wysiadłem z szoferki, trzęsąc się ze zdenerwowania.

Oparty o błotnik, zapaliłem ostatniego papierosa. Drżenie przeszło po chwili, zastąpione uczuciem głębokiego spokoju.

Wszystko ciągle wydawało się ściśnięte i stłoczone, lecz nikt nie cierpiał, nie wrzeszczał, nie umierał w wiecznych męczarniach. Drzewa, krzaki, pokryte trawą wzgórza i tysiące, tysiące małych domków.

Wystarczyło dziesięć minut, by zaciekawieni mieszkańcy zaczęli gromadzić się wokół mnie. Dwóch mężczyzn podeszło do ciężarówki i serdecznie skinęło mi głową. Obaj byli w średnim wieku i wyglądali tak zdrowo, jakby żyli. Odpowiedziałem skinieciem.

– Założyliśmy się, czy jesteś jednym z kierowców, czy nie – powiedział pierwszy, czarnowłosy. Ubrany był w proste, ręcznie tkane portki i koszulę. – A jesteś?

– Jestem.

– Więc się zgubiłeś?

Przytaknąłem.

– Może moglibyście mi powiedzieć, gdzie właściwie jestem?

– W Piekle – odpowiedział drugi, parę lat młodszy i ubrany tylko w szorty. Powiedział to tak, jakby mówił o przejażdżce z Los Angeles do Long Beach. Nic wielkiego, nic dramatycznego.

– Słyszeliśmy plotki, że na zewnątrz coś się stało – dodała podchodząca do nas kobieta. Miała około sześćdziesiątki i była chuda. Sprawiała wrażenie bardzo nerwowej, ale zachowywała się z kamiennym spokojem. Wszyscy byli spokojni jak głazy.

– Jest tam coś w rodzaju strajku – powiedziałem. – Nie wiem, co się dzieje, więc szukam jakiegoś pracownika, żeby mi wyjaśnił.

– Tak głęboko się nie zapuszczają – powiedział pierwszy mężczyzna. – My tu rządzimy. To znaczy, nikt nam nie mówi, co mamy robić.

– Ty żyjesz? – zapytała kobieta z dziwną nadzieją w głosie. Naokoło nas już gromadzili się inni, cały tłum. Stali nieruchomo, gapili się i gadali.

– Nie mogę was zabrać z powrotem. Sam nie wiem, jak się stąd wydostać.

– My nie możemy wrócić – powiedziała kobieta. – Tam już nie ma dla nas miejsca. Chcemy tylko, żebyś nas posłuchał, dobrze?

Podchodziło ich coraz więcej i znów zacząłem się denerwować. Stałem w miejscu, starając się sprawiać wrażenie spokojne-

Greg BEAR

Autor amerykański urodzony w 1951 r. debiutował zaledwie w 16 lat później opowiadaniem „Destroyer". W 1984 r. zdobył obie nagrody – Hugo i Nebula – za długie opowiadanie „Blood Music". Jego specjalnością są nastrojowe, często apokaliptyczne opowiadania. Jest również autorem kilku powieści, m.in. „Infinity Concerto", nawiązującej do romantycznego poematu Coleridge'a „Kubla Khan".

L.J.

go, a martwi gromadzili się wokół, patrzyli na siebie wzajemnie i na mnie, patrzyli z nadzieją.

– Nigdy nie myślałem o nikim oprócz samego siebie – powiedział jeden. Inny przerwał mu:

– Człowieku, spieprzyłem całe swoje życie, nienawidziłem wszystkiego i wszystkich. Wypaliłem się...

– Myślałem, że jestem najwspanialszy, że mogę wszystkich sądzić...

– Byłam najgłupszą cholerną babą, jaką znasz. Byłam maciorą, świnią. Prosiłam się i puszczałam dzieciaki wolno, bez pomocy, opieki. Byłam głupia, okrutna. Raniłam...

– Nigdy o nikogo nie dbałem. I o mnie nikt nigdy nie dbał. Zostawiono mnie, żebym gnił w wielkim mieście, a nie byłem wystarczająco dobry, żeby nie zgnić...

– Wszystko co robiłem było kłamstwem od czasu, kiedy skończyłem dwanaście lat...

– Posłuchaj mnie, człowieku, to boli, to boli tak bardzo...

Oparłem się o ciężarówkę. Ustawili się teraz w kolejce, porządnie, zupełnie nie jak tłum. Przemknęła mi przez głowę szalona myśl, że zachowują się o wiele lepiej niż ludzie na Ziemi, a przecież są potępieni.

Były glina opowiedział mi, co robił ludziom w więzieniu.

Były fałszywy Jezus powiedział, że mieć Jezusa na ustach to jeszcze nie wszystko...

– Mogłem się nim stać, człowieku, mogłem się nim stać!

– Przyszedł na mnie czas, a ja byłem przez to wszystko złamany, po prostu złamany, człowieku. Tylko ciągle sam sobie podstawiałem nogę, ciągle podejmowałem złe decyzje...

Spowiadali się przede mną, a ja zacząłem płakać. Ich twarze były tak czyste, jasne, a znajdowali się tutaj, tu mi się spowiadali i – może z pewnymi wyjątkami – nie brzmiało to wcale inaczej niż wyznania tych biednych sukinsynów, których nazywałem przyjaciółmi, spędzających życie w ciężarówkach, barach i burdelach.

Wszyscy byli współcześni. Miałem wrażenie, że im głębiej w Piekło, tym potępieni są starsi. To miało sens, po prostu Piekło rosło, z każdym plonem zmarłych stawało się większe i rozszerzały się jego zewnętrzne kręgi.

– Wszystko zmarnowaliśmy – powiedział ktoś. – Wiesz, jaki był mój największy grzech? Byłem głupi. Głupi i okrutny. Nie potrafiłem dostrzec piękna. Widziałem tylko brud. Kochałem brud, a czyści po prostu mnie omijali.

Wkrótce szlochałem, zupełnie się nie kontrolując. Klęknąłem obok ciężarówki, ukrywszy twarz w dłoniach, a oni przychodzili, przychodzili i spowiadali mi się. Przeszły ich chyba setki, po kolei, mówili cicho, gestykulując dłońmi.

Nagle skończyło się. Ktoś im powiedział, żeby się cofnęli, że to dla mnie zbyt wiele. Podniosłem głowę i zobaczyłem młodo wyglądającego faceta, stojącego obok i patrzącego na mnie z góry.

– Nic ci nie jest? – zapytał.

Potrząsnąłem głową, lecz we wnętrznościach czułem potrzaskane szkło. W każdej spowiedzi widziałem siebie, każdy wyznany grzech budził znajome echo.

– Ktoś mnie tu wkrótce przywiezie – wymamrotałem. Ten młody pomógł mi stanąć na nogach i usunął stojących obok ciężarówki martwych.

– Taaa... ale jeszcze nie teraz – powiedział. – Na razie jeszcze nie należysz do nas.

Otworzył dla mnie drzwi szoferki.

– Nie mam paliwa.

Uśmiechnął się takim samym, smutnym uśmiechem, jaki nosili tu wszyscy, wszedł na stopień i jego usta znalazły się przy moim uchu.

– Jeden z pracowników ma się tu zjawić i pomóc ci, jak już się uporają z tymi rozruchami.

Wydawał się bardziej skomplikowany niż wszyscy inni. Spojrzałem na niego może nieco zbyt podejrzliwie, jakbym wymagał jakichś wyjaśnień.

– Tak, znam to wszystko. Sam byłem kiedyś kierowcą. Później awansowałem. Co oni wszyscy tam robią? – zapytał, pokazując ręką na drogę. – Wszystko psują, prawda?

– Nie wiem – odpowiedziałem, wycierając oczy i policzki rękawem.

– Wróć i powiedz im, że ten bunt w zewnętrznych kręgach to właśnie to, czego się spodziewałem. Powiedz im, że Charlie jest tutaj i że ich ostrzegałem. Krąży wiadomość.

– Jaka wiadomość?

– Kto tu rządzi. Powiedz im tylko, że Charlie wie i że ich ostrzegałem.

Zamknąłem oczy. Szoferkę zakrył cień. Młody człowiek i wszyscy inni wydawali się oddalać. Czułem raczej niż widziałem, jak coś podnosi mój wóz z ziemi jak zabawkę.

Ocknąłem się nagle w szoferce wozu stojącego na parkingu w Bakersfield. Odsunąłem czapkę z oczu i rozejrzałem się. Już prawie południe. W Bakersfield była siedziba związku. Sprawdziłem zbiornik paliwa – był pełen ropy, więc uruchomiłem silnik i pojechałem w stronę budynku związkowego.

Zapukałem do drzwi biura, wszedłem i rozpoznałem starego faceta, który dawał mi pracę. Byłem zmęczony, nie pachniałem najpiękniej, ale chciałem załatwić wszystko od razu.

On też mnie poznał, ale nie pamiętał nazwiska, więc się przedstawiłem.

– Nie mogę ich więcej wozić – powiedziałem. – To nie jest robota dla mnie. Kiepsko się czuję wożąc ich tam, gdzie pewnie sam się znajdę.

– W porządku – odpowiedział wolno i uważnie, mierząc mnie wszystkowiedzącym spojrzeniem. – Tyle, że wylatujesz. Jesteś skończony, nie ma jazd dla nas, nie ma roboty dla żadnego związku, który popieramy. Będziesz raczej samotny.

– Któregoś dnia i tak stanę się samotny.

– Dobra.

Wydało mi się, że to już wszystko, więc podszedłem do drzwi i stanąłem z dłonią na klamce.

– Mam jeszcze coś – powiedziałem. – O tych kłopotach w zewnętrznych kręgach. Spotkałem Charlie'ego. Prosił, żeby wam powiedzieć, że krąży wiadomość, kto tu teraz rządzi, że to dlatego.

Wszystkowiedzące oczy starego zrobiły się jakby trochę szklane.

– To ty jesteś tym, który tam wjechał?

Przytaknąłem.

– Poczekaj chwilę w biurze.

Czekałem i słyszałem, jak rozmawia przez telefon. Gdy wrócił, zaczął się uśmiechać i klepać mnie po plecach.

– Słuchaj, John. Nie jestem pewien, czy powinniśmy pozwolić ci urwać się tak łatwo. Mówi się, że zostałeś tam i próbowałeś pomóc, gdy inni uciekli. Firma to docenia. Pracowałeś tu kawałek czasu, jesteś kierowcą godnym zaufania, może powinniśmy popierać się trochę, wiesz, o co mi idzie? Jakoś cię zachęcić, żebyś został. Wysyłam cię do Denver, pogadasz tam z kimś, to ważna szycha, dobra?

Ze sposobu, w jaki to powiedział domyśliłem się, że nie mam wielkiego wyboru i lepiej będzie, jak przestanę się kłócić. Gdy pracujesz dla związku wystarczająco długo, to wiesz kiedy trzymać gębę na kłódkę i iść im na rękę.

Zawieźli mnie do motelu, nakarmili i koło południa byłem już w drodze do Denver. Jechałem czarną limuzyną związku, prowadzoną przez milczącego szofera. Za całe towarzystwo miałem parę numerów „Newsweeka".

Wczesnym, pogodnym, sobotnim rankiem stałem przed wielkim budynkiem związku, na którym nie było żadnego znaku. Parter zajmował bank. Przeszedłem przez bank i wjechałem na ostatnie piętro.

Czekała tam na mnie najpierw sekretarka, nawet ładna, tylko włosy miała ciasno spięte na głowie i kwadratową, srogą szczękę. Nie spodobałem się jej. Z jej wyglądu można było wnosić, że zapałałaby przyjaźnią tylko do agenta ubezpieczeniowego lub wędrownego kaznodziei. Pozwoliła mi jednak przejść do następnego biura.

Widziałem przedtem tego faceta, tylko nie byłem pewien gdzie. Nosił wąski krawat i elegancki, choć trochę konserwatywny garnitur w pepitkę. Miał jasnobłękitną koszulę, a na jego biurku, obok alabastrowej podstawki na pióra leżała Biblia Rembrandta. Potrząsnął lekko moją ręką i przysiadł na krawędzi biurka.

– Po pierwsze pozwól, że ci pogratuluję odwagi. Było parę sprawozdań z... no... pola i usłyszeliśmy o tobie same dobre rzeczy. – Uśmiechnął się przy tym jak ten facet w telewizji, który zawsze prosi publiczność, żeby mu w czymś pomogła. Potem nagle jego twarz stała się szczera i poważna. Wierzę, że naprawdę był szczery, był też doskonale wyćwiczony w rozmowach z nie najbystrzejszymi partnerami.

– Słyszałem, że masz dla mnie jakieś wieści. Od Charlesa Fricka.

– Powiedział, że ma na imię Charlie. – Opowiedziałem mu całą historię. – Jestem tylko ciekaw, co on miał na myśli z tym „kto tu rządzi"?

– Charlie pracował dla organizacji do zeszłego roku. Zginął w wypadku samochodowym. Przykro mi, że pojechał Dolną Drogą.

Nie wyglądał na zmartwionego.

– Żeby nie kłamać, sprawiał tu pewne kłopoty. Może i przykro mi, ale nie jestem szczególnie zaskoczony.

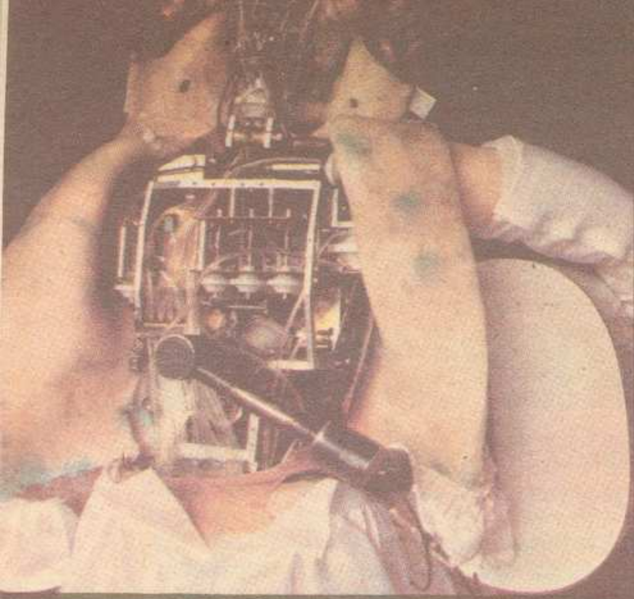
Znów uśmiechnął się promiennie, oczy mu się powiększyły, a na twarzy było widać trochę za wielkie ożywienie. Miał na nosie zbyt duże okulary, w drucianej oprawce jak McArthur.

– Co on miał na myśli?

– John, jestem dumny ze wszystkich naszych kierowców. Nie wiesz nawet, jak bardzo dumny jestem z was, z tych, co odwalają brudną robotę. Wozicie grzeszników.

– O czym mówił Charlie?

– Zwolenników przerywania ciąży, handlarzy pornografią, gwałtowników, skrytobójców i morderców. Ateistów, pogan i tych, którzy modlą się do bożków. Z pewnością musi to dostarczać satysfakcji – utrzymywać kraj w czystości. Tak jak wielki oddział sanitarny. Wy właśnie trzymacie łotrów z dala od porządnych ludzi, dobrych, posłusznych pracowników. Wiemy przecież, że to wy, kierowcy, wykonujecie najcięższą pracę w firmie i że nie każdy powinien zostać na Dolnej Drodze w nieskończoność. Ale chcielibyśmy, żebyś tu został. Nie jako kierowca, chyba, że sam tego pragniesz, tylko dla satysfakcji z dobrej roboty. Nie, jeśli chcesz pójść w górę – a zasłużyłeś sobie na to do tej pory, bez





Fot. Archiwum

Marilyn wysokiej integracji

Lepsze niż CZŁOWIEK...

dwóch zdań – mamy tu robotę dla ciebie. Miejsce, w którym dobrze się będziesz czuł i...

– Powiedziałem już, że chcę się wycofać. Pan mówi tak, jakbym był jakimś wspaniałym facetem, a ja jestem po prostu gówniarzem. Pan to wie i ja to wiem. Wszyscy tam zaczęli mi się spowiadać, jakby byli jakimiś Starymi Marynarzami* albo co. O co tu chodzi?

Zrobił się surowy.

– Tutaj też nie jest łatwo, cwaniaczku.

To „cwaniaczku" uraziło mnie. Wstałem z krzesła. Kiedy już stałem, podniósł rękę w pojednawczym geście i zaciął usta, kiwając głową.

Przepraszam. To zachęta, z pewnością są powody, dla których chiałbyś tu pracować. Jeśli jesteś taki pewny, że pojedziesz Dolną Drogą, to możesz to odpracować.

– A co pan może o tym wiedzieć?

Błysnął promienny uśmiech.

– Charlie powiedział ci coś o tym, kto tu rządzi.

I właśnie teraz pojawiło się niebezpieczeństwo. Czułem to. Tak właśnie bywa ze związkowymi szefami.

– Powiedział, że w tym kłopot.

– To się od czasu do czasu zdarza. Załatwiamy sprawę delikatnie. Mówię ci, naprawdę potrzebujemy dobrych, pełnych współczucia ludzi. Potrzebujemy ich, żeby nam pomagali w wyborze.

Wyborze?

– Chyba nie myślisz, że Szef dokonuje całego wyboru bezpośrednio?

Nie wiedziałem co powiedzieć.

– Słuchaj, Szef... niech ci to wytłumaczę. Dawno temu Szef zdecydował się stworzyć nowy typ pracownika, z większymi zdolnościami podejmowania decyzji. Ciebie, mnie i całą resztę ludzkości. Uśmiech, bajeczka, bujda. – Niektórzy z nadzorców nie chcieli się na to zgodzić, zwłaszcza kiedy Szef powiedział, że będziemy tu długo, bardzo długo. Mieliśmy mieć nieśmiertelne dusze. Kiedy program Szefa nieźle już funkcjonował, dawał nam możliwość wyboru dobra i zła, okazało się nieuniknione, że nieliczni wybiorą zło. Możesz o nich myśleć jako o odpadkach, radioaktywnych odpadkach. Są zyski z tego programu: dobrzy ludzie, dobrzy pracownicy. Są także śmiecie, trucizna, promieniotwórcze resztki. Ilość śmieci z czasem rośnie: to ci, którzy nie chcą współpracować, kiepscy pracownicy, można powiedzieć.

– Niewielu okazało się... chronicznie niezatrudnialnymi. Niezdolnymi do współpracy. Zbaczali z właściwej drogi. Co można było z nimi zrobić? Nie można pozbyć się ich tak, żeby po prostu odeszli, obowiązuje zasada, że są nieśmiertelni. Trucizna, ale zostaje na zawsze. Więc...

„Chronicznie niezatrudnialni"? Cholernie cwany facet. A co się robi z radioaktywnymi odpadkami? Pakuje się to gówno w dziurę, największą, najgłębszą dziurę...

– Przeklęci. A ty jesteś związkowcem. Pomyśl, jak to musi być bez pracy... na zawsze. Robota Szefa jest bardzo ważna, temu nikt nie zaprzeczy. Jego wielkie plany dotyczą nas wszystkich, a jeżeli Szef nie może cię użyć, to nikt nie da rady.

Znałem to uczucie i tak, jak on je przedstawił i tak, jak wyglądała prawda ukryta za tym porównaniem. Co się robi z chronicznie niezatrudnialnymi? Bierze ich na siebie opieka społeczna... na zawsze. To czym w końcu jest Piekło? Pełnym gówna dołem czy śmietnikiem opieki społecznej? Miałem wrażenie, że on uważa je raczej za ten dół.

Ale dobry związkowiec wie, że nie ma człowieka, którego nie można by użyć do jakiegoś rodzaju pracy, któremu nie można by wytłumaczyć, że się do czegoś nadaje. Tylko zarząd może myśleć o wyrzuceniu na śmietnik lub wzięciu pod opiekę społeczną. Tylko zarząd może myśleć w kategoriach strat ludzkich.

– Szef czuł, że projekt prawie się powiódł, więc nie chciał go całkiem utopić. Tylko nie chciał też, żeby go kłopotano wszystkimi plusami i minusami, tą całą księgowością.

Ty rządzisz – powiedziałem i poczułem, jak mi krew szybko zastyga w żyłach.

Już wiedziałem, kiedy widziałem go poprzednio.

W telewizji.

Prawa ręka Boga.

I człowiek. Z krwi i kości.

My sami rządzimy Piekłem.

Skinął głową.

– Tylko że to nie jest wiadomość, którą bardzo chcielibyśmy rozgłosić.

– Ty tu rządzisz i pozwalasz kierowcom korzystać z ładunku i...

Zamknąłem się. Instynkt powiedział mi, że jeśli się nie zamknę, szybko pojadę wyboistą drogą w jedną stronę.

– Powiem ci prawdę, John. Jestem tu za wszystko odpowiedzialny dopiero od roku, a mój poprzednik pozwolił, żeby sprawy wymknęły mu się z rąk. Nie był człowiekiem religijnym i myślał, że to praca jak każda inna, robota, w której od czasu do czasu musisz iść na kompromis. Ja wiem, że to nie tak. Tu nie ma ustępstw i szybko uporamy się z niesprawiedliwością i błędnymi decyzjami. Mam nadzieję, że nam pomożesz. Możesz wiedzieć o tych sprawach więcej niż my.

– W jaki sposób zakwalifikowano pana do tej pracy? – zapytałem. – I kto ją panu dał?

– Nie Szef, jeśli o to ci chodzi, John. Było raczej tradycyjnie. Ja jestem tym, który, kiedy było to całe gadanie o pośmiertnych doświadczeniach i wszyscy widzieli jasne światło i piękno, zastanawiał się, dlaczego nikt nie widział innej strony. Znałem ludzi, którzy niemal zmarli i widzieli Piekło i zmieniłem ich życie. Zarząd zdecydował, że ktoś o moich możliwościach może zrobić tu dobrą robotę. No i jestem. Mówię ci, tu wcale nie jest łatwo. Czasami żałuję, że nie mamy trochę więcej pomocy od Szefa, trochę przewodnictwa, ale nie mamy, a ktoś to musi robić.

I znowu się uśmiechnął.

A ja zrobiłem pokerową minę.

– Oczywiście – odpowiedziałem. Miałem nadzieję, że mój gwałtowny wzrost nabożności ujdzie jego napiętej uwagi.

– No i chyba widzisz, jak to wszystko czyni cię jeszcze bardziej wartościowym dla organizacji.

Zrobiłem minę pełną nadziei.

– Nie chcemy cię stracić, John. Nie teraz, kiedy pracować dla nas jest bezpiecznie, tak bardzo bezpiecznie. To znaczy, kiedy znamy już wszystkie szczegóły zbawienia.

Pozwoliłem mu gadać aż spojrzał na zegarek, a cały czas kiwałem w zamyśleniu głową i podpowiadałem mu najlepsze sposoby. Potem dałem się nawrócić. Pospowiadałem się, dopóki nie zaczął się trochę denerwować – miał chyba jakieś ważne spotkanie – i wreszcie wypowiedziałem najważniejsze zdanie:

– Po prostu nie czułbym się dobrze tu, u góry – powiedziałem. – Przez całe życie byłem kierowcą. Chcę się tego zwyczajnie trzymać.

– Chcesz zatrzymać swą obecną pracę? – zapytał, uderzając butem o krawędź biurka.

– Boże, tak! – okazałem tyle wdzięczności, na ile mogłem się zdobyć.

A potem poprosiłem go o autograf. Uśmiechnął się szeroko i dał mi go, prawa ręka Boga, człowiek, który modlił się z prezydentami.

I znów jestem w drodze. Rozmawiam z ludźmi tu i tam, bardzo ostrożnie. Może mnie złapią, a może, kiedy wszystko zacznie się wymykać spod kontroli, pojadę moim wozem z powrotem. A później nie jestem jeszcze pewien, co zrobić.

Nie chcę puścić wszystkich wolno. Ale chcę wiedzieć, kto jeszcze kończy na Dolnej Drodze, a nie powinien się tam znaleźć. Ludzie niemile widziani przez prawą rękę Boga.

Wiadomość mam prostą.

Schronieniem rządzą szaleńcy.

Może zamiast wozić ich moją ciężarówką, zacznę ich wywozić. Mówiono, że Chrystus był ostatnim, który tego dokonał. Zszedł do Piekła i ocalił sprawiedliwych... przełamał bramy Piekieł, tak mnie zawsze uczyli na lekcjach religii w szkole.

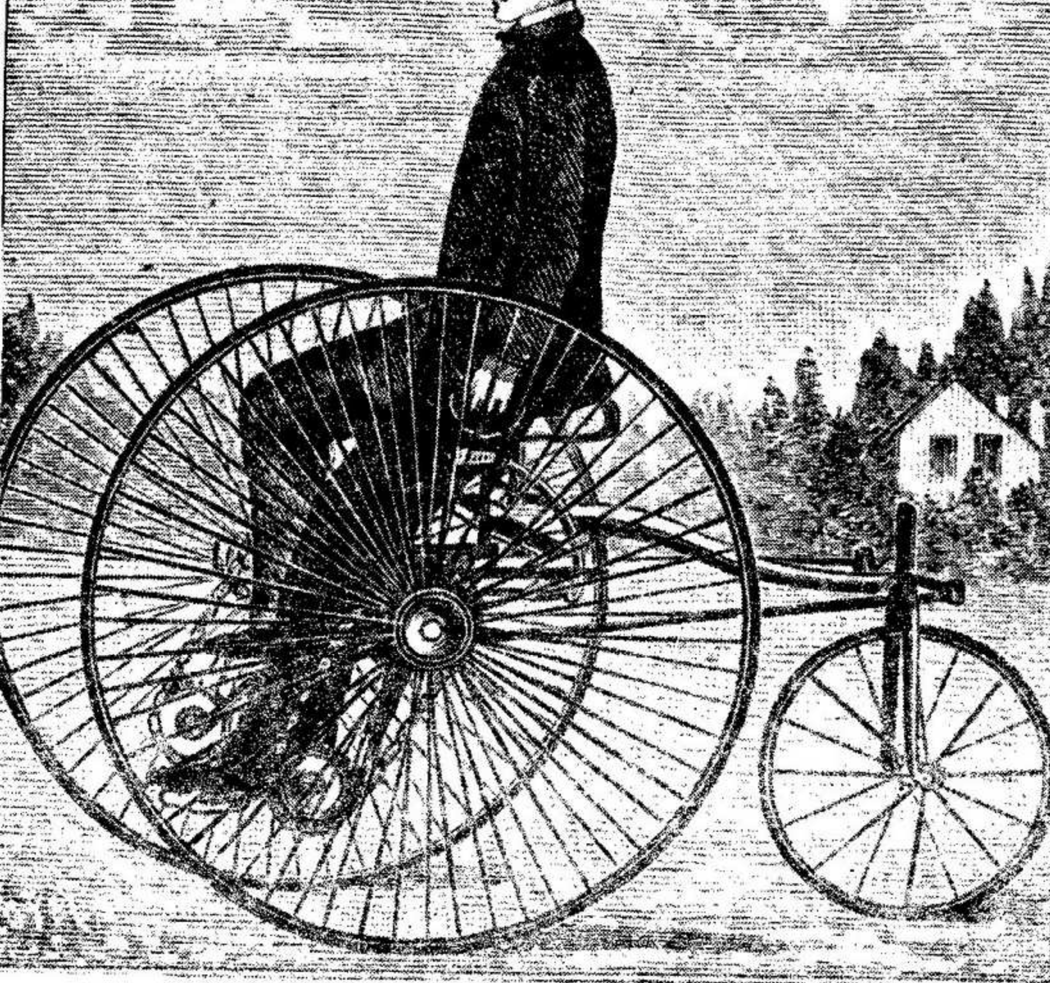
Jeśli mi się nie uda, jeśli są zbyt potężni i zbyt sprytni, skończę jadąc w przyczepie, nie w szoferce.

Ale póki jeszcze nic takiego się nie stało, odwalam swoją robotę. To nic to, że opowiadając to wszystko proszę cię o pomoc. Ale ty też jesteś związkowcem, nie? Możemy skończyć z tym wszystkim, wiesz? Kierowcy ciężarówek przełamujący bramy Piekieł – czy to nie dobry pomysł?

Przełożył **Krzysztof Sokołowski**

---

* Starzy Marynarze [illegible]



Jarosław Peter

ŚCIĘGNO ACHILLESA

(Achillovy svaly)

Na asfalcie autostrady mignęła żółto świecąca, wielka sześćdziesiątka.

Georg Zikowski miarowo naciska na pedały. Na monitorze, wysuniętym na długim ramieniu z towarzyszącego mu samochodu, obserwuje pędzący za nim peleton. W prawym górnym rogu świecą niebieskie punkciki i cyfry: +4 : 16 : -9. Chłodne rachunki małego komputera. Przewaga rośnie i wynosi cztery minuty szesnaście sekund, strata do lidera w klasyfikacji ogólnej spadła do dziewięciu sekund. O tym wie również peleton. Georg niczym maszyna robi dwieście obrotów na minutę i nawet na chwilę nie może zwolnić.

Stężenie kwasu mlekowego w mięśniach wzrosło. Implantowany czujnik przekazał impuls do mikroprocesora wtopionego w kierownicę. Pompa zaczęła pracować i odżywcza mieszanka płynie elastycznymi przewodami ze zbiornika w ramie roweru wprost do żył w nogach Georga.

Łagodne wzniesienie przy wjeździe na autostradę. Mechanizm automatycznie dostosował się do zwiększonego wysiłku mięśni i pompa zaczęła tłoczyć tlen. Dziesięciolitrowa pojemność płuc nie wystarcza. Georgowi wydało się, że dawkowanie Vitalitu jest nieprawidłowe i lewa noga otrzymuje go za mało. Zdenerwował się. Ostatnią rzeczą, której mógł się spodziewać, była awaria.

Obraz na monitorze rozlał się w czerwoną plamę. W peletonie coś się dzieje. Georg podjechał do samochodu, żeby lepiej widzieć. Ekran wypełniła masa pogiętego metalu i ludzkich ciał czerwonych od krwi i zielonych od Vitalitu cieknącego z przerwanych przewodów. Zbiorowa kraksa. Wystarczy mały błąd kolarza, zepsucie pompy lub zatkany aparat tlenowy i dziesiątki osób zaczynają walkę o życie. W tłumie leżących zawodników ujrzał Georg rudą głowę Wolfa Thijssena.

„Jestem pierwszy. Nie muszę już nadrabiać żadnych sekund do tego rudego biedaka" – pomyślał od razu Zikowski.

W tym momencie patrzyły na niego miliony ludzi na całym świecie. Miliony siedziały przy telewizorach. W domach, restauracjach, na dworcach i nad rzeką. Wszyscy ściskali w dłoniach blankiety sportowego toto-lotka i zapominali o swoich problemach. Już nie bali się, że stracą pracę albo że za rogiem ktoś dla kilku groszy poderżnie im gardło, niczym jagnięciu. Nie przeszkadzały im nawet dwukrotne przerwy w dopływie prądu ani wielogodzinne kolejki po jarzyny.

Czekali na swoją szansę. Reżyser telewizyjnej transmisji wybierał ujęcia, na których dobrze czytelny był na koszulce Zikowskiego napis KORNELIUS. Jutro miliony ludzi pójdą kupić bieliznę firmy „Kornelius". Od jutra wyroby ze znakiem „Kornelius" będą najlepsze w powodzi równie pierwszorzędnych towarów innych tekstylnych gigantów. Wolfem Thijssenem nikt się już nie interesował.

Georg pędził na lekkim, aerodynamicznym monstrum z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, jak gdyby nie przesiedział na siodełku niemal całego dnia. Słyszał megafony i szalony ryk tysięcy ludzi na trybunach.

– Gic już jest! – krzyczał komentator telewizyjny. – Jest tutaj autentyczny zwycięzca wyścigu „W poprzek Europy". Zwycięża Zikowski ze stajni Korneliusa. Kornelius zawsze i wszędzie pierwszy! Kornelius najlepszy ze wszystkich! Kornelius! Kornelius najlepszy ze wszystkich! Kornelius! Kornelius!

Franc i Georg Zikowscy siedzieli w domu przy stole i jedli kolację. Georg dojadł kawałek baraniny i położył rękę na ramieniu brata.

– Dziękuję, Franc, jest to również twoje zwycięstwo. Nigdy ci tego nie zapomnę, że dałeś mi swoje mięśnie.

Franc podniósł ręce w obronnym geście.

– Daj spokój, bracie. Umawialiśmy się, że nie będziemy o tym mówić. Miałeś zawsze lepsze serce i płuca niż ja. Na moim miejscu również byś tak samo postąpił. Dzisiaj bez hiperfunkcyjnego przeszczepu mięśni nie można uprawiać kolarstwa. Skąd mieliśmy wziąć pieniądze na zapłacenie specjalnie trenowanemu dawcy? I chociaż nie jeździłem tak dobrze jak ty, nie byłem znów tak złym kolarzem, jak sądzisz?

– Byłeś najlepszym kolarzem i bratem, jakiego mogłem sobie życzyć.

Franc uśmiechnął się z wdzięcznością.

– Pochlebco. Była to jedyna szansa na zrobienie pieniędzy. I jako jednojajowe bliźniaki nie ponosiliśmy ryzyka, że transplantacja się nie uda. Zostawmy to. Lepiej pochwal się, ile dzisiaj zgarnąłeś.

– Daje to po dwieście pięćdziesiąt tysięcy dla każdego. Dzieliśmy się przecież po połowie. W dodatku Wright zaproponował mi dwa miliony za przejście!

Franc z uznaniem gwizdnął. Georg smutno popatrzył na puste nogawki brata, a później na swoje niezwykle rozrośnięte nogi, które na kościach, specjalnie wzmocnionych tytanowymi obręczami, niosły wymyślnie naszyty przeplataniec ogromnych mięśni dwóch ludzi. Nogi zdolne wprawdzie wygrać dowolny wyścig kolarski, lecz niezdolne do niczego innego.

– Cały szmal oddałbym za to, żeby choć raz pobiec po łące – powiedział Georg.

Zadzwonili na służącego i kazali się zawieźć do zszarzałego, spokojnego ogrodu.

Przełożyła **Grażyna Czerna**

Jaroslav PETR

Urodził się w 1958 roku; zootechnik, autor SF. Opowiadanie „Ścięgno Achillesa", pochodzące z antologii „Stalo se zítra" (Praha 1984), było jego debiutem.

(G.C.)

Jaroslav Veis

NA ZDROWIE

(Na zdraví)

Marek nachylił się nad pulpitem i dłonią przeciął drogę cienkiemu, jasnozielonemu promykowi lasera, który błądził wzdłuż ściany z okienkami handlowymi.

– Czym mogę służyć? – zacharczało sitko głośnika umieszczonego w pulpicie wykonanym z ceramiki imitującej drewno. Z tyłu przesuwał się pas transportowy, który miał wygląd gumy. Pas był już niemal przetarty.

Marek obszukiwał kieszenie. Karteczka, gdzie jest ta przeklęta karteczka, na której zapisał wszystkie zakupy. Ewa dyktowała mu to rano myjąc się w łazience (on w tym czasie jadł śniadanie), a potem jeszcze dwukrotnie telefonowała do pracy. Jak na złość, właśnie wtedy plątał się koło niego Krul. Krul, który zawsze przy okazji spotkania w pracy, kiedy Marek chce zniknąć po angielsku, zaczyna przebąkiwać coś o pantoflarzach i męskiej emancypacji. Łatwo mu mówić, bo jest rozwiedziony. Ewa chciała jeszcze filtr słoneczny, pamięta, że to też dopisywał na tej przeklętej karteczce, ale czort wie, gdzie mógł ją wetknąć.

– Czym mogę służyć? – cierpliwie powtarzał głośnik, właśnie tak był zaprogramowany: co trzydzieści sekund proponował swoje usługi.

Nareszcie. Szybko rzucił numer rodzinny i przeczytał pierwszą pozycję z listy.

– Lakier ochronny do twarzy. Opakowanie podróżne.

Nad okienkiem zabłysnęła dioda. TAK. We wnętrzu otworu pojawił się wysoki, niebieski pojemnik aerozolu. Metalowa ręka wysunęła go na zewnątrz i ustawiła na pasie transportowym, który przesunął się do urządzenia pakującego.

– Proteinowy pokarm dla ryb. Żarówkę sześćdziesiątkę z regulacją poboru energii. Bloki pamięci do komputera kuchennego Mates 200, cały karton. Hybrydowe kalarepki, cztery porcje – czytał dalej Marek, czekając za każdym razem aż zapali się TAK, pojawi to, co chciał, a mechaniczna ręka ponownie zniknie w otworze.

– Papier toaletowy. Ostatni numer „Krzyżówek i szarad". Olej stołowy. Duże opakowanie pasty witaminizowanej. Dwa opakowania wosku do nart biegowych na prawdziwy śnieg. Litr mleka bez cholesterolu. Odebrać dzieci.

Zaświeciła się czerwona dioda. NIE. Pas transportowy raptownie się zatrzymał, aż pudełko z mlekiem bez cholesterolu przewróciło się na bok.

– Zmiana – powiedział Marek. – Ostatnia pozycja skreślona. Bezpiecznik regulatora poboru ciepła. Przyprawa w aerozolu do syntetycznych parówek.

Znowu czerwone światełko i gwałtowne zatrzymanie pasa.

– Przyprawy w aerozolu do parówek syntetycznych w tej chwili nie ma w magazynie – zacharczał głośnik. – Jest do dyspozycji w dowolnej ilości w składzie dwieście trzynaście w Alei Heyrowskiego. Pierwsza ulica na prawo za placem Równowagi Ekologicznej. Słucham.

– Damski filtr słoneczny – powiedział Marek. – To wszystko.

– Dziękuję – zacharczał głośnik. – Proszę zwolnić miejsce dla następnego klienta. Do zobaczenia.

Przyczepka była wypełniona aż po brzegi. Ostrożnie poukładał ostatnie paczki, zabezpieczył, aby żadna nie wypadła, a potem odprowadził wózek po czarnej spirali na dół, do garażu. Parkował w trzecim boksie z brzegu. Umocował haczyk przyczepki w otworze błotnika tylnego koła, przełożył nogę przez ramę i wolno podjechał do wyjścia.

Zatrzymał się pod bramą prowadzącą do komory przejściowej i do gruszkowatego mikrofonu powiedział swój numer rodzinny. Z drucianego koszyka przytwierdzonego do kierownicy wyjął maskę, założył ją, kiedy brama otworzyła się wolno wjechał do komory, a potem na ulicę.

Z nadgarstka rozległo się buczenie podręcznego telefonu. Przełączył go do słuchawek w masce.

– Masz wszystko?

– Jasne, chrabąszczu – powiedział z wyrozumiałością. – Tylko przyprawy do parówek nie było. Ale jest na Heyrowskiego. Właśnie tam jadę.

– Jeśli będzie kolejka, to daj spokój. Najważniejsze, że masz filtr. Ja chyba ze wszystkim nie zdążę. A jeszcze jak pomyślę, ile rzeczy człowiek musi wziąć ze sobą i że tam nie ma Edy... Pamiętasz jak było w lecie...?

W lecie krótkie spięcie w sieci energetycznej zablokowało trzy obwody Edy – elektronicznej aparatury dostawczej, i przez cały dzień miasto musiało samo troszczyć się o siebie. Wiele osób do tej pory nie otrząsnęło się z tego. Ewa też nie.

– Ale dziś wszystko było z Edą w porządku, chrabąszczu. Pojadę tylko po tę przyprawę, odbiorę dzieci i pędzę do domu.

– Dzieci! Daj spokój z tą przyprawą, Marku. Jedź prosto po dzieci. Wiesz przecież, że im wcześniej tam przyjedziesz, tym lepiej. Nie lubią, kiedy przychodzi się w ostatniej chwili.

– Nie martw się, chrabąszczu.

Powoli pedałował zatłoczoną ulicą i starał się przepchnąć w lewo, na środkowy pas, aby potem skręcić na plac Równowagi Ekologicznej. Ulica wznosiła się teraz pod górę. Przesunął dźwignię przerzutki na dwójkę.

W tylnym kole coś zabrzęczało. Przydałaby się nowa przerzutka, pomyślał, najlepiej Uran z dwunastoma prędkościami. Ci, którzy ją mają, bardzo sobie chwalą. Przecież jeżeli rower jest w porządku, od razu lepiej się żyje na świecie.

Obok niego ktoś zadzwonił. Przestraszył się, że zajechał komuś drogę, a upaść na mokry, zimny asfalt nie byłoby przyjemnie.

– Cześć, Marek – usłyszał zduszony maską głos.

Podniósł głowę: to był Krul. Ciągle dziś włazi mu w drogę. Poznał go po ubiegłorocznym modelu Eski i pomarańczowym filtrze z dwoma niebieskimi prążkami na masce. Pomarańczowy z dwoma niebieskimi prążkami to rzadkość, twierdził Krul, jest dobry na alergię i na opary jodu. Marek miał zwyczajną, jasnoniebieską maskę, chroniącą przed zwykłymi oparami i wieloma pyłkami chwastów, powodujących katar sienny.

Krul postukał w swój filtr. Znaczyło to, włącz słuchawki. Nie można powiedzieć, żeby Marek miał na to ochotę.

– Ale pogoda – zakwiczał mu Krul wprost do uszu. To jego natręctwo było potworne. – Czy pamiętasz, kiedy padał w zimie śnieg? A te stare czasy, kiedy był mróz?

– Ja za tym nie przepadałem – odpowiedział Marek. – Kiepsko się jeździło na rowerze. Ciągle leżałem na ziemi.

– Gdybyś miał opony z gwoździkami... Gwoździki były najlepsze. Tylko trzeba było uważać, żeby nie wpaść na policjanta. A ty nie mów, że podoba ci się ta szklarniana zima, jaką teraz ciągle mamy.

– Jeśli chcę zimy, to do niej pojadę.

– A teraz nie skoczysz na kielicha? – Krul wskazał na migający napis na jednym z domów przed nimi. Napis głosił: OAZA, a obok świecące rurki tworzyły kieliszek na wysokiej nóżce, z którego ulatywały bąbelki. Aby nikt nie musiał wątpić o jakości napoju, bąbelki były oznaczone jako O_2 i O_3.

– Ale ja jutro wyjeżdżam z rodziną w góry. I muszę jeszcze odebrać dzieci.

– Rzeczywiście, nieomal zapomniałem, że ty masz urlop! Ale przecież nie będziesz bał się wstąpić na jednego? wskazał ręką, że będzie zjeżdżać do chodnika.

– Obiecałem Ewie, że jej pomogę, i muszę jeszcze zdążyć po dzieci.

– Ależ Marku, chyba nie chcesz, abym pomyślał, że jesteś pantoflarzem. Chyba nie boisz się starej?

Jarosłav VEIS

Urodził się w 1946 roku, dziennikarz, tłumacz, autor SF. W naszym miesięczniku drukowaliśmy jego opowiadanie „Duplikator Hendersona" („Fantastyka" nr 9/85).

(KS)

– Ale tylko jednego – powiedział szybko Marek i zadzwonił na blondynkę w masce z zielonym filtrem (alergia na pył), która skręcając w lewo nie dała żadnego znaku. – Uważaj, damulko!

Usiedli przy małym stoliku obok drzwi. Przez źle uszczelnioną komorę przejściową dostawał się do środka smród. Marek przymknął oczy i się zamyślił. Jasne – amoniak z małą domieszką siarczanów.

Krul wystawił swą dłoń w kierunku promyka.

– Czym mogę służyć? – rozległo się nad stołem.

– Osiemdziesiąt dwa zero sześć piętnaście łamane a ce e trzydzieści trzy pięćdziesiąt sześć – wyrecytował Krul. – Proszę dwa rumy. Z tlenem i witaminą B dwanaście.

Hej, ktoś do ciebie dzwoni – powiedział Krul. – Miga dioda na twojej bransolecie.

Ewa. Marek był tego pewien. Kiedy przyszli do Oazy wyłączył dźwiękowy sygnał telefonu i zupełnie o tym zapomniał. A dzieci! Miał odebrać dzieci!

Za oknami było ciemno.

Wcisnął przycisk telefonu.

– Tak, chrabąszczu – powiedział niepewnie. – To ja.

– Marku, gdzie się włóczysz? Jedziecie już do domu? Siedzę tu jak na szpilkach!

– Już jestem w drodze, chrabąszczu.

– Jak tam chłopcy? Daj mi ich do telefonu. Wiktor, Beniamin! Cześć, tu mama!

Wystraszył się i przełknął ślinę.

– Tu ich nie ma, Ewo – nagle wpadła mu do głowy zbawcza myśl. – Są teraz w garderobie. Jedna sympatyczna pani pomaga mi ich ubrać. Za sekundę wyjeżdżamy, chrabąszczu.

– Marku, ty piłeś! Ja przecież poznam! Piłeś coś?

– Nie żartuj, co miałbym pić. Zatrzymałem się tylko z Krulem na kawę.

– Czyś ty zwariował! Rano wyjeżdżamy, jeszcze nic nie mamy spakowane, a ty spokojnie chodzisz po knajpach?! Uświadom sobie, że nie możemy niczego zapomnieć, bo tam w górach nic nie można kupić. Naprawdę jesteś straszny!

– Uspokój się, chrabąszczu. Zdążymy. Biorę chłopców i za kilka minut będziemy w domu. Prawie całą drogę mam z górki. Czekaj na nas, chrabąszczu.

Zanim zdążyła coś jeszcze powiedzieć, wyłączył telefon.

– Wpadka – powiedział do Krula. – Zapomniałem, że mam odebrać dzieci.

– Nie powinieneś zamawiać drugiej kolejki. – Krul wzruszył ramionami. – A przed trzecią też się nie broniłeś. Słuchaj, a może ja pójdę z tobą i wyjaśnię to wszystko twojemu chrabąszczowi?

– To by dopiero ją pocieszyło! – żachnął się Marek, wstał i wyszedł do komory przejściowej. Dopiero intensywny zapach amoniaku przypomniał mu, że nie założył maski. Naciągnął ją, wsiadł na rower i nacisnął na pedały.

Kiedy dojechał do niskiego budynku stojącego w parku z odpornych roślin, świeciło się tylko w dwóch oknach na parterze. Inne były ciemne. Na chwilę przestało bić mu serce. Pomyślał, że może chłopcy czekają na niego w portierni. Może liczyli się z tym, że przyjedzie później i już ich ubrali. A może Ewa do nich telefonowała.

Nacisnął klamkę. Brama była otwarta. Szybko podbiegł do drzwi wstępnej komory przejściowej i uderzył w nie pięścią. Za mlecznym szkłem dostrzegł zarys jakiejś postaci. Wydało mu się, że się nie poruszyła. Znów uderzył w drzwi.

– Co tam? – rozległ się głos starego mężczyzny. Potem zachrobotał klucz i pojawiła się twarz bez maski. – Co za hałas?

Marek wepchnął się do środka.

– Przyszedłem po dzieci.

– Najpierw niech pan zdejmie to z twarzy – powiedział starzec z kluczem w dłoni. – Nic nie rozumiem.

Marek zerwał z twarzy maskę.

– Przyszedłem po dzieci – powtórzył.

– Pech, panie młody. Już za późno. Nie ma tu nikogo.

– To niemożliwe. Nie ma tu dyżurów? Miałem odebrać dzieci. To było uzgodnione.

– Ja mam tu dyżur. Inni poszli do domów. A może pan myśli, że przez pana będą tu sterczeć całą noc? Aż raczy pan przyjść? Oni też mają prawo do odpoczynku. A tutaj i tak pracuje się do piątej, o godzinę dłużej niż gdzie indziej.

– A nie można jakoś tego załatwić? – próbował Marek. – Może zatelefonowałby pan po kogoś, kto mógłby mi je wydać.

– Do kogo, proszę pana? Niech pan przyjdzie jutro. Dostanie je pan rano, skoro to uzgodnione.

– Ale my jutro rano wyjeżdżamy w góry. Rozumie pan, chcieliśmy zabrać dzieci na świeże powietrze. Dostałem skierowanie do strefy powyżej trzech tysięcy metrów!

– No, no, na takiej wysokości to ja jeszcze nie byłem – powiedział staruszek. – Jak tam jest?

– Nie wiem. – Marek wzruszył ramionami. – Dziko. Ja też tam jeszcze nie byłem. I chyba się tam nie dostanę. Jeżeli nie wyjadę rano, skierowanie przepadnie.

– No cóż. – Staruszek pokiwał głową. – Powinien pan się nad tym wcześniej zastanowić. Czy to ma sens, aby o dzieciach przypominać sobie w ostatniej chwili? A co na ostatnią chwilę – to za późno!

Marek włożył rękę do kieszeni kurtki. Wyjął małą, złotawą bombkę z ustnikiem.

– Chce pan? – zapytał staruszka.

Staruszek zapatrzył się w bombkę.

– To zagraniczne?

– Nepal – odpowiedział Marek. – Najczyściejszy tlen z Himalajów. Szwagier mi przywiózł. Był tam służbowo. Niech pan spróbuje.

Staruszek łakomie włożył ustnik między wargi i dwa razy nacisnął balonik.

– Dobry smak – stwierdził.

– Niech pan weźmie jeszcze. Naprawdę nie można z tym nic zrobić? Może zatelefonować do kogoś, kto mieszka blisko? Nie chcę tego za darmo...

– Nie da rady. Chyba że zrobiłbym to ja sam. Ale mnie tego nie wolno, nie mam pozwolenia. Proszę. – Oddał Markowi bombkę.

– Bardzo proszę. – Marek zatrzymał rękę z bombką. – Niech pan sobie ją zostawi. Jest prawie nowa.

Staruszek patrzył niepewnie.

– Żeby tylko nie było z tego kłopotów – mruknął. – Niech mi pan poda numer rodzinny. Czy pan wie, jak dla pana ryzykuję?

Marek podał mu wizytówkę z adresem i numerem rodzinnym.

– W domu mam jeszcze tlen z Kaukazu – powiedział. Też w aerozolu. Kiedy będę oddawał dzieci, przyniosę go panu.

Starzec odwrócił się i wolno podszedł do brązowego stołu. Schował bombkę do szuflady, a potem zaczął na klawiaturze komputera dokładnie i z długimi przerwami wystukiwać kody. Co chwila zatrzymywał się i zaglądał do wąskiego, czarnego zeszytu. Marek uwierzył mu, że nie ma pozwolenia. I trochę bał się, czy starzec wybierze mu właściwe dzieci.

Nad stołem rozjaśniał się ekran. Ukazała się na nim przezroczysta skrzynia, która przesuwała się po korytarzu. W jej wnętrzu były dwa łóżka. Wiktor leżał na górze, a młodszy, Beniamin – na dole.

– Teraz mają minus sto osiemdziesiąt pięć – powiedział starzec. – Za trzydzieści minut będą mieli normalną temperaturę: trzydzieści sześć i sześć.

Marek kiwnął głową. Oczarowany patrzył na twarze obu chłopców. Od lata, kiedy ich tu ułożyli i kazali zamrozić, w ogóle się nie zmienili. Są nawet jeszcze opaleni, a on już stracił opaleniznę. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo ich kocha.

– Kiedy będzie pan oddawał dzieci? – przerwał starzec długą chwilę milczenia.

– Za dwa tygodnie. Cały ten czas będą w górach. Na świeżym powietrzu.

– Będzie im tam lepiej niż tutaj. – Dziadek wskazał głową na ekran. – O, już się ruszają.

Wiktor usiadł. Beniamin jeszcze leżał, ale mocno tarł małymi piąstkami oczy.

– Mam iść tam po nich? – zapytał Marek.

– Spokojnie. Sami przyjdą. – Starzec pochylił się nad klawiaturą i znów coś wystukał. – A więc za dwa tygodnie? – zapytał jeszcze raz.

– Tak.

– I tak nie rozumiem, dlaczego pan to robi – powiedział starzec. – Ciągle ich tu wozić i hibernować. Ja zostawiłbym ich na dworze i niech się przyzwyczajają. Podobno wiele osób już tak robi. Po prostu mają w nosie przepisy i zostawiają dzieci w domu.

– A nie widział pan prognozy zanieczyszczeń na ten rok? – spytał Marek. – Dwa razy tyle związków chloru. A siarczany też tak szybko nie zginą. Lepiej niech chłopcy ten najgorszy czas przeczekają tu, w zamrażalni. Człowiek robi to przecież dla ich dobra, nie sądzi pan? Tak, w góry, na urlop, to ma sens. Ale w mieście?

– Jak pan uważa. To przecież pańska sprawa. – Starzec włożył rękę do szuflady, wyjął bombkę i z zadowoleniem na nią popatrzył. – Nie chce pan jeszcze pociągnąć? – zapytał.

Marek pokręcił głową.

Starzec włożył ustnik między zęby.

– Na zdrowie – powiedział i nacisnął.

– Na zdrowie – przytaknął Marek.

Przełożyła Urszula Janus

MOZART W PRZECIWSŁONECZNYCH OKULARACH

(Mozart in Mirrorshades)

Bruce Sterling
Lewis Shiner



Andrzej Brzezicki

Ze wzgórza położonego na północ od miasta Rice spoglądał na osiemnastowieczny Salzburg, rozłożony poniżej, jak na wpół zjedzony obiad. Ruiny kościoła św. Ruperta wydawały się jakby mniejsze przy ogromnych, popękanych wieżach i obrzmiałych, rozdętych, bulwiastych zbiornikach rafinerii. Gęsty biały dym wypuszczany przez kominy kłębił się nisko. Z miejsca, gdzie siedział, pod liśćmi więdnącego dębu, Rice mógł czuć znajomy petrochemiczny zapach.

Tak nie pasował on do tego miejsca, że aż go to zachwycało. Podobnie jak i stacja pomp w kształcie fallusa na głównym dziedzińcu żeńskiego klasztoru lub prosta linia podmiejskiego rurociągu, przedzierającego się przez labirynt wybrukowanych kocimi łbami uliczek Salzburga.

Być może było to wszystko nazbyt brutalne dla miasta, ale nie stało się przecież z winy Rice'a. Promień czasu zogniskował się przypadkowo w punkcie na podłożu skalnym poniżej Salzburga, tworząc bąbel mogący się powiększać, łącząc ten świat z rzeczywistym czasem Rice'a.

Wysokie ogrodzenie otaczało na przestrzeni mili kwadratowej miejsce zajmowane przez kombinat. Rice spędził tam dwa lata, kierując zespołami pracującymi na całej planecie, przerabiającymi statki wielorybnicze na tankowce lub szkolącymi lokalnych majstrów, by ci układali linie rurociągów aż do Synaju i Zatoki Meksykańskiej.

Teraz nareszcie patrzył na to z zewnątrz, mimo wszystkich sprzeciwów Sutherland, która zajmowała się kontaktami dyplomatycznymi w ich Towarzystwie. Sama jego obecność, jak twierdziła, mogłaby tylko pogłębić szok przyszłości, który wstrząsnął miastem.

Rice nie mógł się z tym pogodzić. Kombinat stał, produkcja przewyższała założoną, a jemu należało się trochę luzu.

Na grzbiet wzgórza, w jego stronę, mocno się chybocząc, wjeżdżała motorynka. Jadący na niej chłopak miał trudności z utrzymaniem na pedałach swoich zapiętych na klamerki lakierków na wysokich obcasach, przy tym trzymał w zgięciu prawego ramienia wielki przenośny magnetofon stereo. Motorynka pochyliła się i zatrzymała w pewnej odległości, z której Rice rozpoznał 40 Symfonię g-moll.

Chłopak ściszył magnetofon widząc, że Rice idzie w jego kierunku.

– Dobry wieczór, Panie Kierowniku Fabryki. Czy nie przeszkadzam?

– Nie, fajnie że jesteś. – Rice przyjrzał się zjeżonej czuprynie, która zastąpiła niemodną perukę. Widywał już tego dzieciaka przy bramach kombinatu. Należał on do tych, którzy tkwili tam dniami i nocami, żebrząc o radia, nylonowe pończochy i zastrzyki penicyliny. Ale w tej chwili muzyka wytworzyła szczególny nastrój.

– To ty jesteś Mozart, prawda?

– Wolfgang Amadeusz Mozart, do usług.

– Niech mnie licho! Czy wiesz, co jest na tej taśmie?

– Tu jest napisane moje nazwisko.

– No właśnie. Ty to skomponowałeś. Chociaż właściwie powinienem powiedzieć, że skomponowałbyś. Za jakieś piętnaście lat.

Mozart skinął głową.

– To jest bardzo piękne. Nie umiem po angielsku wyrazić tego, co czuję słuchając tej muzyki.

Wszyscy ludzie, którzy tyle czasu spędzali przy bramach zdążyli już się nieźle ustawić. Rice był pod wrażeniem taktu chłopaka, nie mówiąc już o opanowaniu przez niego języka angielskiego. Standardowy język miejscowych nie wykraczał poza wyrazy: radio, lekarstwa i pieprzyć.

– Wracasz do miasta? – zapytał Rice.

– Tak, Panie Kierowniku Fabryki.

Coś w tym dzieciaku pociągało Rice'a. Jego entuzjazm, blask w oczach. No i oczywiście to, że był to jeden z największych kompozytorów wszechczasów.

– Nie bądź taki oficjalny – powiedział Rice. – Powiedz mi, gdzie tu facet mógłby się trochę zabawić?

Początkowo Sutherland nie chciała, żeby Rice brał udział w tym spotkaniu. Ale był on ekspertem koncernu od zjawisk fizyki czasowej, a Jefferson zamęczał amerykański personel pytaniami o dziury w czasie i światy równoległe.

Z drugiej strony Rice był podniecony możliwością spotkania z Thomasem Jeffersonem, pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nigdy nie lubił Washingtona, był więc zadowolony, że jego koledzy Masoni namówili go, by nie wchodził w skład „bezbożnego" zarządu koncernu.

Rice pocił się w swym grubym, podwójnie robionym swetrze, gdy razem z Sutherland czekali w sali konferencyjnej twierdzy Hohensalzburg, w której niedawno zainstalowano klimatyzację.

– Zapomniałem, jak się człowiek czuje w czymś tak grubym – powiedział.

– Przynajmniej – odpowiedziała Sutherland – nie założyłeś dzisiaj tego cholernego kapelusza.

Samolot z Ameryki spóźniał się i wciąż spoglądała na zegarek.

– Trójgraniastego? – zapytał Rice. – Nie lubisz go?

– Na miłość boską, to kapelusz masoński, symbol antymodernistycznej reakcji.

Front Wyzwolenia Wolnomularzy był kolejnym koszmarem prześladującym Sutherland, lokalną polityczno-religijną grupą, która dokonała kilku ataków na rurociąg.

– Och, daj spokój, Sutherland. Dała mi go jedna z przyjaciółek Mozarta. Teresa Maria-Angela, któraś z byłych arystokratek. Wszystkie one kręcą się wokół baru w centrum, w którym on muzykuje, a kapelusz po prostu mi się podoba.

– Mozart? Przyjaźnisz się z nim? Czy myślisz, że powinniśmy go po prostu tak zostawić? Po tym wszystkim co mu zrobiliśmy?

– Co z tego? – powiedział Rice. – Mam do tego prawo. Spędziłem dwa lata, żeby wszystko rozkręcić, podczas gdy wy zabawialiście się w te wzruszające rozgrywki z Robespierre'em i Thomasem Paine'em. Kilka razy spotkałem się wieczorem z Wolfgangiem i już się mnie czepiasz. A co z Parkerem? Jakoś się nie wściekasz na niego, chociaż codziennie gra na koncertach tego swojego rock and rolla. Każdy najtańszy tranzystor w tym mieście ryczy jego muzyką.

– On jest w pionie propagandy. Możesz mi wierzyć, że gdybym mogła temu zapobiec, zrobiłabym to, ale Parker to specjalny przypadek. On ma wszędzie układy w Czasie Rzeczywistym.

Potarła policzek.

– Zostawmy to, dobrze? Tylko spróbuj być miły dla prezydenta Jeffersona. Ostatnio nie było mu łatwo.

Sekretarka Sutherland, była dama dworu, weszła oznajmić, że samolot już wylądował.

Jefferson, wściekły, przepchnął się koło niej. Jak na miejscowych był wysoki, z grzywą płonących, czerwonych włosów i najbardziej niespokojnymi oczyma, jakie Rice kiedykolwiek widział.

Proszę usiąść, panie prezydencie – Sutherland wskazała ręką dalszą stronę stołu. – Czy ma pan ochotę na kawę lub herbatę?

Jefferson popatrzył na nią gniewnie.

– Raczej maderę – powiedział. – Jeżeli to macie.

Sutherland skinęła na sekretarkę, która gapiła się przez chwilę nie rozumiejąc, po czym wybiegła.

– Jaki miał pan lot? – zapytała Sutherland.

– Wasze urządzenia robią wrażenie – odrzekł Jefferson – jak sami zresztą dobrze wiecie.

Rice zauważył, że ręce lekko mu drżały. Chyba nie najlepiej zniósł lot samolotem pionowego startu i lądowania.

Życzyłbym tylko sobie, żeby wasza wrażliwość polityczna była równie zaawansowana.

– Pan wie, że nie mogę odpowiadać za moich przełożonych – powiedziała Sutherland. – Ja zaś bardzo boleję nad negatywnymi stronami naszych działań. Przykro mi z powodu Florydy.

Zirytowany Rice wysunął się do przodu.

– Przecież nie przybył pan tutaj, aby dyskutować o wrażliwości.

– O wolności, proszę pana! – odparował Jefferson. – Problemem jest wolność.

Sekretarka wróciła z pokrytą kurzem butelką sherry i stosem czystych plastykowych kubeczków. Jefferson, którego ręce trzęsły się w tej chwili już w sposób widoczny, napełnił jeden z kubków i spróbował. Jego twarz zaczęła odzyskiwać kolor.

– Gdy połączyliśmy nasze siły, poczyniliście pewne obietnice. Zagwarantowaliście nam wolność, równość i swobodę w wyborze drogi do szczęścia. Zamiast tego, wszędzie, gdzie tylko się człowiek ruszy, natyka się na te wasze maszyny, a wasze tanie dobra wodzą na pokuszenie obywateli mojego wielkiego kraju. Nasze bogactwa naturalne i dzieła sztuki znikają bez śladu. – Ostatnie zdanie powiedział Jefferson wstając.

Sutherland przywarła do oparcia swego krzesła.

– Powszechne dobro wymaga pewnego okresu, hmmm, przystosowania...

– Och, daj spokój, Tom – wtrącił się Rice. – Nie łączyliśmy sił. To tylko takie ple-ple. Załatwiliśmy Brytyjczyków i daliśmy wam fory, a wy nawet nie kiwnęliście palcem. To po pierwsze, a po drugie, jeżeli odpompujemy sobie trochę ropy i wywieziemy parę obrazów, to nie ma to nic wspólnego, do licha, z waszą wolnością. Możecie robić, co wam się żywnie podoba, bylebyście tylko zeszli nam z drogi. Rozumiemy się?

Jefferson usiadł. Sutherland spokojnie podała mu następny napełniony kubek, który wychylił jednym haustem.

– Nie rozumiem was. Twierdzicie, że przybywacie z przyszłości, a postępujecie tak, jak byście chcieli ją zniszczyć.

– Ależ nie – odpowiedział Rice. – To wygląda trochę inaczej. Historia jest jak drzewo, rozumiesz? Jeśli zawracasz i bałaganisz w przeszłości, inna gałąź historii oddziela się od głównego pnia. Wasz świat jest po prostu jedną z takich gałęzi.

– Więc – powiedział Jefferson – ten świat, mój świat, nie prowadzi do waszej przyszłości.

– Właśnie – przytaknął Rice.

– Co daje wam swobodę gwałcenia i łupienia nas ile tylko wlezie. Podczas gdy wasz świat jest nietknięty i bezpieczny. – Jefferson wstał znowu. – To wydaje mi się tak ohydne, że wprost trudno w to uwierzyć, to jest w ogóle nie do przyjęcia. Jak możecie brać w czymś takim udział. Czy nie macie ludzkich uczuć?

– Och, na miłość boską – powiedział Rice – oczywiście że mamy. A radia, magnetofony i lekarstwa, które dostarczamy do

niby nic! Sądzę, że ma pan dużo odwagi, aby pokazując twarz pełną dziobów po ospie i w nieświeżej koszuli przyjść tutaj z domu, w którym ma pan setki niewolników i wykładać nam, co to jest humanizm!

- Rice? - pytająco powiedziała Sutherland.

Rice spiął się wzrokiem z Jeffersonem. Powoli prezydent znowu usiadł.

- Spójrz - odezwał się po chwili, już łagodniej Rice. - Nie chcemy być nierozsądni. Prawdopodobnie nie wszystko ułożyło się tak, jak sobie to wyobrażałeś, ale takie jest właśnie życie, no nie? Powiedz, czego chcesz, ale tak n a p r a w d ę ? Samochodów? Kin? Telefonów? Kontroli urodzeń? Powiedz tylko słowo, a będziesz to miał.

Jefferson ścisnął kciukami kąciki oczu.

- To, co pan mówi, brzmi dla mnie zupełnie pusto. Ja tylko chcę... chcę tylko wrócić do domu. Do Monticello. I to jak najszybciej.

- Czy ma pan atak migreny, panie prezydencie? - zapytała Sutherland. - Mam tu coś dla pana.

Popchnęła po stole, w jego stronę, fiolkę z pigułkami.

- Co to jest?

Sutherland wzruszyła ramionami.

- Poczuje się pan po tym lepiej.

Po wyjściu Jeffersona Rice oczekiwał reprymendy, lecz Sutherland tylko powiedziała:

- Wydaje się, że bardzo wierzysz w realizację projektu.

- Głowa do góry - odrzekł Rice. - Spędzasz zbyt dużo czasu wśród polityków. Wierz mi, ten czas jest prosty i prości są zamieszkujący go ludzie. Fakt, że trochę zbeształem Jeffersona, ale on przyjdzie do siebie. Nie denerwuj się.

Rice odnalazł Mozarta sprzątającego ze stołów w głównej sali jadalnej twierdzy Hohensalzburg. W wyblakłych dżinsach, kolorowej marynarce i ciemnych okularach przeciwsłonecznych mógłby ujść za nastolatka z czasu Rice'a.

- Wolfgang - krzyknął do niego Rice. - Jak tam nowa praca?

Mozart odstawił stos naczyń i przeciągnął ręką po krótko obciętych rudych włosach.

- Wolf - powiedział. - Mów do mnie Wolf, dobra? Brzmi bardziej... nowocześnie, rozumiesz? Ale przede wszystkim chcę ci podziękować, za to, co dla mnie zrobiłeś. Kasety, książki historyczne, ta praca - to jest cudowne.

Rice zauważył, że angielski chłopca zdecydowanie poprawił się w ciągu ostatnich trzech tygodni.

- Nadal kręcisz się w mieście?

- Tak, ale znalazłem sobie coś nowego. Wpadnij dzisiaj, organizuję małe spotkanko.

- Jasne - odparł Rice. - Czemu nie mógłbym podłapać czegoś raz tutaj dla odmiany. Przebiorę się i wpadniemy po ciastka do Sachera. To będzie wspaniała noc.

Rice ubrał się starannie, wkładając kuloodporny kombinezon pod welwetowy płaszcz. Napełnił kieszenie przeznaczonymi do rozdawania dobrami konsumpcyjnymi i wyszedł spotkać się z Mozartem przy tylnym wejściu do zamku.

Wokół rozstawione były straże, a światła reflektorów omiatały niebo. Rice wyczuł jakiś nowy rodzaj napięcia, ogarniający uroczysty tłum, który zapełniał centrum miasta. Jak wszyscy pochodzący z jego czasu, górował wzrostem nad miejscowymi i nawet incognito czuł, że za bardzo rzuca się w oczy.

Gdy dotarli do klubu, Rice wtopił się w półmrok i odprężył. Lokal powstał po przerobieniu piwnic domu któregoś z młodych artystów i wystające cegły nadal znaczyły linie dawnych ścian. Miejsce to było okupowane przez miejscowych, ubranych głównie w ciuchy z Czasu Rzeczywistego. Rice zobaczył nawet kogoś w beżowych jedwabnych majteczkach na głowie.

Mozart stanął na scenie. Gitarowe arpeggia przywodzące na myśl menueta ryknęły łącząc się z następującymi po sobie molywami chóralnymi. Syntezator buchnął mocą, ogłuszając hitami muzyki pop. Wyjąca publiczność obrzucała Mozarta konfetti, rwąc ręcznie malowane papierowe tapety, którymi były oklejone ściany klubu.

Potem Mozart siedział paląc skręta z tureckiego haszu i wypytywał Rice'a o przyszłość.

- Masz na myśli tę, w której żyję? - zapytał Rice. - Nigdy byś nie uwierzył. Sześć bilionów ludzi i nikt nie musi pracować, jeżeli nie ma ochoty. Pięćset kanałów telewizyjnych w każdym domu. No i oczywiście samochody, helikoptery i ciuchy takie, że oczy wylazłyby ci na wierzch. Seksu tyle, ile tylko chcesz. Muzyka? Możesz mieć własne studio nagraniowe. To co masz na tej scenie wyglądałoby przy tym, jak jakiś cholerny klawikord.

- Naprawdę? Oddałbym wszystko, żeby to zobaczyć. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ty to zostawiłeś.

Rice wzruszył ramionami.

- No więc zostawiłem to być może na jakieś piętnaście lat. Kiedy wrócę, wszystko będzie jeszcze lepsze. I będę miał wszystko, czego tylko zapragnę.

- Piętnaście lat.

- No tak. Musisz zrozumieć w jaki sposób działają drzwi czasu. W tej chwili są twojej wysokości, wystarczająco duże, żeby przepuścić kabel telefoniczny, rurociąg z ropą, no i powiedzmy torbę z pocztą. Powiększenie ich do celów transportowania na przykład ludzi czy wyposażenia jest tak drogie, że robi się to tylko dwukrotnie, na początku i na końcu projektu. Więc jak widzisz utknęliśmy tu na dobre.

Rice odchrząknął i wychylił swoją szklaneczkę. Hasz Imperium Otomańskiego pogmatwał nieco tok jego myśli. Był zbyt otwarty i spowodował, że chłopak zacznie marzyć o emigracji, a nie mógł do diabła, zdobyć dla niego Zielonej Karty. Nie przy milionach takich, którzy marzyli o darmowej wycieczce w przyszłość, czy bilionach nawet, jeżeli policzyć inne projekty, jak Imperium Rzymskie czy Nowe Królestwo Egiptu.

- Ale mnie jest tu naprawdę dobrze - powiedział Rice. - To jest jak... jakbyś zmieniał historię. Nigdy nie wiesz, co z tego wyniknie.

Rice przekazał fajeczkę następnej z grupy, Antonii jakiejś tam.

- To są wspaniałe czasy, żeby żyć. Spójrz na siebie. Wszystko się układa, no nie?

Pochylił się do przodu opierając o stół i w nagłym przypływie szczerości powiedział:

- Uważam, że wszystko jest w porządku, przecież nie macie do nas pretensji o to, żeśmy spieprzyli wasz świat?

- Coś ty, żartujesz? Patrzysz na bohatera Salzburga. Prawdę mówiąc ten twój Parker miał nagrywać mój dzisiejszy koncert. Niedługo będzie mnie znała cała Europa... - Ktoś stojący w przeciwległym kącie sali wykrzyknął coś do Mozarta po niemiecku. Chłopak obejrzał się i machnął uspokajająco ręką. Znowu odwrócił się w stronę Rice'a. - Sam widzisz, że nieźle daję sobie radę.

- Sutherland zamartwia się tymi wszystkimi symfoniami, których nie napiszesz...

- Mam to gdzieś. Nie chcę pisać symfonii. Mogę ich słuchać, kiedy tylko mam na to ochotę. A kim jest ta Sutherland? Twoja dziewczyna?

- Nie, ona jest dla miejscowych. Dantona, Robespierre'a, takich tam różnych. A ty? Masz tu kogo?

- Nic poważnego. To znaczy już dawno nie.

- Ach tak?

- No dobra, powiem ci, kiedy miałem sześć lat byłem na dworze Marii Teresy. Grywałem z jej córką - Marią Antoniną. Teraz ona nazywa się Marie Antoinette. Najpiękniejsza dziewczyna jaką widziałem. Często graliśmy w duecie. Żartowaliśmy, że pobierzemy się, ale potem pojechała do Francji, do tej świni Ludwika.

- A niech to - powiedział Rice. - To naprawdę zabawne. Czy wiesz, że w moim czasie ona stała się legendą. Podczas Rewolucji Francuskiej ścięli jej głowę, bo...

- Nie, nic ścię...

- To była n a s z a Rewolucja Francuska - przerwał mu Rice. - Wasza była o wiele mniej brudna.

- Powinieneś pojechać zobaczyć się z nią, jeżeli masz ochotę. Winna jest wam coś za uratowanie życia.

Zanim Rice zdążył cokolwiek odpowiedzieć, przy ich stoliku zjawił się Parker w otoczeniu byłych dam dworu, ubranych w skórzane szorty i wyszywane cekinami podkoszulki bez ramiączek.

- Hej, Rice - zawołał Parker, pogodnie anachroniczny w błyszczącej podkoszulce i czarnych skórzanych dżinsach. - Idziemy się zabawić?

Rice patrzył na tłoczące się wokół stołu dziewczyny, wyciągające zębami korki z butelek od szampana. Gotowe były wzajemnie się pozabijać dla niskiego, grubego, odrażającego Parkera, byle tylko mogły spędzić noc na jego czystych prześcieradłach i odwiedzić jego gabinet lekarski.

- Nie, dzięki - odpowiedział, wyplątując się z kilometrów przewodów urządzeń nagrywających Parkera. Obraz Marii Antoniny nie opuszczał go.

Rice siedział nagi na brzegu łoża z baldachimem, drżąc lekko w chłodnym podmuchu klimatyzacji. Przez okno z ciemnego osiemnastowiecznego szkła widział soczysty, zielony krajobraz urozmaicony kaskadami.

Służba ogrodowa złożona z byłych arystokratów, ubranych w niebieskie drelichy, wyrywała chwasty pilnowana przez strażni

Lepsze niż CZŁOWIEK...

Chris Moore, reprodukcje – Zbigniew Latała

ka, byłego chłopa. Pilnujący przebrał się dla niepoznaki. O tym kim był świadczyła tylko trójkolorowa kokarda na zniszczonej czapce. Żuł gumę i bawił się tanim, plastykowym pistoletem maszynowym. Ogrody Petit Trianon, podobnie jak sam Wersal, jako obiekty niezwykle cenne otoczono staranną opieką. Pozostały własnością Narodu. Nie można ich było przetransportować przez drzwi czasu, ponieważ były zbyt duże.

Marie Antoinette leżała rozwalona na łóżku pokrytym różową kapą z grubej satyny. Ubrana w skrawek czarnego sznurka, spełniającego rolę bielizny, przerzucała Vogue. Ściany sypialni zawieszone były płótnami Bouchera: pola zuchwałych, jedwabistych zadów, różowych pośladków, znających rozkosz ust. Rice przeniósł nieprzytomny wzrok z portretu Ludwiki O'Murphy, rozciągniętej jak kotka na sofie, na gładki kremowy obszar pleców Toinette. Odetchnął głęboko.

– Ten facet rzeczywiście umiał malować – powiedział.

Toinette odłamała kawałek czekolady i wskazując oglądane pismo powiedziała:

– Chcę mieć to bikini. Kiedy byłam dziewczynką, moja cholerna mamusia zawsze trzymała mnie w cholernych gorsetach. Wydawało się jej, że moje, no jak wy na to mówicie, moje łopatki są zbyt sterczące.

Rice pochylił się w stronę jej masywnego ciała i poklepał uspokajająco po siedzeniu. Czuł się cudownie ogłupiały. Półtora tygodnia obsesyjnej zmysłowości i euforii zredukowało go do poziomu zwierzęcia.

– Zapomnij o mamusi, dziecinko. Teraz jesteś ze mną. Jeżeli chcesz to cholerne bikini, zdobędę je dla ciebie.

Toinette zlizała czekoladę z palców.

– Jutro pojedziemy sobie na wieś, dobrze? Przebierzemy się za wieśniaków i będziemy się kochać w stogach siana.

Rice zawahał się. Jego urlop, który miał trwać tylko przez weekend, przeciągnął się już do półtora tygodnia. Do tego czasu powinna go była zacząć szukać służba bezpieczeństwa. Do diabła z nimi, pomyślał.

– Wspaniale – powiedział – zadzwonię, żeby zamówić jedzenie na majówkę. Gęsie wątróbki i trufle, może trochę żółwia...

Toinette nadąsała się.

– Wolę coś nowoczesnego. Pizza, kiełbaski i smażone kurczaki.

Gdy Rice wzruszył ramionami, zarzuciła mu ręce na szyję.

– Kochasz mnie, Rice?

– Czy kocham cię? Dziecinko, kocham samą myśl o tobie.

Był pijany historią, która wymykała się spod kontroli i unosiła go jak jakiś olbrzymi czarny motocykl wyobraźni. Kiedy pomyślał o Paryżu, gdzie małe bary i budki z zapiekankami zastąpiły gilotyny, a sześcioletni Napoleon zapychał się gumą do żucia na Korsyce, czuł się jak Archanioł Michał na pełnym szwungu.

Wiedział, że megalomania jest jego ryzykiem zawodowym. Ale przecież i tak niedługo wróci do roboty, jeszcze tylko parę dni...

Zadzwonił telefon. Rice okrył się pluszowym szlafrokiem, który należał uprzednio do Ludwika XVI. Ludwika już to nie obchodziło, był obecnie szczęśliwie rozwiedzionym ślusarzem w Nicei.

Na małym ekranie przy telefonie pojawiła się twarz Mozarta.

– Hej, stary, gdzie jesteś?

– Francja – ogólnikowo odpowiedział Rice. – O co chodzi?

– Kłopoty. Sutherland przeszła załamanie nerwowe i odbywa teraz kurację uspokajającą. Co najmniej sześć kluczowych osób, wliczając ciebie, ulotniło się. – Mozartowi pozostał już tylko ledwie zauważalny niemiecki akcent.

– Hej, ja się nie ulotniłem. Za parę dni będę z powrotem. Przecież mamy w Europie Północnej trzydziestu ludzi. Jeżeli martwisz się o twoje sprawy...

– Nie o to chodzi. To jest poważna sprawa. Zaczęły się rozruchy. Komańcze rozrabiają w Teksasie. Robotnicy strajkują w Londynie i Wiedniu. Zaniepokojeni są ci z Czasu Rzeczywistego. Zaczynają mówić, że trzeba was ściągnąć z powrotem.

– Co? – To go wreszcie zaniepokoiło.

– Dowiedzieliśmy się o tym z dzisiejszej poczty. Piszą, że operacja wymyka się wam spod kontroli. Uleganie złym wpływom, fraternizacja i tak dalej. Sutherland narobiła sporo kłopotów, zanim wypadła z gry. Organizowała Masonów w coś w rodzaju biernego oporu i Bóg wie co jeszcze.

Cholera! Ci przeklęci politycy znów przykręcali śrubę. Nie dość, że naharował się, żeby rafineria i rurociąg działały, teraz jeszcze będzie musiał sprzątać po Sutherland. Spojrzał na Mozarta.

– Mówiłeś o fraternizacji, o co ci właściwie chodzi? Co ty u diabła robisz i dlaczego właśnie ty do mnie dzwonisz?

Mozart pobladł.

– Po prostu próbuję pomóc. Pracuję teraz w pionie łączności.

– To daje ci Zieloną Kartę. Jak u diabła ci się to udało?

– Słuchaj, stary, muszę już iść. Wracaj tu, dobrze? Potrzebujemy cię. – Mozart na moment podniósł oczy patrząc ponad ramieniem Rice'a. – Możesz zabrać ze sobą swego króliczka, jeżeli chcesz. Ale pospiesz się...

– Ja... o cholera, no dobrze – powiedział Rice.

Rice ciągnął równo osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, wzbijając kłęby kurzu nad poprzecinaną głębokimi koleinami drogą. Byli niedaleko granicy z Bawarią. Nierówne szczyty Alp na tle nieba wznosiły się nad jasnymi zielonymi łąkami, małymi malowniczymi wiejskimi domkami i czystymi, bystrymi strumieniami wypływającymi z połaci topniejącego śniegu.

Przeżyli właśnie swoją pierwszą kłótnię. Toinette prosiła o Zieloną Kartę, której Rice nie mógł jej załatwić. W zamian zaproponował jej Szarą Kartę, która pozwoliłaby jej przenosić się z jednej gałęzi czasu na drugą, jednak z wyłączeniem Czasu Rzeczywistego. Wiedział, że jeżeli projekt upadnie, będzie musiał złożyć rezygnację, a chciał ją zabrać ze sobą. Pragnął być w porządku i nie zostawiać jej w świecie pozbawionym czekolad i Vogue.

Ale to jej nie interesowało. Po kilku kilometrach przykrego milczenia zaczęła się kręcić.

– Chce mi się siusiu – bąknęła wreszcie. – Zatrzymaj się obok tych cholernych drzew.

– OK – powiedział Rice. – OK.

Zatrzymali saię. Stado łaciatych krów, przestraszonych warkotem rozbiegło się z podzwanianiem dzwonków. Na drodze poza nimi nie było nikogo.

Rice wstał i przeciągnął się, patrząc na Toinette wspinającą się na drewniany przełaz i idącą w kierunku kępy drzew.

– Nie wygłupiaj się – krzyknął. – Przecież nikogo tutaj nie ma. Nie musisz nigdzie łazić.

W tym momencie z przydrożnego rowu wyskoczyło z tuzin mężczyzn, którzy rzucili się na niego. W ciągu sekundy otoczyli go, mierząc w niego z flint. Nosili trójgraniaste kapelusze, peruki i żakiety z żabotami znamionujące ludzi z wyższej sfery. Ich twarze były zakryte czarnymi maskami.

– Co to za maskarada? – zapytał zdziwiony Rice. – Tłusty czwartek?

Ich dowódca zerwał maskę i błazeńsko się skłonił. Jego przystojną teutońską twarz pokrywał puder i róż.

– Książę Axel Ferson, do usług.

Rice znał to nazwisko. Ferson przed rewolucją był kochankiem Toinette.

– No dobrze, książę, rozumiem, że możesz być trochę wściekły ze względu na dziewczynę, ale myślę, że jakoś moglibyśmy się dogadać. Nie chciałbyś na przykład kolorowego telewizora?

– Może pan nam oszczędzić pańskich sarkastycznych uwag – wrzasnął Ferson. – Nie zbrukam moich rąk żadną kolaboracją. My reprezentujemy Front Wyzwolenia Wolnych Masonów.

– O Chryste – jęknął Rice. – Nie mówicie chyba tego poważnie. Zamierzacie się na nas z tymi waszymi pukawkami?

– Zdajemy sobie sprawę z waszej przewagi zbrojnej. Dlatego zostaniesz naszym zakładnikiem. – Związali mu ręce i popychając poprowadzili do wozu konnego, ukrytego w zagajniku.

– Czy nie moglibyśmy przynajmniej zabrać mojego pojazdu? – zapytał Rice. Obejrzawszy się zobaczył zgnębioną Toinette siedzącą przy drodze.

– Nie akceptujemy waszych maszyn – powiedział Ferson. – To jeszcze jeden z objawów waszej bezbożności. Niedługo wrzucimy was z powrotem do piekła, tam skąd przyszliście.

– Za pomocą czego? Kija od szczotki? – zapytał Rice siadając na wóz i usiłując nie zwracać uwagi na smród gnoju i gnijącego siana.

– Nie bierzcie naszej łagodności za słabość. Jeżeli przez drzwi czasu zostanie tu wysłana Armia Szarych Kart, zostanie z was mokra plama – to wszystko.

– Jesteśmy gotowi na śmierć. Każdego dnia tysiące zasilają nasze szeregi pod chorągwiami Wszystkowiedzącego. Przyjmiemy to, co jest nam pisane. Przeznaczenie, z którego chcecie nas ograbić!

– Wasze przeznaczenie? – Rice'a aż zatkało. – Posłuchaj książę, słyszałeś kiedyś o gilotynie?

– Nie mam najmniejszego zamiaru słuchać nadal o tych waszych maszynach. – Ferson dał znak podwładnym. – Zaknebluj go.

Zawieźli Rice'a do wiejskiego domu na przedmieściach Salzburga. Podczas piętnastogodzinnej jazdy wozem, po której czuł każdą kość, myślał tylko o Toinette. Czy gdyby obiecał jej Zieloną Kartę, też zwabiłaby go w zasadzkę? Karta była jedyną rzeczą, której pragnęła. W jaki jednak sposób mieli ją zdobyć Masoni?

Pilnujący go strażnicy przechadzali się nerwowo pod oknami domu, ich buty skrzypiały na źle złączonych deskach. Ponie-

waż spoglądali wciąż w stronę Salzburga, wywnioskował, że coś się tam dzieje.

Nikt się nie zjawił, aby pertraktować na temat jego uwolnienia i Masoni stawali się coraz bardziej nerwowi. Rice był pewien, że gdyby tylko udało mu się przegryźć knebel, jakoś by się z nimi dogadał.

Usłyszał dalekie brzęczenie, narastające powoli w ryk. Czterech mężczyzn wybiegło na zewnątrz pozostawiając jednego strażnika w otwartych drzwiach. Rice wił się, usiłując usiąść mimo krępujących go sznurów.

Nagle z oszalowania ponad jego głową poleciały drzazgi, towarzyszył temu terkot serii karabinu maszynowego. Przed domem eksplodowały granaty, przez rozbite szyby dostawał się do wnętrza czarny dym. Dławiący się nim Mason wymierzył swoją flintę w Rice'a. Zanim zdążył jednak nacisnąć spust, strzał z pistoletu rzucił go na ścianę.

Niski, ciężki mężczyzna w niemieckim mundurze artylerii przeciwlotniczej i skórzanych spodniach wkroczył do pokoju. Ściągnął gogle ze swej osmolonej twarzy, odsłaniając orientalne oczy. Para tłustych warkoczy spływała mu na plecy. Kołysał karabinem wiszącym na zgięciu ramienia, a jego brzuch opasywały dwie taśmy pełne granatów.

– Dobra – stwierdził. – Ten był ostatni.

Wyciągnął knebel z ust Rice'a. Śmierdział potem, papierosami i źle wyprawioną skórą.

– To ty jesteś Rice?

Rice, łapiąc oddech, był w stanie jedynie skinąć głową. Jego wybawca postawił go na nogi i bagnetem poprzecinał więzy.

– Jestem Jebe Noyon. Armia Międzyczasowa.

Wepchnął skórzaną manierkę ze zjełczałym kobylim mlekiem w ręce Rice'a. Od samego zapachu chciało mu się rzygać.

– Pij – namawiał Jebe. – To kumys, to dobre dla ciebie. Pij, mówi ci Jebe Noyon.

Rice pociągnął łyk i w tym samym momencie poczuł, jak zawartość żołądka podchodzi mu do gardła.

– Szare Karty, tak? – zapytał słabym głosem.

– Tak, Armia Szarych Kart – potwierdził Jebe. – Najgorsi pieprzeni wojownicy ze wszystkich miejsc i czasów! Tylko pięciu strażników tutaj – zabiłem ich wszystkich! Ja, Jebe Noyon, główny wódz Czyngis-chana, postrach ziemi, rozumiesz? – Patrzył na Rice'a swymi wielkimi, smutnymi oczyma. – Nie słyszałeś o mnie?

– Przykro mi, Jebe, ale nie.

– Ziemia drżała pod uderzeniami kopyt mojego konia.

– Jestem pewien, że tak było.

– Siadaj ze mną – powiedział Jebe ciągnąc Rice'a w kierunku drzwi. – Zobaczysz, jak ziemia drży pod oponami mojego Harleya.

Ze wzgórz ponad Salzburgiem patrzyli na to, co działo się w mieście.

Miejscowi żołnierze w kamizelkach i getrach leżeli poukładani w krwawe stosy u bram rafinerii. Inny batalion nacierał z muszkietami gotowymi do strzału. Kilku Hunów stojących przy bramach, ścięło ich pomarańczową linią ognia. Patrzyli na pierzchających niedobitków.

Jebe Noyon roześmiał się grzmiąco.

– To jak oblężenie w dobrych czasach. Tylko bez nadziewania obciętych głów na pale i zabierania uszu wrogom. Teraz jesteśmy już cywilizowani, no nie? Później jeszcze wpadniemy, może z piechociarzami i helikopterami. Napalmem skurczybyków. Ale jaja!

– Tak nie można, Jebe – powiedział surowo Rice. – Te biedne skurczybyki nie mają szans. Po co ich wykańczać?

Jebe wzruszył ramionami.

– No wiesz, czasami się człowiek zapomina. Zawsze myślę o podbiciu świata.

Włączył silnik i popatrzył spode łba. Gdy ruszyli w dół wzgórza Rice uchwycił się jego śmierdzącego munduru. Jebe wyżywał się gnając przez ulice na wysokich obrotach, celowo upuszczając parę granatów. Tylko siła strachu uratowała Rice'a przed upadkiem, gdy jakieś nogi i torsy waliły się i łamały pod kołami motoru.

Jebe zatrzymał się za bramą wpadając w kontrolowany poślizg. Otoczyła ich od razu jazgocąca horda w polowych mundurach i z przytroczonymi pasami z amunicją. Rice przepchnął się przez nich, w nieprzyjemny sposób czując swoje nerki.

Jonizujące promieniowanie rozświetlało wieczorne niebo wokół twierdzy Hohensalzburg. Przez powiększone drzwi czasu wjeżdżały samochody pełne Szarych Kart, aby potem wracać załadowane aż po dachy dziełami sztuki i biżuterią.

Ponad szczekaniem karabinów Rice mógł słyszeć jęk silników samolotów przywożących ludzi ewakuowanych z Afryki i Stanów Zjednoczonych. Rzymscy centurioni ubrani w kuloodporne kombinezony, z miotaczami ognia gotowymi do odpalenia, pilnowali porządku wśród tłumu personelu Czasu Rzeczywistego, pracęgo w kierunku tunelu prowadzącego do Drzwi.

Znajdował się tam również Mozart, entuzjastycznie machający do Rice'a.

– Wyjeżdżamy, stary! Fantastycznie, no nie? Z powrotem do Rzeczywistego Czasu.

Rice patrzył na kompleks wież, pomp, chłodnic i jednostek analizy krakingowej.

– To cholerny wstyd – powiedział. – Cała robota na marne, niech to diabli!

– Zbyt wielu ludzi straciliśmy. Daj spokój. Jest jeszcze wiele osiemnastych wieków.

Strażnicy, porządkujący tłumy na zewnątrz odskoczyli nagle na bok, robiąc miejsce dla poduszkowca, który wpadł przez bramę, z pół tuzinem fanatycznych Masonów nadal czepiających się jego drzwi i walących w okna. Ludzie Jebego odczepiali ich, wygarniając w nich z karabinów, podczas gdy rzymski miotacz ognia pluł ogniem w kierunku bramy.

Z poduszkowca wyskoczyła Maria Antonina. Jebe złapał ją za rękaw, ale wyrwała mu się i zaczęła biec w stronę Mozarta. Jebe pognał za nią.

– Wolf, ty bandyto! – wrzeszczała. – Chciałeś mnie wykołować? Chciałeś mnie wykiwać, merde, ty świnio!

Mozart schował się za szybki swoich ciemnych okularów. Odwrócił się w stronę Rice'a.

– Zielona Karta, Wolf! Powiedziałeś, że jeżeli wydam Rice'a w ręce Masonów, zdobędziesz dla mnie tę kartę... – Zatrzymała się, by złapać oddech i w tym momencie Jebe złapał jej ramię. Pod obrócił Toinette w jego stronę. Walnął ją w szczękę, powalona upadła na pas startowy.

Jebe spojrzał na Mozarta swymi płonącymi oczyma.

– To ty, co? Ty – zdrajca?

Z prędkością atakującej kobry chwycił swój karabin i wycelował go w Mozarta.

– Kiedy mój karabin zatańczy rock and rolla zostaną z ciebie tylko uszy, chłopczyku.

Pojedynczy strzał odbił się echem po dziedzińcu. W drzwiach magazynu stał Parker. Trzymał w ręku Waltera PPK.

– Spokojnie, Rice – powiedział podchodząc bliżej. – To tylko piechociarz, mięso armatnie.

– Z a b i ł e ś g o !

– No i co z tego? – zapytał Parker, otaczając ramieniem wątłe plecy Mozarta. – Oto mój chłopiec. Przekazałem miesiąc temu do nas parę jego nowych kawałków. I wiesz, co się stało?! Ten dzieciak wskoczył na piąte miejsce na liście! Piąte!

Parker wepchnął pistolet za pas.

– Czy to ty dałeś mu Zieloną Kartę, Parker?

– Nie – odpowiedział Mozart. – To Sutherland.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic! Przysięgam, stary. No, może pokazałem jej się takim, jakim chciała mnie zobaczyć. Załamany, no rozumiesz, okradany z muzyki, która była dla mnie czymś najważniejszym w życiu. Mozart przewrócił oczyma. – Dała mi Zieloną Kartę, ale przypuszczam, że to nie wystarczyło. Nie mogła sobie poradzić z poczuciem winy. Resztę znasz.

– A kiedy się załamała, bałeś się, że nas stąd nie zabiorą. Więc zdecydowałeś się i m n i e w to wrobić. To ty namówiłeś Toinette, aby mnie wystawiła Masonom. To była t w o j a robota.

Jakby słysząc swoje imię Toinette jęknęła cicho. Rice nie patrzył na siniaki, brud i porwane dżinsy. Nadal była najwspanialszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widział.

Mozart wzruszył ramionami.

– Należałem kiedyś do Wolnych Masonów. Wierz mi, stary, oni są w gorącej wodzie kąpani. Wystarczyło, żebym rzucił tu i ówdzie parę uwag i sam widzisz, co się stało.

Wskazał ręką na pozostałości rzezi, która się wcześniej odbyła w tym miejscu.

– Byłem pewien, że jakoś się z tego wykaraskasz – dodał.

– Nie możesz tak po prostu u ż y w a ć ludzi do swoich celów.

– Akurat, Rice! Ty to robisz przez cały czas! P o t r z e b o w a ł e m tego oblężenia, żeby Czas Rzeczywisty wyciągnął nas stąd. Na litość boską, nie mogłem na to czekać piętnaście lat! Zgodnie z tym co mówi historia, za piętnaście lat nie będę już żył. Nie chcę tu umierać! Chcę mieć samochód, studio nagraniowe...

– Zapomnij o tym, koleś – powiedział Rice. – Kiedy ci z Czasu Rzeczywistego dowiedzą się, jak nas tutaj załatwiłeś...

Parker roześmiał się.

– Odczep się, Rice. Czy nie słyszałeś, że chodzi o pierwszą dziesiątkę na liście! To nie jakaś tam groszowa rafineria – opiekuńczo wziął Mozarta za ramię.

– Posłuchaj, Wolf, dziecino, chodźmy już. A gdy tylko znajdziemy się w przyszłości, będę miał dla ciebie parę papierów do podpisania.

Słońce zachodziło już, ale wybuchy rozświetlały noc, zasypując łuskami miasto. Przez moment Rice stał oszołomiony, kule waliły nie czyniąc żadnej szkody magazynom. Wreszcie potrząsnął głową. Czas Salzburga minął. Przerzuciwszy Toinette przez plecy pobiegł w kierunku tunelu, za którym było bezpieczeństwo.

Przełożyła Dorota Malinowska

We Wrzecionie nie istnieją pory roku, ale Znachornia jest pełna sentymentu dla tradycji i więzi z Planetą-Matką. Na płytach ściennych wyświetlano widoczki białych kędzierzawych obłoków, a powietrze z kanałów wentylacyjnych pachniało zielonymi liśćmi i bzem.

– Najlepsze wiosenne życzenia – powiedziałem do doktora Moriusa.

– Zamknij się – odrzekł, przesuwając parę igieł powtykanych w mój brzuch i studiując wskaźniki. – Hm. – Zacisnął usta, wyciągnął parę igieł i oświadczył: – No, popatrzmy sobie co tam jest, Walthers. Wyłączyliśmy sztuczny obieg śledzionowo-żylny. Twoja nowa wątroba działa dobrze, choć nie wydalasz produktów przemiany materii tak szybko jak powinieneś. Twojej równowadze jonowej przywróciliśmy poziom prawie przyzwoity, jak na człowieka, a większość twoich tkanek ma już w sobie nieco wilgoci. W sumie – podrapał się w głowę – powiedziałbym, że żyjesz, można więc założyć, że operacja się udała.

– Doktorze, nie bądź taki dowcipny – odrzekłem. – Kiedy stąd wychodzę?

– Chcesz zaraz? – zapytał z namysłem. – To łóżko może nam się przydać. Mam masę płatnych czekających pacjentów.

Otóż jedną z dobrych stron krążenia w mózgu krwi zamiast trującej zupy, którą dotychczas musiałem żyć było to, że potrafiłem myśleć w miarę jasno. Wiedziałem więc od razu, że żartuje; nie znajdowałbym się tutaj, gdybym sam nie był płatnym pacjentem w taki czy inny sposób i chociaż nie wiedziałem w jaki, byłem gotów trochę poczekać, by się tego dowiedzieć.

Ale bardziej interesowało mnie wydostanie się ze Znachorni. Więc zapakowali mnie w pieluszki i zawieźli na fotelu przez całe Wrzeciono do lokalu Sub Vastry. Dorrie była tam już przede mną, a Trzecia Vastry biegała zaaferowana wokół nas obojga, podając rosół z jagnięcia i ten płaski twardy chleb, który oni tak lubią, aż wreszcie zaprowadziła nas do pokoju na długi, przyjemny odpoczynek. Było tam tylko jedno łóżko, ale Dorrie nie robiło to różnicy, a tak czy inaczej w tym momencie był to akademicki problem. Później już nie tak akademicki. Po paru dniach takiej kuracji wstałem bardziej zdrowy niż kiedykolwiek.

Wtedy też dowiedziałem się kto zapłacił za mnie rachunek w Znachorni. Przez prawie minutę miałem nadzieję, że to ja, niemożliwie bogaty dzięki łupom z tunelu, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Pieniądze mogliśmy zrobić tylko cichaczem, a oboje byliśmy zbyt bliscy śmierci wróciwszy do Wrzeciona, by cokolwiek ukryć.

Więc zwalili się tam wojskowi i wszystko zabrali, ale okazali, że mają serce. W zaniku i skamieniałe, ale jednak serce. Wleźli do podziemi jeszcze gdy brałem przez sen lewatywy z glukozy i to co znaleźli zrobiło im wystarczającą przyjemność, by zdecydować, że mam prawo do jakiegoś znaleźnego. Niewielkiego, prawdę powiedziawszy. Okazało się tego dość na zapłacenie czeków z wątpliwym pokryciem, które podpisywałem by sfinansować wyprawę, honorarium chirurga oraz kosztu pobytu w szpitalu. Zostało jeszcze tyle reszty, byśmy mogli wpłacić pierwszą ratę na własną chatę hiczijską.

Przez pewien czas męczyło mnie, że się nie dowiem co tam znaleźli. Próbowałem nawet upić sierżanta Kolanko, gdy przyleciała do Wrzeciona na urlop. Ale Dorrie była przy tym, więc jak tu upić jedną dziewczynę, gdy druga cię przy tym pilnuje? Prawdopodobnie Ewa Kolanko i tak nic nie wiedziała. Prawdopodobnie nie wiedział nikt, prócz specjalistów do spraw uzbrojenia. Ale coś tam musiało być, biorąc pod uwagę nagrodę pieniężną, a przede wszystkim to, że nie ścigali mnie za wkroczenie na teren wojskowy. Tak więc we dwoje dawaliśmy sobie radę. Albo we troje.

Okazało się, że Dorrie umie dobrze sprzedawać ognioperły Ziemniakom-turystom, szczególnie gdy jej ciąża stała się widoczna. Utrzymywała nas do początku pełni sezonu, a gdy ten się zaczął przekonałem się, że jestem czymś w rodzaju miejscowej znakomitości, dzięki czemu ugadałem sobie pożyczkę bankową na nową kapsułę. Powodziło się więc nam całkiem nieźle. Obiecałem, że jeśli nasze dziecko okaże się chłopcem, to się z nią ożenię, ale prawdę mówiąc zrobię to tak czy tak. Była mi wielką pomocą, szczególnie przy moim prywatnym i osobistym planie wówczas przy szybie. Nie mogła wiedzieć czemu tak chce byśmy zabrali ciało Cochenoura, ale się nie sprzeczała i choć była chora i nieszczęśliwa, pomogła mi wcisnąć je do śluzy kapsuły.

Prawdę mówiąc bardzo go potrzebowałem.

Oczywiście nie jest to całkiem nowa wątroba. Być może nie jest nawet mało używana. Bóg tylko wie, gdzie Cochenour ją kupił, w każdym razie nie należała do jego oryginalnego wyposażenia. Ale działa. I choć był to sukinsyn, w jakiś sposób go lubiłem i zupełnie mi nie przeszkadza fakt, że mam z niego kawałek zawsze przy sobie.

KONIEC

Frederik Pohl

KUPCY WENUSJAŃSCY

(The Merchants of Venus)

przełożył Juliusz Garztecki

Często goszczący na naszych łamach Frederik Pohl ma – w co trudno uwierzyć patrząc na tego tryskającego energią szczupłego młodzieńca – 65 lat i piątą żonę. Całe jego pracowite życie wiąże się z science fiction – Pohl jest jednocześnie wytworem i współtwórcą tego specyficznego ruchu, subkultury czy nawet, jak twierdzi Barrington Bayley, współczesnej religii. Był agentem literackim wielu czołowych autorów SF w latach czterdziestych, potem łączył karierę pisarza z pracą redaktora w czasopismach (pod jego kierownictwem „If" zdobyło trzykrotnie nagrodę Hugo) i wydawnictwach książkowych. Jest autorem kilkudziesięciu antologii oraz licznych artykułów na temat SF, był prezesem SF Writers of America, działa aktywnie w organizacji World SF, uczestniczy (niejednokrotnie jako gość honorowy) w licznych amerykańskich, zagranicznych i międzynarodowych zjazdach i konwentach. Czyżby znalazł sposób na podkradanie czasu z równoległej rzeczywistości?

Jako pisarz Pohl był zawsze wyżej ceniony za swoje opowiadania niż za powieści – wyjątek stanowiła napisana wspólnie z Kornbluthem powieść „Space Merchants" (1952), który zyskała rangę dzieła klasycznego w gatunku i została wkrótce przełożona na 30 języków. Jednak od drugiej połowy lat siedemdziesiątych, kiedy Pohl zrezygnował z pracy wydawniczej, pokazał się on od jak najlepszej strony również jako autor powieści. Powstały wtedy „Man Plus" (1976) i „Gateway" (1977).

Mikropowieść „Kupcy wenusjańscy" pochodzi z roku 1971, tego samego, w którym powstał inny znakomity utwór Pohla „Skarb w środku gwiezdnej tęczy" („Fantastyka" nr 7/85). Jej tytuł nawiązuje, oczywiście, do „Kupca weneckiego" Szekspira, skąd został zaczerpnięty pomysł sposobu spłacenia długu.

L.J.

I

Nazwisko: Audee Walthers. Zawód: kierowca kapsuły powietrznej. Na Wenus przez większość czasu mieszkam w moim domku Hiczich, a jeśli jestem śpiący, to gdzie popadnie.

Do chwili, gdy skończyłem dwadzieścia pięć lat mieszkałem na Ziemi, głównie w Amarillo Central. Ojciec - wicegubernator Teksasu. Zmarł, gdy byłem jeszcze na uczelni, ale zostawił mi po sobie tyle, bym mógł skończyć szkołę, zrobić magisterium z administracji przedsiębiorstw i zdać egzamin na urzędnika-stenotypistę. Byłem więc przygotowany do życia.

Po próbach, które zabrały mi kilka lat, odkryłem jednak, iż życie, do którego zostałem przygotowany, nie podoba mi się. I to nie z błahych powodów. Nie przeszkadzają mi ubiory przeciwsmogowe, umiem współżyć z sąsiadami mając ich 800 na milę kwadratową, znoszę hałas, umiem się obronić przed małoletnimi chuliganami. Nie to, żebym nie lubił Ziemi; nie lubiłem tego, co robię na Ziemi. Sprzedałem więc moje dokumenty przynależności do związku niższych urzędników państwowych, zastawiłem rentę i kupiłem bilet na Wenus w jedną stronę. W końcu nic niezwykłego. To, co każdy chłopak mówi, że zrobi. Ale ja zrobiłem.

Myślę, że byłoby zupełnie inaczej, gdybym miał szansę na Duże Pieniądze. Gdyby mój ojciec był pełnym gubernatorem, a nie tylko urzędnikiem państwowym. Gdyby renta, którą mi zostawił, obejmowała Pełną Pomoc Lekarską. Gdybym należał do tych na górze, a nie tych pośrodku, naciskanych z obu stron. Ale tak nie było, więc wylądowałem we Wrzecionie, polując na forsę Ziemniaków.

*

Każdy widział zdjęcie Wrzeciona, Kolosseum i wodospadu Niagara. Jak wszystko godne uwagi na Wenus, Wrzeciono jest pozostałością po Hiczich. Nikomu nie udało się ustalić, po co Hiczim była podziemna komora długa na trzysta metrów i w kształcie wrzeciona, ale była, więc używaliśmy jej jako wenusjańskiego odpowiednika Times Square albo Champs Elysées. Wszystkie Ziemniaki-turyści najpierw tu się kierują. A my ich łupimy ze skóry.

Mój biznes - wynajmowanie kapsuły powietrznej - jest w miarę uczciwy, jeśli nie brać pod uwagę, że na Wenus naprawdę mało co warte jest oglądania prócz tego, co pozostało po Hiczich pod powierzchnią globu. Inne potrzaski na turystów we Wrzecionie są po trosze oszustwem. Ziemniakom na tym nie zależy, choć muszą sobie zdawać sprawę, że się ich robi w konia; wszyscy kupują stosy hiczijskich wachlarzy modlitewnych i głów lalek i tych przycisków do papierów z przezroczystego plastyku, w których warstwicowy globus Wenus pływa w pomarańczowobrązowej śnieżycy lipnego lotnego popiołu, krwawych diamentów i ogniopereł. Nie są warte nawet ceny ich powrotnego przewozu na Ziemię, ale przypuszczam, że dla turysty, który może sobie pozwolić na opłacenie takiej podróży, nie ma to znaczenia.

Dla takich jak ja, którzy nie mogą sobie pozwolić na nic, potrzaski na turystów mają ogromne znaczenie. Żyjemy z nich. Nie chcę przez to powiedzieć, że mamy z tego wysokie dochody. Ale to dzięki nim możemy opłacić swe wyżywienie i mieszkanie, a jeśli nie mamy czym płacić, zdychamy. Na Wenus nie ma wielu sposobów zdobywania pieniędzy. Te, z których mogłyby być Duże Pieniądze, och, choćby główna wygrana na loterii, natknięcie się na skarb w hiczijskich wykopaliskach czy dobrze płatna praca, to naprawdę marzenie ściętej głowy. Chleb z masłem wszyscy na Wenus mają z Ziemniaków-turystów, a kto ich nie wydoi do ostatka, jest skończony.

Oczywiście są turyści i turyści. Występują w trzech odmianach. Różnica między nimi wynika z mechaniki nieba.

Jest więc odmiana bidoków pośpiesznych. Na Ziemi powodzi im się zaledwie nieźle; przybywają co dwadzieścia sześć miesięcy po orbicie Hohmanna na ściśle określony czas. Nie mogą przebywać na Wenus dłużej niż trzy tygodnie. Przylatują więc w zorganizowanych grupach wycieczkowych, zdecydowani wykorzystać do maksimum ćwierć miliona dolarów wydanych na najtańszą kabinę, zafundowanych im przez bogatych dziadków z okazji ukończenia studiów albo uzbieranych na drugi miesiąc miodowy czy licho wie, z jakiej jeszcze okazji. Paskudne w nich jest to, że nie mają dużo pieniędzy, bo wydali wszystko na bilet. A miłe, że jest ich tak wielu. Gdy są na Wenus, wszystkie pokoje do wynajęcia są wypełnione po brzegi. Czasami sześć par na raz korzysta z jednej kabiny z przepierzeniem, dwie

cach rękawa. A może nie. Nie mogłem ryzykować. Próbowałem wymyślić sposób zatkania dziury, [illegible] wpychając wszystkie odłamki z powrotem, ale [illegible] nie funkcjonował zbyt dobrze, [illegible] miałem, że to głupi pomysł.

Musieliśmy czekać na zewnątrz w wietrznej wenusjańskiej pogodzie, ale nie za długo. Znajdowaliśmy się obok wskaźnika systemu ochrony życia, który już wszystkie były daleko w strefie czerwonej, pokazywał, że Cochenour już powinien był wrócić.

Przepchnąłem Dorrie przez rękaw, przecisnąłem się za nią, zamknąłem śluzy i zaczęliśmy czekać.

Czekaliśmy długo, Dorrie przewieszona na rękawie, a ja przytulony obok niej, trzymając się jej i [illegible] mocujących. Mogliśmy rozmawiać, ale sądziłem, że zasnęła lub straciła przytomność, bo leżała bez ruchu. A poza tym wetknięcie kabla do gniazdka telefonicznego wydawało mi się potwornie męczącym zadaniem.

Czekaliśmy naprawdę długo, a Cochenour nadal się nie pojawiał.

Próbowałem to przeanalizować.

Mógł się spóźnić z całego szeregu powodów. Mógł się rozbić. Mogli go zatrzymać wojskowi. Mógł się zgubić.

Ale była też inna możliwość, wyglądająca najprawdopodobniej. Z tego co wskazywał zegarek wynikało, że był już spóźniony o pięć godzin, a ze wskaźników ochrony, że byliśmy tuż pod granicą wyczerpania energii, blisko niej co do powietrza i poniżej dla wody. Gdybyśmy przez pewien czas nie oddychali hiczijskim powietrzem, bylibyśmy już martwi. A o tym Cochenour nie wiedział.

Powiedział, że nie umie przegrywać. Wymyślił sobie ostatni manewr w grze w taki sposób, by nie przegrać. Widziałem go wyraźnie, jakbym siedział z nim w kapsule. Widziałem, jak patrzy na zegarek, przygotowuje sobie lekki lunch i puszcza muzykę, czekając aż umrzemy.

Ta myśl mnie nie przerażała, byłem zbyt bliski śmierci, by nie traktować jej [illegible] jako [illegible] technicznej i zbyt zmęczony uwięzieniem w śmierdzącym skafandrze, by nie pragnąć [illegible] wyzwolenia. Ale w grę wchodziła dziewczyna i ostatnia, maleńka rozsądna myśl, która jeszcze [illegible] się w moim na wpół zatrutym mózgu mówiła, że ze strony Cochenoura było nieuczciwie [illegible] nas oboje. Mnie tak. Ale nie ją. Waliłem w jej skafander tak długo aż się poruszyła, a po pewnym czasie udało mi się zmusić ją do powrotu do rękawa.

Dwóch rzeczy Cochenour nie wiedział. Nie wiedział, że znaleźliśmy powietrze nadające się do oddychania i że możemy podłączyć się do baterii wierteł, gdzie jeszcze było napięcie. Z całym tym trującym zamętem w głowie byłem jeszcze przynajmniej na tyle zdolny do rzeczowego myślenia. Jeśli nie będzie zbyt długo czekał, możemy go zaskoczyć. Możemy żyć jeszcze parę godzin, a wtedy, gdy przyjedzie, by znaleźć nasze trupy i przekonać się, co wygrał dla siebie, będę na niego czekał.

*

I tak właśnie zrobił.

Musiało być dla niego okropnym wstrząsem, gdy wszedł do igloo z kluczem francuskim w dłoni, pochylił się nade mną i przekonał, że tam gdzie spodziewał się zastać [illegible], zastał mnie przy życiu i zdolnego się poruszać. Wiertło wbiło mu się prosto w klatkę piersiową. Nie widziałem jego twarzy, ale mogę sobie wyobrazić jej wyraz.

Po tym zostało jeszcze do zrobienia cztery czy pięć rzeczy niewykonalnych. Na przykład wyciągnąć Dorrie przez rękaw i wepchnąć do kapsuły. A także wleźć tam za nią, zamknąć śluzę i zaprogramować kurs. Wszystkie takie nie do zrobienia rzeczy i jeszcze jedna, najtrudniejsza ze wszystkich, ale bardzo ważna dla mnie.

Przy lądowaniu rozwaliłem kapsułę, ale byliśmy oboje w pasach i skafandrach, [illegible] załoga naziemna zbadać wypadek, Dorrie i ja byliśmy jeszcze żywi.

XIII

Musieli mnie łatać i nawadniać przez trzy dni, zanim w ogóle pomyśleli o wmontowaniu mi nowej wątroby. W dawnych czasach trzymaliby mnie pod narkozą przez cały czas, ale oczywiście musieli budzić mnie co parę godzin, bym się nauczył sterowania ze sprzężeniem zwrotnym działania mojej wątroby. Nienawidziłem tego, bo był to czas wymiotowania, bólu i dręczenia przez doktora [illegible] pielęgniarki, i chciałem, żeby powróciły dawne dobre czasy. Z tym oczywiście wyjątkiem, że w dawnych czasach już bym nie żył.

Ale na czwarty dzień prawie nie odczuwałem bólu, jeśli się nie ruszałem i pozwolono mi jakoś [illegible] ustami zamiast przeciwnym końcem.

Zdałem sobie sprawę, że jeszcze trochę pożyję, rozejrzałem się po otoczeniu i spodobało mi się.

Przekopaliśmy się do tunelu Hiczich. Był nie uszkodzony i czekał na nas. Nasza śliczności była nietknięta. Wzięliśmy jej dziewictwo z całą miłością i szacunkiem, i weszliśmy w nią.

XII

Musiałem znowu zemdleć, a gdy przyszedłem do siebie leżałem na podłodze tunelu. Hełm miałem otwarty. Boczne zapięcie skafandra również. Oddychałem stęchłym śmierdzącym powietrzem, które liczyło ćwierć miliona lat i pachniało każdą minutą tego czasu. Ale to było powietrze. Gęstsze niż normalne ziemskie i znacznie wilgotniejsze; ale ciśnienie cząstkowe tlenu miało takie samo. W każdym razie nadawało się do oddychania. Udowodniłem to wdychając je i nie umierając.

Obok mnie leżała Dorrie Keefer.

W niebieskim świetle hiczijskich ścian jej cera wyglądała nienadzwyczajnie. Początkowo nie byłem nawet pewien, czy żyje. Ale niezależnie od swego wyglądu puls miała dobry, płuca funkcjonowały, a gdy poczuła, że ją trącam, otworzyła oczy.

– Zdążyliśmy – powiedziała.

Usiedliśmy uśmiechając się do siebie głupawo jak karnawałowe maski w niebieskim hiczijskim świetle.

Zrobić coś więcej w tym momencie było zupełnie niemożliwe. Byłem zbyt zajęty przyjmowaniem do wiadomości, że nie umarłem. Nie chciałem narazie tego mało prawdopodobnego faktu poruszaniem się. Ale nie było mi wygodnie i po chwili zrozumiałem, że jest mi bardzo gorąco. Zamknąłem hełm, by odciąć się od gorąca, ale smród wewnątrz był tak okropny, że otworzyłem go ponownie, doszedłszy do wniosku, że upał jest łatwiejszy do wytrzymania.

Wtedy przyszła mi do głowy myśl, że gorąco jest tylko nieprzyjemne, a nie zabójcze. Przenikanie energii przez powierzchnię hiczijskiej wykładziny ściennej jest bardzo powolne, ale nie dość powolne jak na ćwierć miliona lat. Mój tępy stary mózg przetrawiał tę myśl przez pewien czas i doszedł do następującego wniosku: przynajmniej do niedawna, parę stuleci a najwyżej tysiącleci temu, tunel był chłodzony. Oczywiście automatycznie, pomyślałem mądrze. Bomba, już to samo jedno warte było odkrycia. Uszkodzona czy nie, maszyneria będzie warta majątek...

To zaś mi przypomniało, dlaczego tu jesteśmy. Popatrzyłem wzdłuż korytarza w obu kierunkach, by ujrzeć, jakie to skarby na nas czekają.

★

Gdy byłem uczniakiem w Amarillo Central, moją ulubioną nauczycielką była kulawa pani zwana panną Stevenson, która miała zwyczaj opowiadać nam historie zaczerpnięte od Bulfincha i Homera. Cały jeden weekend zmarnowała sobie, by mi opowiedzieć o facecie, który chciał być bogiem. Był królem małej miejscowości w Lydii, ale chciało mu się więcej. Bogowie pozwolili mu przyjść na Olimp i siedział tam, póki nie strzelił byka. Nie pamiętam jakiego; miało to coś wspólnego z psem i paskudną sprawą skłonienia bogów podstępem, by zjedli jego syna. Cokolwiek zmalował, skazali go na samotne uwięzienie na wieczność w piekle, stojącego po szyję w zimnym jeziorze bez możliwości napicia się wody. Facet nazywał się Tantal, a ja w tym hiczijskim tunelu miałem wiele z nim wspólnego. Bezpański skarb był na miejscu, fakt, ale nie mogliśmy położyć na nim ręki. Weszliśmy się nie w główny tunel, tylko w coś w rodzaju zakrzywionego bocznego objazdu, zablokowanego z obu końców. Przez na wpół uchylone wrota byliśmy w stanie zajrzeć do głównego chodnika. Widzieliśmy hiczijskie maszyny i bezkształtne stosy przedmiotów, które kiedyś mogły być pojemnikami, teraz zmurszałymi, z zawartością rozsypaną po podłodze. Ale nie mieliśmy siły do nich dotrzeć.

Przeszkadzały nam skafandry. Bez nich może bylibyśmy w stanie się prześlizgnąć, ale czy starczy nam siły, by je włożyć na czas przed spotkaniem z Cochenourem? Wątpliwe. Stałem tam z hełmem przyciśniętym do wrót, czując się jak Alicja zaglądająca do ogrodu, ale bez butelki z napisem „Wypij mnie", a potem znów pomyślałem o Cochenourze i sprawdziłem czas.

Od chwili jego odlotu minęło czterdzieści sześć godzin z minutami. Powinien wrócić lada chwila.

A jeśli wróci gdy tu jeszcze będziemy, otworzy rękaw, by nas poszukać i zapomni zamknąć śluzy po obu końcach, rąbnie w nas dwadzieścia tysięcy milibarów gazu trującego. Oczywiście nas zabije, ale prócz tego zniszczy dziewiczy tunel. Korozja tarciowa takiej implozji gazu rozwali wszystko.

– Musimy wracać – powiedziałem Dorrie, pokazując jej zegarek. Uśmiechnęła się.

– Na pewien czas – odrzekła, odwróciła się i poszła przodem.

★

Po wesołym, błękitnym lśnieniu hiczijskiego tunelu igloo zdawało się ciasne i nędzne, a najgorsze było, że nawet nie mogliśmy w nim zostać. Cochenour może będzie pamiętał, by zamknąć śluzy po obu kon-

pary równocześnie w takich seks-inspektach na ośmiogodzinne zmiany przez całą dobę. Wtedy tacy jak ja muszą wytrzymywać w hiczijskich chatkach na powierzchni, wynajmując własne podziemne pokoje, aby zarobić pieniądze na następnych parę miesięcy.

★

Ale nie da się zarobić dość, aby przeżyć do kolejnego spotkania z orbitą Hohmanna, więc gdy zjawiają się turyści Drugiej kategorii podrzynamy sobie nawzajem gardła, by ich dostać w ręce.

Są średnio zamożni. Można by ich określić jako ubogich milionerów: takich, których dochody wyrażają się liczbą zaledwie siedmiocyfrową. Mogą sobie pozwolić na przelot po orbitach wymuszonych, trwających około stu dni zamiast długiego, powolnego, beznapędowego dryfu orbitą Hohmanna. Kosztuje to milion i więcej dolarów, jest ich więc znacznie mniej. Ale przybywają prawie każdego miesiąca, gdy pozwala na to w miarę korzystna koniunkcja orbitalna obu planet. Mają też więcej pieniędzy do wydania. To samo dotyczy innych średniozamożnych docierających do nas cztery lub pięć razy na dekadę, gdy balistyka planetarna dzięki konfiguracji trzech planet pozwala na wybranie takiej orbity, która wymaga niewiele większego wydatku energetycznego niż prosty lot na trasie Ziemia--Wenus. Jeśli mamy szczęście, zjawiają się najpierw u nas, następnie lecą na Marsa. Jeżeli kolejność jest odwrotna, dla nas zostają resztki. A to nigdy nie jest dużo.

Ale bardzo bogaci... ach, bardzo bogaci! Ci przybywają kiedy chcą, w sezonie korzystnych orbit lub poza nim.

★

Gdy mój kapuś z lądowiska zameldował, że przybył prywatny czarter, poczułem zapach pieniędzy. O tej porze nie mógł przybyć nikt, kto nie był bardzo bogaty. Jedynym moim problemem było, ilu konkurentów będzie probowało poderżnąć mi gardło.

Wynajem kapsuł powietrznych wymaga o wiele większych nakładów niż otworzenie kiosku z wachlarzami modlitewnymi. Miałem to szczęście, że udało mi się kupić kapsułę tanio, gdy facet, dla którego pracowałem umarł. W tym momencie nie miałem zbyt wielu konkurentów, paru z nich miało pojazdy w naprawie, pozostali przeszukiwali na własną rękę hiczijskie podziemia.

Więc prawdę mówiąc miałem pasażerów z czarteru, kimkolwiek byli, tylko dla siebie. Oczywiście zakładając, że będzie ich interesować wycieczka poza hiczijskie tunele.

Musiałem założyć, że ich to zainteresuje, ponieważ bardzo potrzebowałem pieniędzy. Wiecie, miałem taką drobną dolegliwość wątroby. Była bliska kompletnej wysiadki. Jak mi wytłumaczyli lekarze, miałem trzy możliwości: albo wrócić na Ziemię, by pomęczyć się jeszcze trochę na zewnętrznej protezie, albo zdobyć pieniądze na przeszczep. Albo umrzeć.

II

Facet, który wyczarterował ten statek nazywał się Boyce Cochenour. Wyglądał na czterdziestkę. Wzrost dwa metry. Pochodzenie irlandzko-amerykańsko-francuskie.

Należał do typków przyzwyczajonych rozkazywać. Przyglądałem się, jak wchodził do Wrzeciona z miną właściciela przygotowującego się do jego sprzedaży. Usiadł w bulwarowo-parysko-hiczijskiej imitacji kafejki ze stolikami na chodniku należącej do Sub Vastry. Powiedział:

– Szkocka.

A Vastra pospieszył nalać „Johna Begga" na kostki świetnie ochłodzonego lodu i podać mu, trzeszcząca od zimna i znieczulającą wargi.

– Palić – powiedział, a towarzysząca mu dziewczyna natychmiast zapaliła papierosa i podała mu.

– Nędzna speluna – oświadczył, a Vastra zaczął wyłazić ze skóry, by okazać, jak bardzo się z nim zgadza.

Usiadłem przy nich, no, to znaczy nie przy ich stoliku; nawet na nich nie spojrzałem. Ale słyszałem, co mówili. Vastra też na mnie nie spojrzał, choć oczywiście widział, jak wchodziłem i wiedział, że mam ich na oku. Ale musiałem się pogodzić z tym, że zamówienie przyjęła ode mnie jego żona Numer Trzy, bo Vastra nie zamierzał tracić na mnie czasu, mając przy stoliku Ziemniaka z czarterowego statku.

– Jak zwykle – powiedziałem, mając na myśli czysty spirytus podany w kubku od napoju bezalkoho-

lewego. - I odbitka waszych informacji - dodałem ciszej. Błysnęła ku mnie oczami znad flirtownika. Mała ciekawska Esica. Poklepałem ją przyjacielsko po dłoni, wsuwając zwinięty banknot. Odeszła.

Ziemniak badał wzrokiem otoczenie łącznie ze mną. W odpowiedzi spojrzałem na niego, grzecznie ale chłodno, on zaś prawie niedostrzegalnie kiwnął mi głową i odwrócił się do Subhasha Vastry.

- Ponieważ już tu jestem - powiedział - mogę ostatecznie zająć się czymkolwiek co tu jest do roboty. A co jest?

Sub uśmiechnął się szeroko jak wysoka, chuda żaba.

- Ach, wszystko co pan życzy, saar. Rozrywki? W naszych prywatnych salonach mamy najwybitniejsze artystki trzech planet, bajadery, świetne aktorki...

- Tego mamy po uszy w Cincinnati. Nie przyleciałem na Wenus, by oglądać występy kabaretowe. Oczywiście nie mógł wiedzieć, jak dobre zrobił posunięcie; prywatne pokoje Suba były bardzo nisko notowane wśród nocnych lokali na Wenus, a nawet najlepsze z nich niewiele były warte.

- Oczywiście, saar! To może zechciałby pan wziąć pod uwagę wycieczkę?

- Ech - potrząsnął głową Cochenour. - Co za sens? Czy jest tam inaczej, niż na naszym lądowisku leżącym dokładnie nad naszymi głowami?

Vastra zawahał się. Widziałem dobrze, jak oblicza w myśli dalsze konsekwencje, porównując szanse zabrania Ziemniaka na wycieczkę po powierzchni, z tym, co mógłby dostać ode mnie za pośrednictwo. Nie spojrzał w moją stronę. Zwyciężyła uczciwość, to znaczy uczciwość podparta szybką oceną łatwowierności Cochenoura.

- Niewielka różnica, istotnie - przyznał. - Na powierzchni wszystko bardzo gorące i suche, przynajmniej w promieniu tysiąca kilometrów. Ale nie miałem na myśli powierzchni.

- Więc co?

- Ach, saar, nory Hiczich! Zaraz pod tym osiedlem ciągną się na wiele mil. Można by znaleźć przewodnika...

- Nie bierze mnie - mruknął Cochenour. - W każdym razie nie tak blisko.

- Saar?

- Jeśli przewodnik może nas tam poprowadzić - wyjaśnił Cochenour - to znaczy, że są zbadane. Co oznacza, że już wyszabrowane. Cóż w tym ciekawego?

- Oczywiście - przyznał natychmiast Vastra. - Rozumiem, co pan ma na myśli, saar.

Humor wyraźnie mu się poprawił i czułem jak jego radar skierował się na mnie, by go upewnić, że słucham, choć w ogóle nie patrzył w moją stronę.

- Prawdę mówiąc - dodał - zawsze jest szansa natrafienia na nowe wykopaliska, saar, pod warunkiem, że wie się, gdzie szukać. Czy mam rację przyjmując, że to by pana zainteresowało?

Trzecia Vastry przyniosła mojego drinka i cieniutki papierek z kserokopią.

- Trzydzieści procent - szepnąłem jej. - Powiedz Subowi. Ale bez targów i bez nikogo innego w licytacji...

Kiwnęła głową i zrobiła do mnie oko. Była tak samo pewna jak ja, że Ziemniak już połknął przynętę. Miałem zamiar sączyć mojego drinka tak długo jak się da, jednak widząc zbliżającą się pomyślność byłem gotów ją uczcić i pociągnąłem duży, serdeczny łyk.

Ale przynęcie brakowało haczyka. Nieoczekiwanie Ziemniak wzruszył ramionami.

- Założę się, że to strata czasu - mruknął. - Naprawdę tak myślę. Jeżeli ktoś wie gdzie szukać, to sam by już tam poszukał, prawda?

- Ach, proszę pana! - zawołał Subhash Vastra. - Przecież są setki niezbadanych tuneli! Tysiące! A w nich, kto wie, może bezcenne skarby?

Cochenour potrząsnął głową.

- Daj sobie spokój - powiedział. - Przynieś nam jeszcze drinka i postaraj się, żeby tym razem lód był naprawdę zimny.

★

Z lekka zachwiany w nadziejach odstawiłem swój kubek, odwróciłem się nieco od Ziemniaków, by ukryć dłoń i zerknąłem do odbitki raportu Suba, by zorientować się, czy nie ma tam czegoś, co wyjaśniałoby czemu Cochenour stracił zainteresowanie sprawą.

Przekonany byłem, że o te dziesięć jardów spudłowaliśmy.

Byłem zadowolony z siebie, że do tego doszedłem, choć nie wiem, jaką w praktyce mogłoby to stanowić różnicę. Gdybym miał jeszcze jedno igloo, chętnie zacząłbym na nowo, zakładając, że wytrzymam tak długo. Ale to było bez znaczenia, bo nie miałem drugiego igloo.

Usiadłem więc na brzegu ciemnego szybu, kiwając z uznaniem głową nad sposobem, w jaki rozwiązałem problem, machając nogami i od czasu do czasu zrzucając odłamki do środka. Sądzę, że było to coś w rodzaju pragnienia śmierci, bo od czasu do czasu przychodziło mi do głowy, że najlepiej byłoby skoczyć w dół i zasypać się gruzem.

Ale etyka purytańska nie życzyła sobie, bym tak postąpił. W każdym razie to rozwiązywałoby tylko moje osobiste problemy. Nic by nie dało miłej Dorrie Keefer, pochrapującej na zewnątrz w huraganie termicznym.

Zacząłem się zastanawiać co mnie obchodzi Dorrie. Był to dość miły temat rozmyślań, ale jakby smutnawy.

★

Zacząłem znowu myśleć o tunelu.

Dno szybu nie mogło być więcej oddalone od tunelu niż o parę jardów. Przyszło mi do głowy, by skoczyć na dno i dodrapać się gdzie trzeba rękawicami. Wyglądało to na dobry pomysł. Nie wiem ile w nim było dziwactwa, a ile fantazjowania chorego faceta, ale ciągle myślałem jakby to fajnie było, gdyby w środku jeszcze siedzieli Hiczi, a gdy się dodrapię do niebieskiej wykładziny mogę po prostu grzecznie zastukać a oni otworzą i mnie wpuszczą. Widziałem nawet jak powinniby wyglądać: dość przyjaźni i bogom podobni. Byłoby bardzo miło spotkać Hicziego, żywego i mówiącego po angielsku. Mógłbym zapytać:

- Hiczi, do czego naprawdę używaliście tych przedmiotów, które nazywamy wachlarzami modlitewnymi?

Albo:

- Hiczi, czy masz w apteczce coś, co by mnie uchroniło od śmierci?

Albo też:

- Hiczi przepraszam, że ci nabałaganiliśmy przed domem, postaram się to sprzątnąć.

Zepchnąłem do szybu jeszcze trochę odłamków. Nie miałem nic lepszego do roboty, a kto wie, może im się to spodoba. Po chwili był już wypełniony do połowy, a mnie zabrakło odłamków, bo pozostałe wypchnąłem z igloo, a nie miałem siły by po nie pójść. Zacząłem sobie szukać czegoś innego do roboty. Nastawiłem na nowo głowice, wymieniłem stępione ostrza na ostatnie dobre, jakie nam zostały, wycelowałem je mniej więcej w kierunku dna jaru pod kątem dwudziestu stopni i włączyłem.

Dopiero gdy zauważyłem, że Dorrie stoi obok mnie i pomaga trzymać głowice, podczas pierwszych jardów wiercenia zrozumiałem, że coś postanowiłem.

Czemu nie spróbować ukośnego wiercenia? Czy mamy lepsze rozwiązanie?

Nie mieliśmy. Wierciliśmy.

Gdy wiertła przestały buksować i zaczęły wgryzać się systematycznie w skałę, a my mogliśmy przestać się nimi zajmować, opróżniłem miejsce pod ścianą igloo i wypchnąłem odłamki. Potem po prostu usiedliśmy patrząc, jak wiertła wyrzucają kawałki skały do starego szybu. Pięknie się napełniał. Milczeliśmy. I znowu zasnąłem.

Nie obudziłem się póki Dorrie nie zaczęła mnie walić po głowie. Siedzieliśmy zagrzebani w odłamkach, ale to nie była tylko skała. Świeciły niebiesko, tak mocno, że raziły mnie w oczy.

Głowice musiały już parę godzin skrobać ściany hiczijskiego tunelu. Nawet wyryły w nich zagłębienia.

Popatrzyliśmy w dół. Widać było patrzące na nas okrągłe, jasne, błękitne oko ściany tunelu. Był prześliczny i należał do nas.

Nawet wtedy nie zaczęliśmy rozmawiać.

Jakimś sposobem, kopiąc i wijąc się, udało mi się przepchnąć przez gruz do rękawa. Zamknąłem śluzę, wypchnąwszy na zewnątrz parę metrów sześciennych kamienia. Po czym zacząłem grzebać w stosie odpadków w poszukiwaniu wierteł ogniowych. Wreszcie je znalazłem. Sam nie wiem jak. Udało mi się je ustawić i przygotować. Zapaliłem je. Ujrzałem jasny krąg światła wybiegającego z szybu i kładącego się plamami na suficie igloo.

Nagle krótko zaskowyczał gaz i rozległ się łoskot luźnych odłamków na dnie szybu, spadających w dół.

Poczułem, że coś trąca mnie w ramię i odkryłem, że Dorrie siedzi koło mnie. Nie pytała o nic, nie próbowała nic mówić. Myślę, że wszystko zrozumiała bez słowa.

Według chronometru w moim skafandrze upłynęło piętnaście godzin. Zostało trochę ponad trzydzieści nim Cochenour wróci by nas zabrać. Nie było sensu siedzieć tu cały ten czas, ale z drugiej strony nie widziałem żadnego sensu w robieniu czegokolwiek innego.

Oczywiście, pomyślałem, zawsze mogę przez chwilę pospać... i nagle obudziłem się i zrozumiałem, że to właśnie zrobiłem.

★

Dorrie spała obok.

Możecie się dziwić, jak człowiek może spać w środku południowobiegunowej burzy termicznej. To wcale nie trudne. Wystarczy, że jest się zupełnie wyczerpanym i zupełnie zdesperowanym. Śpi się nie dla zabicia czasu, lecz by odciąć się od świata, gdy jest zbyt parszywy by nań patrzeć. Jak nasz.

Ale Wenus jest ostatnią ostoją etyki purytańskiej. Zwariowaną. Wiedziałem, że praktycznie jestem trupem, ale czułem, że muszę coś zrobić. Odsunąłem się ostrożnie od Dorrie, sprawdziłem, że jej skalander jest przypięty pasem do pierścienia uszczelniającego u podstawy igloo i wstałem. By wstać musiałem bardzo się skupić, co było równie dobre na niemyślenie o zmartwieniach, jak sen.

Przyszło mi do głowy, że może są ciągle jeszcze żywi Hiczi w tunelu, którzy usłyszeli jak pukamy i otworzyli nam wejście na dnie szybu. Wpełznąłem więc do igloo by popatrzeć.

Dla pewności zajrzałem w głąb szybu. Nie. Nie otworzyli. Była to zwyczajna ślepa dziura w ziemi, znikająca w brudnym, gęstym mroku tam, gdzie nie sięgało światło mego reflektora hełmowego. Obrzuciłem przekleństwami Hiczich, którzy nam nie pomogli i kopnąłem w głąb szybu parę odłamków na ich nie istniejące głowy.

Świerzbiła mnie etyka purytańska i zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Umrzeć? No można, ale to i tak szło z wystarczającą szybkością. Coś konstruktywnego?

Przypomniałem sobie, że każde miejsce należy zostawić tak, jak się je zastało, podniosłem więc wiertła kołowrotem z przekładnią jeden do ośmiu i poukładałem je porządnie. Znowu kopnąłem trochę odłamków do niepotrzebnej dziury, by zrobić sobie miejsce, usiadłem i zacząłem myśleć.

Zastanawiałem się, co zrobiliśmy nie tak, używając metody stosowanej przy rozwiązywaniu zadań szachowych.

Ciągle jeszcze miałem w pamięci zarys ekranu. Był jasny i wyraźny, więc na pewno coś tu było. Po prostu nie powiodło nam się i spudłowaliśmy.

Ale dlaczego spudłowaliśmy?

Po pewnym czasie miałem już, jak sądziłem, odpowiedź.

Ludzie w rodzaju Dorrie czy Cochenoura wyobrażają sobie, że kontur sejsmiczny to coś, jak mapa urządzeń podziemnych śródmieścia Dallas, z zaznaczonymi wszystkimi ściekami, uzbrojeniem terenu i siecią wodociągową. Wystarczy więc kopać w miejscu, gdzie są znaki, by znaleźć co się chce.

Ale to nie tak. Kontur pojawia się jako coś w rodzaju mglistego przybliżenia. Tworzy się godzinami przez pomiary echa mikrowybuchów. Wygląda jak pasmo pajęczyny, o wiele szersze niż sam tunel i rozpływające się po brzegach. Gdy się je ogląda, można się dowiedzieć, że gdzieś w mrokach jest coś, co je wywołuje. Może granica fazowa skały albo złoże żwiru. Gdy ma się szczęście jest to podziemie Hiczich. Cokolwiek to jest, istnieje gdzieś tam z pewnością, ale nie wiadomo dokładnie gdzie. Jeśli tunel ma dwadzieścia metrów średnicy, co jest właściwą średnicą dla hiczijskich tuneli łącznikowych, kontur cieniowy na pewno pokaże szerokość pięćdziesiąt, może nawet i sto.

Gdzie więc kopać?

Na tym polega sztuka poszukiwania. Trzeba zgadywać na podstawie posiadanych informacji.

Można wiercić dokładnie w środku geometrycznym, o ile da się zobaczyć, gdzie jest środek. To najłatwiejszy sposób. Można wiercić tam, gdzie cienie są najgłębsze. Tak postępują średnio bystrzy poszukiwacze i prawie co drugi raz im się udaje. Można też robić to co ja, to znaczy starać się myśleć jak Hiczi. Patrzy się na kontur, jak na całość i zastanawia, jakie punkty mógł on łączyć. Następnie wyznacza w wyobraźni drogę między nimi, to znaczy jak zaplanowałbyś tunel, gdybyś był hiczijskim inżynierem kierującym budową i wierci gdzieś na tej linii.

To właśnie zrobiłem, ale oczywiście zrobiłem to źle. Myślało mi się mętnie, ale zacząłem dochodzić do wniosku, że wiem co zrobiłem.

Wyobraziłem sobie kontur. Właściwym miejscem wiercenia było to, na którym posadziłem kapsułę, ale oczywiście nie mogłem tam ustawić igloo, bo mi kapsuła przeszkadzała. Więc ustawiłem je z dziesięć jardów dalej na stoku jaru.

Nie było. Ale za to wiele się dowiedziałem. Dziewczyna, która była z Cochenourem nazywała się Dorota Keefer. Podróżuje z nim od paru lat, tym razem po raz pierwszy poza Ziemię. Nie było nic na temat ich małżeństwa ani projektów na nie, przynajmniej z jego strony. Ona miała niewiele ponad dwadzieścia, wiek rzeczywisty, nie fingowany lekami i przeszczepami. Sam Cochenour mocno przekroczył dziewięćdziesiątkę.

Oczywiście nie wyglądał ani na to, ani nawet blisko tego. Przyglądałem się jak podchodził do stolika; jak na człowieka jego wzrostu poruszał się lekko i sprężyście. Forsę miał z własności ziemskiej i petrożywności; według informacji był jednym z pierwszych milionerów naftowych, którzy przestawili się ze sprzedaży paliwa do samochodów i ogrzewania na produkcję żywności, hodując algi w surowej ropie z własnych szybów i po przetworzeniu sprzedając je dla celów konsumpcyjnych. Już nie był zwykłym milionerem, ale kimś znacznie większym.

I to wyjaśniało jego wygląd. Korzystał z Pełnej Lekarskiej z dodatkami. Sprawozdanie podawało, że serce ma tytanowo-plastykowe. Płuca przeszczepione z dwudziestolatka, który zginął w katastrofie helikoptera. Działanie skóry, muskułów i tkanki tłuszczowej, nie mówiąc już o różnych systemach gruczołowych, podtrzymywał hormonami i biostymulatorami kosztem dobrze ponad tysiąca dolarów dziennie. Sądząc z tego, jak poklepał siedzącą obok niego dziewczynę, dostawał wszystko, co się należało za te pieniądze. Wyglądał i zachowywał się jakby miał nie więcej niż czterdziestkę, może zdradzało go tylko spojrzenie jasnoniebieskich zimnych jak diamenty, znużonych i nieufnych oczu.

Cóż za wspaniały jeleń! Przełknąłem resztę mego drinka i kiwnąłem na Trzecią, by mi przyniosła następny. Musiał istnieć sposób zmuszenia go, by wynajął moją kapsułę.

Trzeba go tylko było znaleźć.

Za barierką kafejki Vastry połowa Wrzeciona myślała oczywiście w ten sam sposób. Byliśmy na dnie martwego sezonu; banda Hohmannowska miała przylecieć dopiero za trzy miesiące, wszystkim nam zaczynało brakować pieniędzy. Mój przeszczep wątroby był malutką dodatkową zachętą. Z setki głodnych szczurów, których widziałem kątem oka, dziewięćdziesięciu dziewięciu potrzebowało nie mniej pilnie niż ja chapnąć coś z forsy bogatego turysty tylko po to, by zostać przy życiu.

Ale wszyscy nie mogli tego zrobić. Dwóch z nas, trzech, może nawet i tuzin mogło załapać tyle, by to coś naprawdę znaczyło. Nie więcej. A ja musiałem być jednym z tych niewielu.

Łyknąłem potężnie mego drugiego drinka, dałem ostentacyjnie Trzeciej Vastry hojny napiwek i leniwie odwróciłem się twarzą wprost do Ziemniaków.

Dziewczyna rozmawiała z grupką sprzedawców pamiątek z miną równocześnie zaciekawioną i niepewną.

– Boyce? – zapytała, patrząc na niego przez ramię.

– Co tam?

– Do czego to służy?

Przechylił się przez barierkę i popatrzył.

– Wygląda na wachlarz – powiedział.

– Zgadza się, wachlarz modlitewny Hiczich! – zawołał handlarz. Znałem go, był to Booker Allemang, weteran Wrzeciona. – Sam go znalazłem, panienko! Spełni każde pani życzenie, codziennie dostaję listy od klientów donoszących o cudownych rezultatach...

– Przynęta na frajerów – warknął Cochenour. – Kup sobie jeśli chcesz.

– Ale co on powoduje?

Zaśmiał się chrapliwie.

– To, co każdy wachlarz. Chłodzi. – I popatrzył na mnie z uśmiechem.

★

Dopiłem drinka, kiwnąłem głową, wstałem i podszedłem do ich stolika.

– Witajcie na Wenus – powiedziałem. – Czy mogę państwu w czymś pomóc?

Dziewczyna, nim mi odpowiedziała, spojrzeniem zapytała Cochenoura o zgodę.

– Uważam, że to jest bardzo ładne – oświadczyła.

– Bardzo – potwierdziłem. – Czy zna pani historię Hiczich?

Cochenour wskazał mi gestem krzesło. Usiadłem i ciągnąłem dalej.

– Zbudowali te tunele mniej więcej ćwierć miliona lat temu. Mieszkali tu przez parę stuleci, w oceanach są duże różnice. Potem odeszli. Zostawili po sobie masę szmelcu i trochę rzeczy, które nie są szmelcem, między innymi te wachlarze. Niektórzy tutejsi naciągacze, jak ten Be-gie, co tu stoi, wpadli na pomysł nazwania ich „wachlarzami modlitewnymi" i sprzedawania ich turystom, by sobie z ich pomocą zamawiali życzenia.

Allemang nie tracił ani słowa z tego co mówiłem, starając się odgadnąć, do czego zmierzam.

– Przecież wiesz, że to prawda – powiedział.

– Ale wy dwoje jesteście za inteligentni na tego rodzaju gadki – ciągnąłem. – Niemniej przyjrzyjcie się im. Są dość piękne, by warto je było mieć nawet bez tej opowiastki.

– Oczywiście! – zawołał Allemang. – Popatrz, panienko, jakie ten rzuca iskry! A te szare i czarne kryształy, jak pięknie kontrastują z pani blond włosami!

Dziewczyna rozwinęła wachlarz usiany kryształami. Tworzył zwój, ale w kształcie stożka. Wystarczyło najlżejsze dotknięcie kciuka by rozwinął się i gdy dziewczyna powiała nim lekko, wyglądała naprawdę bardzo pięknie. Jak wszystkie hiczijskie wachlarze ważył tylko z dziesięć gramów, a jego krystaliczna koronka odbijała zarówno światło luminescencyjnych hiczijskich ścian jak i świetlówek, które zainstalowaliśmy tu my, szczury tego podziemnego labiryntu. Rzucał na wszystkie strony tęczowe iskry.

– Ten typ nazywa się Booker Garey Allemang – powiedziałem. – Sprzeda wam taki sam towar jak inni, ale nie oszuka was tak bardzo jak większość z nich.

Cochenour spojrzał na mnie surowo, następnie przywołał gestem Suba Vastrę zamawiając następną kolejkę.

– Dobra – oświadczył. – Jeśli będziemy kupować, kupimy od ciebie, Booker Garey Allemang. Ale nie teraz.

Zwrócił się do mnie.

– A pan co chce nam sprzedać?

– Siebie i moją kapsułę powietrzną, jeśli pan chce szukać nowych tuneli. Oboje jesteśmy najlepsi w naszych kategoriach.

– Ile?

– Milion dolarów – odrzekłem natychmiast. – Za całość.

Nie odpowiedział od razu, choć z pewną przyjemnością zauważyłem, że cena nie zrobiła na nim większego wrażenia. Wyglądał tak miło, a przynajmniej tak samo spokojnie znudzony, jak zawsze.

– Napijmy się – powiedział, gdy Vastra i jego Trzecia nas obsłużyli. Dłonią ze szklanką zrobił gest pokazując Wrzeciono. – Wiadomo do czego to służyło? – zapytał.

– To znaczy, po co Hiczi to zbudowali? Nie. Byli dość niskiego wzrostu, więc nie było wyrobiskiem kopalnianym. A gdy to odkryto, było całkiem puste.

Spojrzał wyrozumiale na ruchliwe otoczenie, na balkony wycięte w pochyłych ścianach Wrzeciona, gdzie mieściły się knajpy podobne do tej, w której siedzieliśmy, szeregi kiosków z pamiątkami, w większości zamkniętych w związku z martwym sezonem. Mimo to parę setek szczurów podziemnych kręciło się dookoła, a ich ilość była tym większa, im dłużej Cochenour i dziewczyna siedzieli przy stoliku.

– Niewiele jest tu do oglądania, prawda? – powiedział. – Dziura w ziemi i masa ludzi próbujących dobrać się do moich pieniędzy.

Wzruszyłem ramionami.

Znów wyszczerzył zęby.

– No to po co tu przyjechałem, co? Ano, to dobre pytanie, ale ponieważ pan go nie zadał, ja nie muszę odpowiadać. Chce pan milion dolarów. Policzmy sobie. Sto za wynajęcie kapsuły. Sto osiemdziesiąt czy coś koło tego miesięcznie za wynajem sprzętu. Minimum dziesięć dni, ale raczej trzy tygodnie. Żywność, zapasy, zezwolenia, jeszcze pięćdziesiąt. To już prawie siedemset tysięcy, nie licząc pańskiego honorarium i tego, co pan musi odpalić naszemu gospodarzowi za to, że nie wyrzucił pana z lokalu. Zgadza się, Walthers?

nas, podniosłem głowę i patrzyłem jak Cochenour startuje w ulewie popiołu metali ciężkich. Był to całkiem niezły start. W podobnych okolicznościach jako „zły" określam całkowite zniszczenie kapsuły i śmierć lub kalectwo jednej lub więcej osób. Tego uniknął, ale kapsuła weszła w drgania i ciężkie poślizgi, gdy tylko chwyciły ją porywy wiatru. Będzie miał ciężki lot o te pareset kilometrów na północ poza zasięg wykrywania z bazy.

Trąciłem Dorrie stopą. Z wysiłkiem stanęła na nogi. Wetknąłem przewód telefoniczny w gniazdko jej hełmu; radio mieliśmy wyłączone, bo mogły się zdarzyć patrole graniczne, których byśmy nie dostrzegli.

– Czy już zmieniłaś zamiar? – zapytałem.

Pytanie było dość szkaradne, ale ładnie na nie zareagowała. Zachichotała. To widziałem, bo staliśmy twarzami do siebie i w cieniu hełmu widziałem jej twarz. Ale nic nie słyszałem, póki nie przypomniała sobie, że trzeba wcisnąć guzik telefonu, a wtedy doszło do mnie:

– ...romantycznie, tylko we dwoje.

No, na takie pogaduszki nie było czasu. Odrzekłem podrażnionym tonem:

– Przestańmy tracić czas. Pamiętaj, co ci powiedziałem. Mamy powietrze, wodę i energię na 48 godzin. Nie licz na żaden margines. Jedno czy drugie może starczyć na odrobinę dłużej, ale żeby wyżyć potrzeba wszystkich trzech. Staraj się nie pracować za ciężko, bo im powolniejsza przemiana materii, tym mniej ma do roboty system wydalania. Jeśli znajdziemy tunel i wejdziemy tam, może będziemy mogli coś zjeść z żelaznych porcji, pod warunkiem, że nie będzie przebity ani zbyt nagrzany przez ćwierć miliona lat. W przeciwnym razie nawet nie myśl o jedzeniu. A jeśli idzie o spanie, zapomnij...

– I kto teraz traci czas? Wszystko to już mi mówiłeś. – Ciągle jeszcze było jej wesoło.

Wpełzliśmy więc do igloo i wzięliśmy się do roboty.

Najpierw musieliśmy usunąć trochę gromadzącego się gruzu, bo wiertło zostawiliśmy w ruchu. Oczywiście zwykle robi się to odwracając kierunek ruchu i obrotu głowic. Tego nie mogliśmy zrobić. Oznaczałoby to bowiem przerwę w drążeniu szybu. Musieliśmy to wykonać trudniejszym sposobem, czyli ręcznie.

No i było ciężko. Po pierwsze skafandry żaroodporne nie są wygodne. Gdy się w nich pracuje, są wręcz okropne. A gdy praca jest bardzo ciężka fizycznie i utrudniona przez ciasnotę wewnątrz igloo, w którym już mieszczą się dwie osoby i działająca wiertnia, jej wykonanie jest prawie niemożliwe.

Ale nie mając wyboru, dokonaliśmy tego.

Cochenour nie skłamał, Dorrie była silna jak mężczyzna. Nie wiadomo było tylko, czy to wystarczy. A drugie pytanie, które męczyło mnie z każdą minutą bardziej, było czy ja jestem silny jak mężczyzna. Ból głowy wprost rozsadzał mi czaszkę a przy nagłych ruchach miałem przed oczami mroczki. Znachornia obiecała mi trzy tygodnie do początku ostrej niewydolności wątroby, ale nie przy takiej pracy. Doszedłem do wniosku, że i tak już przekroczyłem mój czas. Wniosek był niepokojący.

Szczególnie, gdy po dziesięciu godzinach zdałem sobie sprawę, że jesteśmy niżej niż według sondowania miał znajdować się tunel, a z otworu nie wydobywa się żaden świetlisty niebieski gruz.

Wywierciliśmy pusty szyb.

★

Gdybyśmy mieli teraz koło siebie kapsułę, byłby to tylko kłopot. Może bardzo duży kłopot. Ale nie klęska. Wróciłbym wtedy do kapsuły, umył się, pospał przez całą noc, zjadł posiłek i sprawdził komputer. Wierciliśmy w niewłaściwym miejscu. Dobra, następnym krokiem powinno być wiercenie we właściwym. Zbadać teren, wybrać punkt, zapalić następne igloo, włączyć świdry i próbować, próbować od nowa.

To powinniśmy byli zrobić. Ale nie mogliśmy. Nie mieliśmy kapsuły. Nie mieliśmy możliwości by spać czy jeść. Nie mieliśmy więcej igloo. Nie mieliśmy komputerów do przestudiowania. A ja z każdą minutą czułem się parszywiej.

Wypełzłem z igloo, usiadłem zasłonięty od wiatru i zagapiłem się na smagane wichrem żółtozielone niebo.

Na pewno można było coś zrobić, gdybym tylko mógł to wymyśleć. Zmusiłem się do myślenia.

Ano, popatrzmy. Może mógłbym zerwać igloo z podstawy i przenieść je na inne miejsce?

Nie. Mogłem oczywiście zerwać je za pomocą głowic, ale w chwili gdy zostanie uwolnione chwycą je wiatry i to będzie oznaczało pa-pa, kochanie. Nigdy go więcej nie zobaczę. Do tego nie da się go ponownie zahermetyzować.

A co z wierceniem bez igloo?

Możliwe, oceniłem. Ale bezsensowne. Przypuśćmy, że będziemy mieli szczęście i dowiercimy się gdzie trzeba? Bez igloo, chroniącym przed dwudziestu tysiącami milibarów gorących gazów, tak czy inaczej zniszczymy zawartość.

rezerwy wody. Zostawiłem ją przy tej robocie, sobie zaś zrobiłem kawy, zapaliłem papierosa, usiadłem i zacząłem myśleć.

Gdy Dorrie zrobiła co mogła dla Cochenoura, sprzątnęła najgorsze brudy i oddała się tak ważnemu zajęciu, jak poprawianie makijażu wokół oczu, miałem już świetny pomysł.

Dałem Cochenourowi zastrzyk na obudzenie, a Dorrie głaskała go i przemawiała do niego, gdy odzyskiwał przytomność. Ta dziewczyna nie potrafiła żywić do nikogo urazy. Ja potrafiłem. Kazałem mu wstać, by wypróbował swoją nogę wcześniej niż sam chciał. Z jego miny poznałem, że jest cały obolały. Ale mięśnie były w porządku.

Zdobył się nawet na uśmiech.

Stare kości - oświadczył. - Wiem, że powinienem był pójść na wymianę wapna. Tak się płaci za drobne oszczędności.

Usiadł ciężko z nogą wyciągniętą przed siebie. Zmarszczył nos.

Przepraszam, że zapaskudziłem twoją śliczną czystą kapsułę - dodał.

Chcesz się umyć?

Zdziwił się.

No, myślę, że powinienem to zrobić dość szybko...

To zrób zaraz. Chcę z wami obojgiem pogadać.

Nie sprzeciwił się. Wyciągnął tylko rękę, a Dorrie ją podtrzymała. Poszedł na wpół kulejąc, na wpół podskakując do umywalki. Prawdę mówiąc najgorszą robotę już wykonała Dorrie, ale obmył sobie twarz i wypłukał usta. Gdy się odwrócił, by na mnie spojrzeć, był już w całkiem niezłej formie.

Dobra, co jest grane? Rezygnujemy?

Nie - odpowiedziałem. - Zrobimy to w inny sposób.

Ależ on nie może - zawołała Dorrie. - Spójrz na niego, Audee! Ze skafandrem w takim stanie nie przeżyje godziny, co dopiero mówić o pomocy w wierceniu.

Wiem o tym i dlatego musimy zmienić plan. Będę wiercił sam. A wy we dwoje spełnicie się w kapsule.

Aha, dzielny chłop - odrzekł apatycznie Cochenour. - Kogo chcesz nabierać? Wiesz, że to robota dla dwóch.

Zawahałem się.

Niekoniecznie. Dawniej robili to samotni poszukiwacze, choć mieli nieco inne problemy. Zgadzam się, że będę miał ciężkie 48 godzin, ale musimy spróbować. Z jednego powodu. Nie mamy wyboru.

Omyłka - odezwał się Cochenour. Poklepał Dorrie po tyłku. - Dziewczyna ma twarde muskuły. Nie jest duża, ale zdrowa. Po babce. Nie sprzeczaj się, Walthers. Pomyśl tylko. To tak samo bezpieczne dla Dorrie jak dla ciebie. We dwójkę jest szansa na wygraną. Samotnie nie masz żadnej.

Z jakiegoś powodu jego postawa mnie rozeźliła.

Gadasz, jakby ona nie miała nic do powiedzenia.

No cóż - odrzekła dosyć słodko Dorrie - jeśli o to idzie, to ty też nie. Doceniam, Audee, że chcesz bym się nie przemęczała, ale mówię ci uczciwie, że mogę pomóc. Masę się naorzydam. A jeśli chcesz usłyszeć prawdę, jesteś w znacznie gorszym stanie niż ja.

Odpowiedziałem z ironią w głosie:

Daj spokój. Możecie mi we dwoje pomagać przez mniej więcej godzinę przy przygotowaniach. A potem zrobimy jak powiedziałem. Żadnych sprzeciwów. Bierzemy się do roboty.

Zrobiłem dwa błędy. Pierwszy, że w ciągu godziny nie byliśmy gotowi, zabrało to przeszło dwie, a zanim skończyliśmy, kąpałem się we własnym pocie. Czułem się bardzo źle. Nie pamiętałem już o bólu ani nie martwiłem się nim, po prostu za każdym razem, gdy stwierdzałem, że moje serce jeszcze bije, niezmiernie mnie to dziwiło. Dorrie pracowała ciężej niż ja. Była silna i chętna, jak to powiedziano, a Cochenour sprawdzał aparaturę i zadał jeszcze parę pytań, by się upewnić co do własnej części roboty, czyli pilotowania kapsuły. Wypiłem dwa kubki kawy mocno zakropionej ginem z mego prywatnego zapasu, wypaliłem ostatniego papierosa i odmeldowałem się w bazie wojskowej. Ewa Kolanko rozmawiała kokieteryjnie, choć była trochę zdziwiona.

Potem Dorrie i ja wygramoliliśmy się ze śluzy i zamknęliśmy ją za sobą, zostawiając Cochenoura przypiętym pasami w fotelu pilota.

Dorrie zatrzymała się na chwilę ze smutną miną, po czym chwyciła mnie za rękę i ciężkim krokiem podążaliśmy w stronę już zapalonego igloo. Wbiłem jej do głowy jak jest ważne, by trzymać się poza podmuchem z dwupaliwowych dysz. To pojęła doskonale, padła płasko na ziemię i nie ruszała się.

Ja nie byłem tak ostrożny. Gdy tylko zorientowałem się po płomieniu, że dysze nie są skierowane na

Miałem pewne trudności z przełknięciem drinka, który już miałem w ustach, ale udało mi się odpowiedzieć:

To by się zgadzało, Mr. Cochenour. - Nie uważałem, by należało go informować, że mam własny sprzęt jak również kapsułę, choć nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że wie także i o tym.

No to umowa stoi. I chcę odlecieć tak szybko, jak się da, czyli, hmm, mniej więcej o tej samej godzinie jutro.

W porządku - odrzekłem, unikając spojrzenia Suba Vastry, w którego jakby piorun strzelił. Miałem zarówno coś do zrobienia, jak i do przemyślenia. Zaskoczył mnie zupełnie, a to nie jest dobre, gdy nie można sobie pozwolić na zrobienie błędu. Wiem, że zauważył, iż znam jego nazwisko. To było w porządku, zdawał sobie sprawę, że sprawdziłem go natychmiast. Ale dziwne było, że on znał moje.

III

Pierwsze, co miałem do zrobienia, to dokładnie skontrolować mój sprzęt; drugie: pójść do związku zawodowego, poświadczyć kontrakt i załatwić umowę z Sub Vastrą. Trzecie: zobaczyć się z lekarzem. Chwilowo moja wątroba nie sprawiała kłopotów, ale przerwałem przecież picie alkoholu.

Sprawdzenie, że wszystko czego będziemy potrzebować podczas wyprawy jest sprawne, ze wszystkimi częściami zamiennymi, których moglibyśmy potrzebować, zajęło mi około godziny. Znachornia leżała po drodze do biura związku, wstąpiłem więc najpierw tam. Nowiny były nie gorsze niż oczekiwałem; dr Morius starannie przestudiował odczyty swych aparatów. Okazało się, że jego staranność kosztuje sto pięćdziesiąt dolarów. On zaś wyraził ostrożną nadzieję, że przeżyję trzy tygodnie z dala od jego gabinetu pod warunkiem, że będę brał wszystko co mi przepisze i nie będę przekraczał bardziej niż zwykle zalecanej mi diety.

A gdy wrócę? - zapytałem.

Mniej więcej to samo, Audee - powiedział pogodnie. - Kompletne załamanie w ciągu, och, powiedzmy dziewięćdziesięciu dni. - Postukał końcami palców. - Słyszałem, że dorwałeś nadzianego - dodał. - Chcesz się zapisać na przeszczep?

A ile, według tego co słyszałeś, to nadzienie będzie warte?

Och, cena jest w każdym wypadku ta sama - odrzekł dobrodusznie. - Dwieście, plus szpital, anestezjolog, przedoperacyjna porada psychiatry, lekarstwa; wiesz już ile.

Wiedziałem i wiedziałem też, że z tego co zarobię na Cochenourze plus moje oszczędności, plus mała pożyczka pod zastaw kapsuły, będę mógł to prawie na pewno pokryć. Po operacji będę bankrutem, ale, rzecz jasna, żywym.

No to jazda - powiedziałem. - Za trzy tygodnie od jutra.

I zostawiłem go dość zadowolonego, jak birmańskiego plantatora ryżu przyglądającego się kolejnym żniwom. Kochany tatuś. Czemu nie wysłał mnie do szkoły medycznej zamiast zapewniać mi wykształcenie?

*

Byłoby bardzo przyjemnie, gdyby Hiczi byli tego samego wzrostu co ludzie, a nie o jakieś czterdzieści procent niżsi. W mniejszych tunelach, jak ten, który prowadził do Miejscowego Biura Nr 88 związku zawodowego, musiałem iść cały czas zgięty w pół.

Zastępca przewodniczącego już na mnie czekał. Miał jedną z tych niewielu dobrych posad, które nie zależały od turystów, w każdym razie nie bezpośrednio. Powiedział:

Telefonował Subhash Vastra. Mówi, że zgodziliście się na trzydzieści procent, a poza tym zapomniałeś zapłacić w barze rachunek jego trzeciej żonie.

Jedno i drugie się zgadza.

Mnie też jesteś coś niecoś winien, Audee. Trzysta za kserokopię raportu o twoim frajerze. Stówa za poświadczenie twojej umowy z Vastrą. A jeśli chcesz papiery przewodnika, to jeszcze sześćset.

Dałem mu kartę kredytową i podstemplowałem umowę, którą spisał. 30 procent Vastry nie należało się od całego miliona brutto, lecz mojego zarobku netto; ale nawet w ten sposób mógł mieć z tego tyle samo co ja, w każdym razie w żywej gotówce, bo ja miałem do zapłacenia zaległą resztę za sprzęt oraz

pożyczki. Pośrednicy gotowi są podtrzymywać klienta, póki mu się nie poszczęści, ale chcą by wówczas im zapłacił. Wiedzieli, ile może potrwać, nim mu się poszczęści po raz drugi.

– Dzięki, Audee – powiedział zastępca, kiwając głową w stronę podpisanej umowy. – Co jeszcze mogę dla ciebie zrobić?

– Po twoich cenach, nic – odpowiedziałem.

– Ach, myślisz, że cię nabieram. „Boyce Cochenour i Dorota Keefer, Ziemia, Ohio, w czarterze. Innych pasażerów nie ma". Innych pasażerów nie ma – powtórzył, cytując meldunek, który mi dostarczył. – Ależ zostaniesz bogaczem, Audee, jeśli popracujesz jak trzeba nad tym frajerem.

– Tyle nie żądam – powiedziałem. – Nie chcę nic ponad to, by zostać przy życiu.

Ale to nie była cała prawda. Miałem malutką nadzieję, niezbyt dużą, w każdym razie nie tak dużą, by o niej gadać i prawdę mówiąc nigdy nie powiedziałem na ten temat nikomu ani słowa, że mogę wyjść z tego lepiej niż tylko żywy.

Ale był w tym pewien problem.

Według standardowej umowy przewodnika, uważacie, oraz warunków wynajmu kapsuły, dostaję zapłatę i to wszystko, co mi się należy. Jeśli bierzemy takiego jelenia jak Cochenour na polowanie w nowe tunele Hiczich, a on znajdzie coś wartościowego – a jeleniom, wiecie, to się zdarza, nieczęsto, ale wystarczająco by mieli nadzieję – to jest to jego. My tylko dla niego pracujemy.

Z drugiej znów strony mógłbym się wybrać na własną rękę i poszukać, a wtedy cokolwiek bym znalazł, byłoby moje.

Jasne, że każdy z odrobiną oleju w głowie wybrałby się sam, gdyby przypuszczał, że rzeczywiście coś znajdzie. Ale w moim wypadku to nie byłby taki dobry pomysł. Gdybym postawił na taką wycieczkę i przegrał, to nie znaczyłoby, że tylko straciłem czas i może pięćdziesiąt z oszczędności i na skutek zużycia sprzętu. Gdybym przegrał, byłbym trupem.

By zostać przy życiu, potrzebne mi było to, co wyciągnę z Cochenoura. A do tego potrzebne było moje honorarium, niezależnie od tego czy znajdziemy coś ciekawego, czy nie.

Moim nieszczęściem było to, że wyobrażałem sobie, iż wiem, gdzie można znaleźć coś bardzo interesującego, więc problem sprowadzał się do tego, że jak długo byłem związany umową oddającą wszelkie prawa Cochenourowi, nie mogłem sobie pozwolić na znalezienie właśnie tego.

★

Ostatni przystanek miałem w mojej sypialni. Pod łóżkiem, wpuszczony w litą skałę, znajdował się gwarantowany przeciwwłamaniowy sejf, a w nim pewne papiery, które od tej chwili wolałem trzymać w kieszeni.

Gdy swego czasu przybyłem na Wenus, nie interesowały mnie krajobrazy. Chciałem dorobić się fortuny.

Wtedy i przez następne dwa lata mało co obejrzałem na powierzchni Wenus. Ze statku kosmicznego zdolnego do lądowania na Wenus widzi się niewiele; ciśnienie 20.000 milibarów na powierzchni oznacza, że trzeba tam czegoś trochę solidniejszego niż te banieczki, które latają na Księżyc, Marsa czy dalej, a parametry konstrukcyjne nie dopuszczają do umieszczania zbędnych okien w kadłubie. To nie ma większego znaczenia, bo i tak wszędzie, z wyjątkiem okolic podbiegunowych, niewiele jest do oglądania. Wszystko co na Wenus warto zobaczyć jest wewnątrz i wszystko to niegdyś należało do Hiczich.

Co nie oznacza, byśmy o nich wiele wiedzieli. Nie znamy nawet ich właściwej nazwy; „hiczi" to po prostu słowo, którym ktoś kiedyś zapisał dźwięk wydawany przez naciśniętą ognioperłę, a ponieważ jest to jedyny dźwięk w jakiś sposób związany z tamtymi, stał się ich nazwą.

Hesperologowie nie wiedzą skąd Hiczi przybyli, choć są pewne zapisy na strzępach tego, co Hiczi używali jako papieru; zblakłe, niekompletne, prawie nieczytelne. Przypuszczam, że gdybyśmy znali dokładnie pozycje wszystkich gwiazd Galaktyki 250.000 lat temu, bylibyśmy nawet w stanie na tej podstawie ich zlokalizować. Przyjmując, że przybyli z tej galaktyki. Nigdzie w systemie słonecznym nie ma śladu ich pobytu, może z wyjątkiem Fobosa; specjaliści ciągle się wykłócają, czy podobne do plastra pszczelego komórki wewnątrz marsjańskiego księżyca to coś naturalnego czy artefakty, a jeśli artefakty, to bez wątpienia hiczijskie. Ale niezbyt podobne do tutejszych.

Czasem zastanawiam się, kim byli. Uciekinierami z umierającej planety? Uchodźcami politycznymi?

– Dorrie zgłosi się do mego przyjaciela Be-Gie Allemanga. Dam ci do niego list ze wszystkimi koordynatami i tak dalej, a on przyleci i nas zabierze. Z dodatkowymi zbiornikami będziemy mieli powietrze i energię na około czterdzieści osiem godzin od twego odlotu. To kupa czasu na to, byś się tam dostała, odnalazła Be-Gie i oddała mu list oraz by on przyleciał tutaj. Oczywiście jeśli się spóźni, będzie z nami krucho. Jeżeli nic nie znajdziemy, stracimy tylko czas. Ale jeśli znajdziemy...

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mówiłem, że to pewne – dodałem. – Powiedziałem tylko, że mamy szanse.

★

Dorrie była bardzo miłą osóbką, biorąc pod uwagę jej wiek i sytuację. Ale czegoś jej brakowało: wiary w siebie. Nigdy sobie jej nie wyrobiła. Otrzymywała ją z zewnątrz, ostatnio od Cochenoura, a wcześniej, biorąc pod uwagę jej wiek przypuszczam, że od tego kto był w jej życiu przed Cochenourem, pewnie ojca.

Najtrudniej było przekonać Dorrie, że potrafi odegrać swoją rolę.

– To się nie uda – powtarzała w kółko. – Przepraszam. To nie dlatego, że nie chciałabym pomóc. Chcę, ale nie mogę. To się po prostu nie może udać.

No cóż, ale powinno.

A przynajmniej ja byłem przekonany, że powinno.

Okazało się jednak, że nie mieliśmy tego tak zrobić. Wraz z Cochenourem przekonaliśmy Dorrie, by zgodziła się spróbować. Spakowaliśmy niewielką ilość sprzętu potrzebnego poza kapsułą, poleciliśmy z powrotem do jaru i zaczęliśmy przygotowania do wiercenia. Czułem się fatalnie, otępiały, z bolącą głową, niezdarny. A Cochenour, jak sądzę, miał też własne problemy. We dwóch udało nam się wepchnąć obudowę świdra do śluzy wyjściowej i podczas gdy ja pchałem ją z zewnątrz od góry, Cochenour ciągnął z dołu i całe urządzenie się na niego zwaliło. Nie zabiło go. Ale naruszyło mu skafander i złamało nogę. I tak skończył się mój pomysł wiercenia wraz z nim na stanowisku „C".

XI

Nogawka skafandra została rozerwana na głębokość ośmiu czy dziesięciu warstw, ale zostało z niej dość, by utrzymać powietrze, choć może nie ciśnienie.

Najpierw sprawdziłem wiertło, by się upewnić, czy nie zostało uszkodzone. Nie było. Dopiero potem wtaszczyłem Cochenoura z powrotem do śluzy. To wyczerpało prawie wszystkie moje siły, biorąc pod uwagę sumę ciężarów naszych ciał i skafandrów, konieczność usunięcia wiertła z drogi i mój ogólny stan fizyczny. Ale dałem radę.

Dorrie była wspaniała. Cienia histerii, żadnych głupich pytań. Wyciągnęliśmy go ze skafandra i zbadaliśmy. Był nieprzytomny. Miał skomplikowane złamanie nogi z przebiciem skóry odłamkami, krwawił z ust oraz nosa i zwymiotował wewnątrz hełmu. Biorąc wszystko pod uwagę wyglądał najgorzej ze wszystkich stuparoletnich starców na świecie, w każdym razie z żywych starców. Ale udar cieplny nie był na tyle mocny, by uszkodzić mózg, nadal działało jego serce, czy też czyjekolwiek serce to było, że tak powiem, wcześniej; było dobrą inwestycją, bo biło nadal. Krwawienie ustało samo, problemem było jedynie to paskudne złamanie nogi.

Dorrie wywołała dla mnie teren wojskowy, dotarła do Ewy Kolanko, dostała bezpośrednie połączenie z chirurgiem bazy. Powiedział mi, co robić. Najpierw żądał, bym spakował manatki i przyleciał do niego z Cochenourem, ale się sprzeciwiłem. Odpowiedziałem, że nie jestem w stanie pilotować, a podróż byłaby zbyt trudna. Dawał mi więc instrukcje krok za krokiem, a ja dość łatwo je wykonywałem: złożyłem złamanie, opatrzyłem ranę, zamknąłem ją chirurgicznym Velcro i klejem do mięśni, otoczyłem bandażem natryskowym i założyłem gips. Zabrało mi to prawie godzinę i Cochenour powinien był już odzyskać przytomność, gdyby nie to, że dałem mu zastrzyk nasenny.

Pozostało już tylko zmierzyć puls, oddech i ciśnienie krwi by zadowolić chirurga, oraz obiecać, że szybko odwiozę pacjenta do Wrzeciona. Gdy już skończyłem z chirurgiem, ciągle jeszcze niezadowolonym, że nie zgodziłem się przywieźć Cochenoura do bazy, sierżant Kolanko zgłosiła się ponownie. Wiedziałem, czego się domyśla.

– Hej, kochanie? Jak to się zdarzyło?

– Ogromny Hiczi wylazł z ziemi i ugryzł go – powiedziałem. – Wiem o czym myślisz i wiem, że masz spaczoną wyobraźnię. To był tylko wypadek.

– Z pewnością – odrzekła. – Okay. Chciałam tylko powiedzieć, że wcale cię nie potępiam. – I wyłączyła się.

Dorrie starała się umyć Cochenoura najlepiej jak mogła. Pomyślałem, że dość rozrzutnie używa nasze

ry nie były w tych samych miejscach, a linie wyglądały, jak mierniki celności. Są świadectwa, że ma rację. Nie dowody. Ale świadectwa.

- I myślisz, że w miejscu, które oznaczyliśmy jako „C" możesz znaleźć tę armatę?

Zawahałem się.

– Tak zdecydowanie bym tego nie określił. Raczej mam nadzieję. Ale jest jeszcze coś. Te tarcze znalazł pewien poszukiwacz skarbów prawie czterdzieści lat temu. Zostawił je, złożył meldunek o znalezisku, wyruszył na poszukiwanie dalszych i został zabity. W tych czasach to się często zdarzało. Nikt się sprawą nie interesował, póki nie przyjrzeli się im jacyś wojskowi i właśnie z tego powodu teren zamknięty jest tam gdzie jest. Oznaczyli miejsce, w którym według jego meldunku zostały one znalezione, opalikowali teren na tysiąc kilometrów wokoło i ogłosili go jako zakazany. I kopali i kopali. Odkryli z tuzin hiczijskich tuneli, ale większość pustych, a pozostałe popękane i zniszczone.

- Więc tam nic nie ma – mruknął zdumiony Cochenour.

- Tam nic nie znaleziono – poprawiłem go. – Ale w owych czasach poszukiwacze łgali na potęgę. Tamten podał fałszywe koordynaty znaleziska. W owym okresie mieszkał z pewną młodą kobietą, która później wyszła za mąż za człowieka nazwiskiem Allemang, a jej syn jest moim przyjacielem. Miał mapę. Właściwe koordynaty, o ile mogę się domyślać, bo symbole nawigacyjne były wówczas inne niż teraz, dotyczą prawie dokładnie miejsca, w którym się obecnie znajdujemy. Parę razy spotkałem tu ślady wierceń i myślę, że to on je zrobił.

Wyjąłem z kieszeni małą osobistą magnetofiszkę i włączyłem ją w obraz mapy pozornej. Pojawił się jeden znak: pomarańczowy „X".

– Tutaj, jak przypuszczam, możemy znaleźć broń, gdzieś koło tego iksa. I jak widzicie, jedynym niezbędnym tutaj stanowiskiem jest kochane, stare stanowisko „C".

Na minutę zapanowała cisza. Słuchałem dalekiego wycia wiatru za ścianą, czekałem, co powiedzą.

Dorrie zaniepokoiła się.

– Nie jestem pewna, czy chciałabym odnaleźć nową broń – powiedziała. – To wygląda... wygląda jak powrót do dawnych, złych czasów.

Wzruszyłem ramionami. Cochenour, powoli znów przychodząc do siebie, odezwał się:

– Przecież nie o to chodzi, czy naprawdę chcemy znaleźć broń, prawda? Chodzi o to, że chcemy znaleźć nienaruszone podziemie Hiczich, niezależnie od tego, co tam jest, więc nie pozwolą nam wiercić. Tak? Najpierw nas zastrzelą, a potem spytają o nazwiska. Tak powiedziałeś?

– Tak powiedziałem.

– Więc jak proponujesz przeskoczyć ten drobny problem?

Gdybym był człowiekiem prawdomównym odrzekłbym, że nie jestem pewien czy to możliwe. Uczciwie mówiąc wszystko wskazywało na to, że nas złapią i prawdopodobnie zastrzelą. Ale mieliśmy tak mało do stracenia, Cochenour i ja, że nie zadałem sobie trudu, by o tym uprzedzać. Powiedziałem natomiast:

- Postaramy się wystrychnąć ich na dudka. Odeślemy kapsułę, a ja zostanę z tobą, żeby wiercić. Jeśli pomyślą że odlecieliśmy, nie będą nas trzymać pod obserwacją i jedyne, czego możemy się obawiać, to schwytanie przez rutynowy patrol graniczny.

- Audee! – krzyknęła dziewczyna. – Jeśli ty i Boyce zostajecie tutaj... Ależ to znaczy, że ja mam odlecieć kapsułą, a przecież nie umiem jej pilotować.

- Tak, nie umiesz. Ale wystarczy, że pozwolisz jej pilotować się samej.

Szybko parłem dalej:

– Och, zmarnujesz masę paliwa i będzie tobą mocno rzucało. Ale dostaniesz się na miejsce na autopilocie. On nawet zajmie się lądowaniem na Wrzecionie.

Nie musiało być to łatwe ani ładne; starałem się nie myśleć o tym co automatyczne lądowanie może zrobić z moją jedyną kapsułą. Niemniej istniało dziewięćdziesiąt dziewięć szans na sto, że ona to przeżyje.

– I co dalej? - spytał Cochenour.

W tym miejscu mój plan był mocno dziurawy, ale i o tym starałem się nie myśleć.

Turystami, którzy mieli awarię w drodze skądś tam do gdzieś tam i zatrzymali się tutaj tylko, by zrobić co musieli, by podążyć dalej? Kiedyś myślałem, że może przybyli, by obserwować rozwój istot ludzkich na Ziemi, jak ojczymowie patrzący z uśmiechem na rozwijającą się młodą rasę; ale w tym okresie niewiele było do oglądania, bo znajdowaliśmy się w połowie drogi między australopitekami i kromaniończykami.

Ale chociaż zabrali ze sobą prawie wszystko co mieli, zostawiając tylko puste tunele, komory oraz tu i tam trochę szczątków, których albo nie warto było zabierać, albo które zostały przeoczone; te wszystkie „wachlarze modlitewne", wystarczająco dużo różnych pojemników, by wyglądało to jak pozostałości obozowiska opuszczonego po gorącym lecie, jakieś błyskotki i drobiazgi. Sądzę, że najbardziej znanym z „drobiazgów" jest przebijak izokinetyczny, kryształ węglowy przenoszący uderzenie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Ktoś tam zarobił na nim parę miliardów mając tyle szczęścia, że go znalazł i tyle rozumu, że go zanalizował i powielił. Ale my trafialiśmy tylko na szmelc. A musiał tu być kiedyś dobry towar, warty milion razy więcej niż te śmieci.

Czy wszystko co dobre zabrali ze sobą?

Tego nikt nie wiedział. Ja też nie, ale myślałem, że znam coś, co może do tych rzeczy doprowadzić.

Myślałem mianowicie, że wiem skąd wystartował ostatni statek Hiczich; a było to daleko od wszystkich wyeksploatowanych wykopalisk.

Nie oszukiwałem sam siebie. Wiedziałem, że nic tu nie jest pewne. Ale było od czego zaczynać. Może, gdy startował ostatni statek, byli już zniecierpliwieni i nie tak dokładnie oczyścili teren po sobie.

To był sens całego pobytu na Wenus. Jakiż w ogóle mógłby być inny? Szczury podziemne w najlepszym razie ledwie żyły. By przeżyć, trzeba było pięćdziesiąt tysięcy na rok. Gdy miało się mniej, nie starczyło na opłacenie podatku od powietrza, podatku pogłównego, przydziału wody a nawet rachunków za żywność na poziomie pozwalającym utrzymać się przy życiu. Jeśli zaś chciało się jeść mięso częściej niż raz na tydzień i mieć własną kabinę do spania, trzeba było płacić jeszcze więcej.

Papiery przewodnika kosztowały tyle co tygodniowe utrzymanie; gdy którykolwiek z nas je wykupywał, ryzykował koszt tygodnia życia przeciw szansom na szmal czy to od Ziemniaków-turystów czy ze znalezisk, szmal wystarczający na bilet powrotny na Ziemię, gdzie nikt nie głodował, nikt nie umierał z braku powietrza, nikogo nie wyrzucano do wysokociśnieniowej spalarki, jaką była atmosfera Wenus. Każdy ze szczurów podziemnych, jeszcze gdy leciał w kierunku Słońca, stawiał sobie za cel przede wszystkim powrót w wielkim stylu: z forsą wystarczającą na pełne życie istoty ludzkiej na Pełnej Lekarskiej.

I ja tego chciałem. Strzału z grubej rury.

IV

Nieprzypadkowo ostatnią moją czynnością tego wieczoru była wizyta w Sali Odkryć.

Trzecia Vastry mrugnęła do mnie znad flirtowoalki i zwróciła się do swej towarzyszki, która rozejrzała się i kiwnęła głową.

Podszedłem do nich.

- Hallo, panie Walthers - powiedziała.

- Przypuszczałem, że może panią tu spotkam – odrzekłem, co było szczerą prawdą, bo Trzecia Vastry obiecała mi, że ją tu przyprowadzi. Nie wiedziałem, jak się do niej zwracać. „Panno Keefer" było zgodnie ze stanem faktycznym, „Pani Cochenour" dyplomatyczne. Wybrnąłem z tego mówiąc:

- Ponieważ w najbliższym czasie będziemy często się spotykać, co pani na to, żebyśmy przeszli na mówienie sobie po imieniu?

- Audee, prawda?

Uśmiechnąłem się do niej całą gębą.

– Szwed od strony matki, stary Teksańczyk po ojcu. O ile wiem, imię było od dawna używane w rodzinie.

Sala Odkryć jest po to, by Ziemniakom podkręcić nadzieję; jest tam trochę wszystkiego, od planów wyeksploatowanych wykopalisk i ogromnej mapy Wenus w rzucie Merkatora do próbek najważniej-

szych znalezisk. Pokazałem jej kopię przebijaka izokinetycznego i autentyczny piezofon półprzewodnikowy, który przyniósł swemu odkrywcy nie mniejsze bogactwa niż to, co miał facet, który znalazł przebijak. Był tu też z tuzin ogniopereł, maleństw ćwierćcalowych, za pancerną szybą i na poduszkach, świecących chłodnym mlecznym światłem.

– Są ładne – powiedziała. – Ale po co te wszystkie środki ostrożności? Widziałam większe leżące na ladzie we Wrzecionie bez jakiegokolwiek nadzoru.

– Jest drobna różnica, Doroto – odrzekłem. – Te są prawdziwe.

Roześmiała się głośno. Bardzo ładnie się śmiała. Żadna dziewczyna nie wygląda ładnie podczas głośnego śmiechu, a te które troszczą się o swój wygląd nie śmieją się w ogóle. Dorota Keefer wyglądała jak zdrowa, ładna dziewczyna, która świetnie się bawi. Gdy się zastanowić, jest to chyba najlepszy sposób w jaki dziewczyna może wyglądać.

Ale nie była jednak wystarczająco piękna, aby stanąć między mną i moją nową wątrobą, przestałem więc myśleć o jej wyglądzie, a zacząłem o interesie.

– Te małe czerwone kulki w tamtej gablocie to krwawe diamenty – powiedziałem. – Są radioaktywne i zawsze ciepłe. Dzięki temu można zawsze odróżnić prawdziwe od lipnych: każdy większy niż mniej więcej trzy centymetry średnicy, to lipa. Prawdziwy tej wielkości wytwarza zbyt wiele ciepła, wiesz, stosunek kwadratu do sześcianu, i topi się.

– Więc te, które twój przyjaciel próbował mi sprzedać...

– ...są lipne. Zgadza się.

Skinęła głową, ciągle uśmiechnięta.

– A co z tym, co ty nam próbujesz sprzedać, Audee? Autentyk, czy lipa?

★

Trzecia Vastry dyskretnie się ulotniła i prócz mnie oraz dziewczyny nie było w Sali Odkryć nikogo. Nabrałem powietrza i powiedziałem jej prawdę. Może nie całą prawdę, ale nic poza prawdą.

– To wszystko co tu leży – powiedziałem – to plon stu lat wykopalisk. Nie jest tego wiele. Przebijak, piezofon i dwa lub trzy inne urządzenia, które potrafiliśmy uruchomić; parę połamanych kawałków rzeczy, które ciągle jeszcze badają i parę błyskotek. To wszystko.

– Ja też o tym słyszałam – odpowiedziała. – I jeszcze coś. Ani jedna z dat znalezienia na tych eksponatach nie jest świeższa niż sprzed pięćdziesięciu lat.

Była bystra i lepiej poinformowana niż się spodziewałem.

– A wniosek z tego – powiedziałem – że planeta została wyeksploatowana do cna. Pierwsi kopacze znaleźli wszystko, co było do znalezienia... jak dotąd.

– Myślisz, że coś zostało?

– Mam nadzieję. Popatrz. Punkt pierwszy. Tunele. Widać, że są wszystkie jednakowe: błękitne ściany, absolutnie gładkie, wydzielają światło, które nigdy się nie zmienia, twarde. Jak myślisz, w jaki sposób je zrobiono?

– Cóż, nie mam pojęcia...

– Ani ja. Ani nikt inny. Ale wszystkie tunele Hiczich są takie same, a jeśli wkopać się do nich z zewnątrz, trafia się na taką samą skałę podłożową, następnie warstwę pośrednią, która jest pół na pół podłożem i materiałem ścian, następnie na ścianę. Wniosek: Hiczi nie kopali tuneli by je następnie pokrywać niebieską warstwą, mieli coś samobieżnego co lazło pod ziemią jak dżdżownica, zostawiając za sobą gotowe tunele. I jeszcze coś: za dużo drążyli. To znaczy masami przebijali tunele, których nie potrzebowali, prowadzące donikąd, nigdy nie używane. Czy to ci daje coś do myślenia?

– Że drążenie było tanie i łatwe? – domyśliła się.

Kiwnąłem głową.

– Więc według wszelkiego prawdopodobieństwa musiała to być maszyna i gdzieś na tej planecie przynajmniej jedna czeka na odkrycie. Punkt dwa. Powietrze. Oddychali tlenem tak jak my i musieli skądś go brać. Skąd?

– Ależ tlen atmosferyczny...

– Oczywiście. Około pół procenta. I ponad 95 procent dwutlenku węgla. I w jakiś sposób potrafili

kuracji, kalcyfilaksji i protetyki, tu regeneracji białek, ówdzie płukania cholesterolu, milion za to, sto kafli tygodniowo za tamto... i tak leciało, to było jasne.

– Po prostu nie zdajesz sobie sprawy – powiedział – ile kosztuje utrzymanie przy życiu stuletniego człowieka, póki nie spróbujesz.

– Chciałeś powiedzieć dziewięćdziesięcioletniego – poprawiłem go odruchowo.

– Nie, nie dziewięćdziesięcio i nawet nie stu. Sądzę, że mam przynajmniej sto dziesięć a może i więcej. Kto by liczył? Płaci się lekarzom, a oni cię łatają na miesiąc czy dwa. Nie zdajesz sobie sprawy.

O, czyżby? – pomyślałem. Pozwoliłem mu kontynuować, opowiadać, jak federalni inspektorzy skarbowi zaczęli mu następować na pięty i jak dał dęba z Ziemi, by od początku zacząć robić majątek na Wenus.

Przestałem słuchać i zacząłem pisać na odwrocie blankietu nawigacyjnego. Gdy skończyłem, podałem go Cochenourowi.

– Podpisz – powiedziałem.

– Co to jest?

– A czy to ma znaczenie? Nie masz już wyboru, prawda? A zresztą... To jest zrzeczenie się wszelkich praw z tytułu umowy o najem kapsuły; oświadczenie, że nie masz wobec mnie żadnych roszczeń, że twój czek to kant i że dobrowolnie zrzekasz się na moją rzecz wszystkiego, co możemy znaleźć.

Zmarszczył brwi.

– A to ostatnie zdanie?

– Że dam ci dziesięć procent wszystkiego co znajdziemy, jeżeli coś znajdziemy.

– To jałmużna – powiedział, ale podpisał. – Nie obrażam się za jałmużnę, szczególnie od chwili, jak podkreśliłeś, gdy nie mam innego wyboru. Ale umiem odczytać ten wykres tak samo dobrze jak ty, Walthers, i wiem, że nie ma tu nic do znalezienia.

– Nie ma – potwierdziłem, składając papier i chowając do kieszeni. – Ale nie będziemy wiercić tutaj. Te kontury są tak puste, jak twoje konto bankowe. Będziemy wiercić na stanowisku „C".

★

Zapaliłem kolejnego papierosa i myślałem dłuższą chwilę. Zastanawiałem się, co im powiedzieć o wynikach moich pięciu lat poszukiwań i przemyśleń, trzymania się w ryzach by nikomu nawet nie napomknąć o tym. Byłem przekonany, że cokolwiek powiem, będzie już bez znaczenia, ale słowa nie chciały się dać wypowiedzieć.

Zmusiłem się do mówienia.

– Pamiętasz Subhasha Vastrę, faceta, który ma spelunkę, w której cię spotkałem. Przyleciał na Wenus jako wojskowy. Był specjalistą do spraw uzbrojenia. Specjalista do spraw uzbrojenia to nie zawód dla cywila, więc po ukończeniu służby otworzył kafejkę. Ale w służbie był wybitnym specjalistą.

– To znaczy, że na terenie zakazanym jest broń hiczijska? – zapytała Dorrie.

– Nie. Nikt i nigdy nie znalazł hiczijskiej broni. Ale znaleziono tarcze strzeleckie.

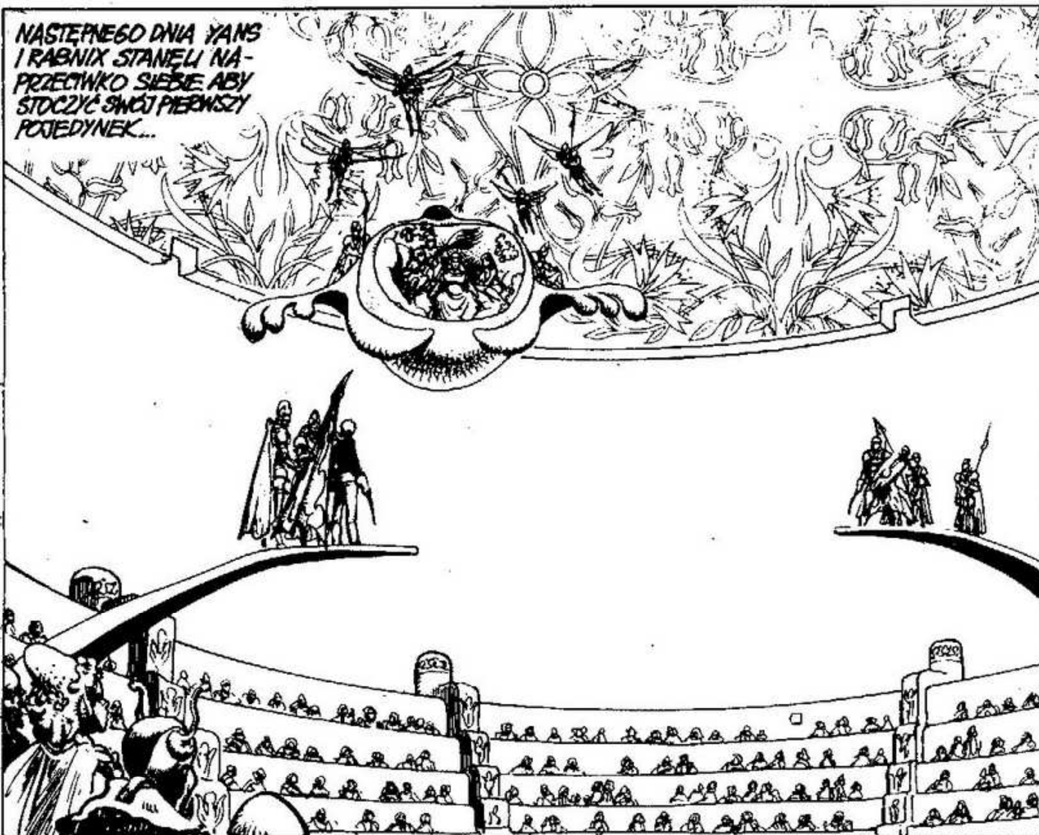
Miałem wręcz fizyczne opory przed opowiedzeniem dalszego ciągu, ale udało mi się.

– W każdym razie Sub Vastra twierdzi, że to były tarcze. Wojskowe szychy nie były tego pewne i jak przypuszczam, sprawę złożono obecnie w bazie ad acta. To, co znaleziono, to były trójkątne płyty z hiczijskiej wykładziny ściennej, tego niebieskiego, świecącego materiału, który tworzy ściany ich tuneli. Były ich tuziny, a na wszystkich znajdowały się wykresy promieniście rozchodzących się linii. Sub powiedział, że przypominają mu tarcze strzeleckie. I były poprzebijane przez coś, co spowodowało, że dziury były otoczone czymś miękkim jak talk. Czy słyszałeś o czymkolwiek, co by mogło tak zmienić hiczijską wykładzinę ścienną?

Dorrie chciała odpowiedzieć, że nie słyszała, ale Cochenour jej przerwał.

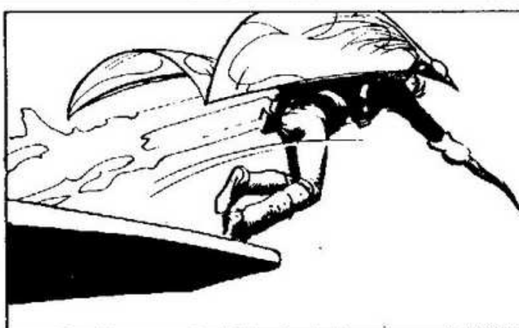
– To niemożliwe – powiedział po prostu.

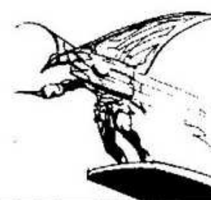
– Zgadza się, tak właśnie powiedziały szyszki. Zdecydowali, że to się musiało stać w trakcie wytwarzania, dla jakichś hiczijskich przyczyn, o których nigdy się nie dowiemy. Ale Vastra tak nie uważa. Mówi, że wyglądały dokładnie tak, jak papierowe tarcze na strzelnicach na terenach wojskowych. Dziu-

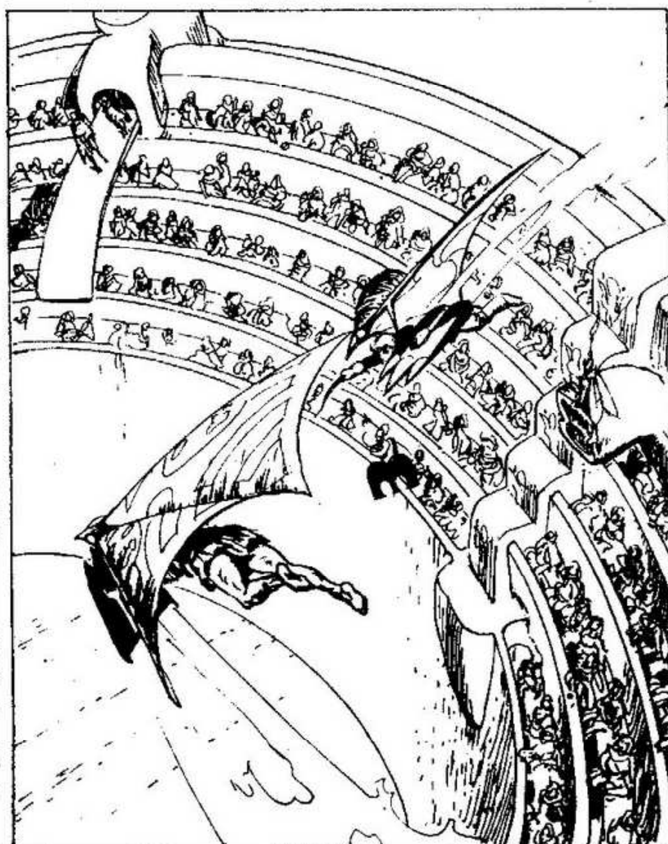

NASTĘPNEGO DNIA YANS I RABNIX STANĘLI NAPRZECIWKO SIEBIE ABY STOCZYĆ SWÓJ PIERWSZY POJEDYNEK...



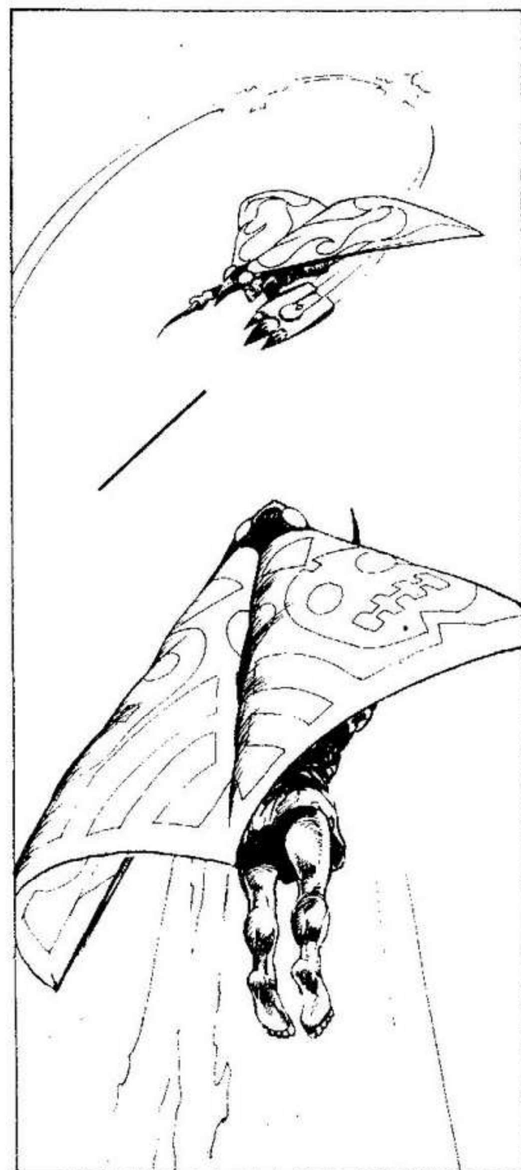

NIECH TARCZE ICH OCHRONIĄ!











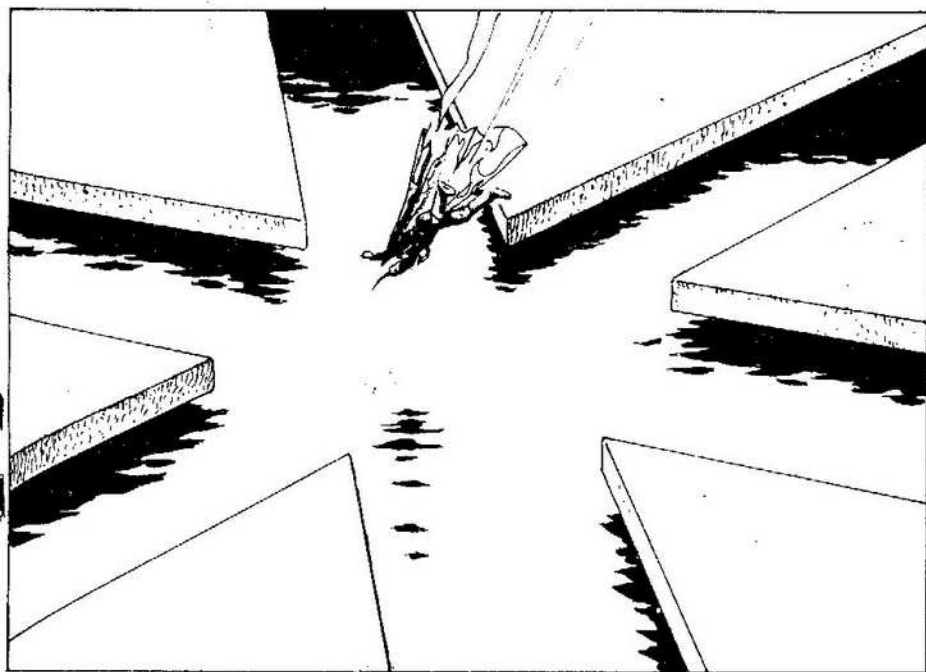






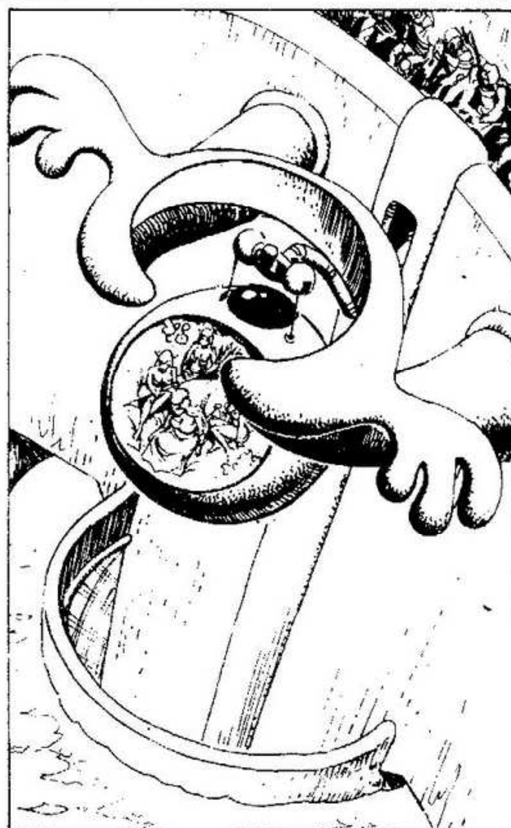



YANS...
ON SIĘ...












26

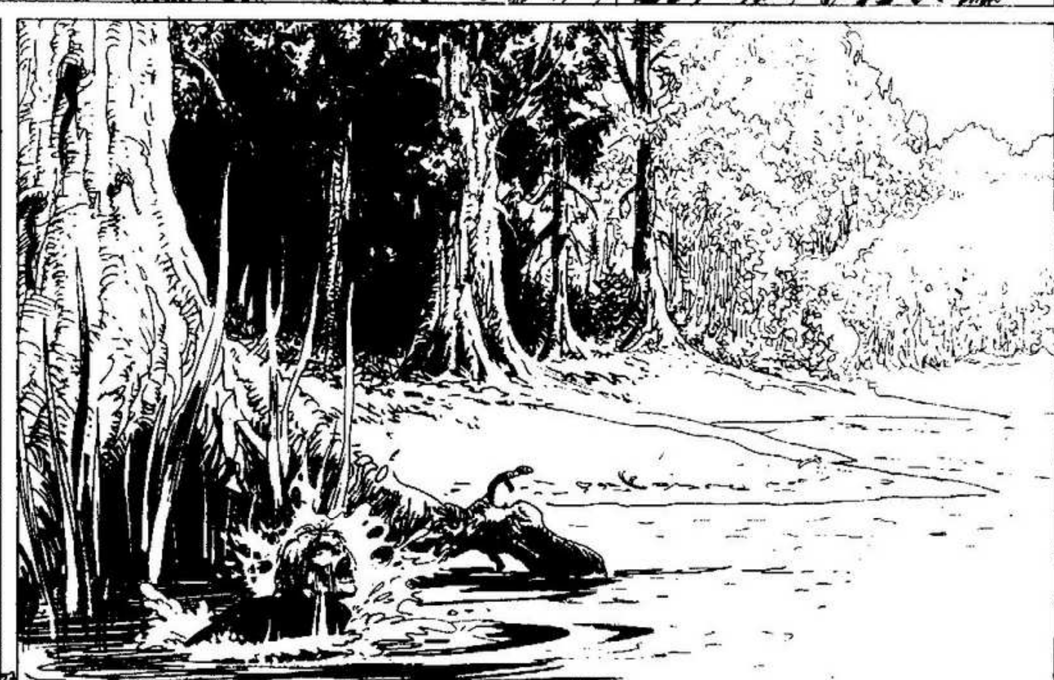



SZANSE SIĘ WYRÓWNAŁY... TYLKO, ŻE ON JEST DUŻO SILNIEJSZY... MUSZĘ WCIĄGNĄĆ GO GŁĘBIEJ...


TRACĘ ODDECH... MUSZĘ NATYCHMIAST ZACZERPNĄĆ POWIETRZA! POD WODĄ ON MA PRZEWAGĘ, ALE JA SZYBCIEJ PŁYWAM....


JAK SIĘ STĄD WYDOSTAĆ? JESZCZE TROCHĘ, I OBAJ SIĘ UTOPIMY... ACH, CZUJĘ PODWODNY NURT...





i skoczyłem z igloo, na którym siedziałem. O ułamek sekundy za późno. Wypuściła głowice nim je pochwyciłem, ale na szczęście upadły na płask i ich ostrza się nie wyszczerbiły. Podniosłem je i położyłem z boku.

To była wyczerpująca odpowiedź na moje pytanie.

– Widać, że nie wiedziałaś – dodałem. – Masz pecha, kochanie. Jego czek dla kapitana wyczarterowanego statku został odrzucony i mam prawo sądzić, że ten, który dał mnie jest niewiele lepszy. Mam nadzieję, że to co od niego dostałaś, to były futra i biżuteria i radzę ci je dobrze schować, nim wierzyciele zaczną żądać zwrotu.

Nawet na mnie nie spojrzała. Patrzyła tylko na Cochenoura. Jego mina wystarczyła jej za odpowiedź.

Nie wiem, czego się po niej spodziewałem, wściekłości, wyrzutów, czy łez. A ona tylko szepnęła:

– Ach Boyce, tak mi przykro. – Podeszła i wzięła go w ramiona.

★

Odwróciłem się do nich plecami, bo nie miałem ochoty na to patrzeć. Krzepki dziewięćdziesięcioletni cap na Pełnej Lekarskiej zmienił się w przegranego starca. Po raz pierwszy wyglądał na wszystkie swoje lata, a może i więcej: półotwarte, trzęsące się usta: zgarbione plecy, załzawione niebieskie oczy. Głaskała go, gruchając z cicha.

Spojrzałem ponownie na siatkę synoptyczną nie mając nic lepszego do roboty. Była już zupełnie jasna i całkiem pusta. Pokrywała się w połowie z obszarem naszych poprzednich sondowań, wiedziałem więc, że interesujące linie na brzegach nie były naprawdę niczym ciekawym. Już je badaliśmy. To były tylko zjawy ekranowe.

Stąd ratunek nie nadejdzie.

Może to dziwne, ale poczułem się jakby spokojniej. Świadomość, że nie ma się już nic do stracenia, uspokaja. Zmienia perspektywę. Nie chcę przez to powiedzieć, że się poddałem. Ciągle jeszcze mogłem coś zrobić. Może nic, co by mi przedłużyło życie, ale smak w ustach i ból w brzuchu i tak niezbyt pozwalały mi nim się cieszyć. Mogłem na przykład w ogóle skreślić Audee Walthersa, bo tylko cud mógłby mnie uratować od śmierci w ciągu kilku dni; byłem zdolny przyjąć do wiadomości fakt, że za tydzień od tej chwili nie będzie mnie wśród żywych i użyć tego czasu na coś innego. Ale na co? No cóż, Dorrie to dobre dziecko. Mogłem polecieć kapsułą do Wrzeciona, przekazać Cochenoura żandarmom i spędzić ostatnie dni na wyrabianiu jej kontaktów. Vastra czy Be-Gie pomogą jej stanąć na nogi. Może nawet nie będzie musiała wziąć się za prostytucję czy oszustwa. Szczyt sezonu nie był tak odległy, a ona może nieźle dawać sobie radę otworzywszy kiosk z wachlarzami modlitewnymi czy hiczijskimi amuletami dla Ziemniaków-turystów. Może to niewiele, nawet z jej punktu widzenia, ale już coś.

Mogłem też zdać się na łaskę Znachorni. Może zgodziliby się dać mi nową wątrobę na kredyt. Jedyną przesłanką jaką miałem do przypuszczenia, że tego nie zrobią, wynikała z faktu, że nigdy tego nie robili.

Mogłem też otworzyć zawory zbiorników obu paliw, pozwolić im się mieszać przez około dziesięć minut i włączyć zapłon. Po wybuchu niewiele by zostało z kapsuły i z nas, a nic zupełnie z naszych problemów.

Albo...

– Och, do cholery – powiedziałem. – Weź się w garść, Cochenour. Jeszcześmy nie umarli.

Gapił się na mnie przez minutę. Poklepał dziewczynę po ramieniu i odepchnął, dość łagodnie.

– Ale ja umrę i to szybko – powiedział. – Przepraszam cię za to wszystko, Doroto. A ciebie za czek, Walthers. Myślę, że potrzebowałeś tych pieniędzy.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo.

– Czy chcesz, bym się wytłumaczył? – zapytał z wysiłkiem.

– Nie sądzę, by to robiło jakąkolwiek różnicę, ale tak, z czystej ciekawości, chciałbym.

Pozwoliłem mu mówić, a on zrobił to spokojnie i zwięźle. Mogłem się tego spodziewać. Człowiek w jego wieku jest albo bardzo, bardzo bogaty, albo martwy. On był tylko dość bogaty. Jego zakłady funkcjonowały tylko dzięki temu, co zostawało po odprowadzeniu różnymi kanałami kosztu przeszczepów i

wydobyć te pół procenta z mieszanki, łanio i łatwo; pamiętaj o tych dodatkowych tunelach, które napełnili powietrzem! Oraz, by sporządzić mieszaninę do oddychania, potrzebna ilość azotu czy jakiegoś gazu obojętnego, a te są tu tylko w ilościach śladowych. Jak? Cóż, nie mam pojęcia, ale jeśli to robiono mechanicznie, to chciałbym tę maszynę znaleźć. Punkt następny. Maszyny latające. Hiczi latali sobie nad powierzchnią Wenus jak chcieli.

– Ale ty też to robisz, Audee! Czyż nie jesteś pilotem?

– Zgadza się, ale pomysł czego to wymaga. Temperatura powierzchniowa dwieście siedemdziesiąt stopni Celsjusza, a tlenu nie wystarczy, by zapalić papierosa. Więc moja kapsuła ma dwa zbiorniki paliwowe, jeden na węglowodory, drugi na utleniacze. A... czy słyszałaś o facecie nazwiskiem Carnot?

– Starożytny uczony, tak? Obieg Carnota?

– Zgadza się i to. – Uważnie odnotowałem, że zadziwiła mnie po raz trzeci. – Współczynnik Carnota sprawności silnika wyraża się jego temperaturą maksymalną, powiedzmy ciepłem spalania, podzieloną przez temperaturę gazów odlotowych. No dobra, ale temperatura odlotu nie może być niższa niż temperatura ośrodka, w przeciwnym razie nie uruchomiłabyś silnika, tylko chłodziarkę. No i masz te dwieście siedemdziesiąt stopni otaczającego powietrza, silnik jest więc zasadniczo do bani. Każdy silnik cieplny na Wenus jest do bani. Czy nie zastanawiałaś się, czemu tu tak mało kapsuł powietrznych? Mnie to nie martwi, nawet pomaga w utrzymywaniu się. Mamy prawie monopol. Ale przyczyna leży w tym, że ich praca jest cholernie droga.

– A Hiczi rozwiązali to lepiej?

– Przypuszczam, że tak.

Znów się zaśmiała niespodziewanie i znowu w sposób bardzo pociągający.

– Ależ, mój biedny chłopcze – powiedziała wesoło – to co sprzedajesz, trzyma cię za gardło, prawda? Myślisz, że któregoś dnia znajdziesz najważniejszy tunel i zabierzesz sobie wszystko.

No cóż, nie bardzo byłem zadowolony z rozwoju sytuacji. Umówiłem się z Trzecią Vastry, że zabierze dziewczynę tutaj, z dala od jej chłopa, bym ją mógł prywatnie wysondować. Ale to nie wypaliło. Wypaliło natomiast to, że ona zwróciła na siebie moją uwagę, co już samo w sobie było niedobre, a co gorsza spowodowała, że zacząłem się przyglądać sobie samemu.

Po minucie milczenia odpowiedziałem:

– Może i masz rację. Ale jestem zdecydowany spróbować.

– Nie jesteś na mnie zły, prawda?

– Nie – odrzekłem niezgodnie z prawdą – ale może odrobinę zmęczony. A jutro przed nami daleka droga, więc lepiej odprowadzę panią do domu, panno Keefer.

V

Moja kapsuła stała obok kosmodromu i docierało się do niej w ten sam sposób, jak na kosmodrom. Windą do śluzy powierzchniowej i taxitraktorem przez suchą, wymęczoną powierzchnię Wenus, łuszczącą się pod uderzeniami wiatru o szybkości trzystu kilometrów na godzinę. Oczywiście normalnie trzymałem kapsułę pod osłoną piankową. Jeśli chcesz coś zachować w całości na powierzchni Wenus, nie zostawiaj tego luzem i wystawionego na działanie atmosfery, nawet jeśli jest zrobione ze stali chromowej. Piankę zdjąłem rano, gdy robiłem przegląd i ładowałem zapasy. Teraz kapsuła była gotowa. Widać to było przez iluminatory łazika i poprzez żółtozielony mrok na zewnątrz. Cochenour i dziewczyna też mogliby ją dostrzec, gdyby wiedzieli gdzie patrzeć, ale mogli też jej nie rozpoznać.

Cochenour wrzasnął mi do ucha:

– Pokłóciliście się z Dorie?

– Nie pokłóciliśmy się – odwrzasnąłem.

– Niech się pan nie przejmuje nawet gdyby tak było. Nie musicie się lubić, wystarczy, że robicie to co chcę. – Przez chwilę milczał, by dać odpocząć swemu gardłu. – Jezusie. Co za wiatr.

– Zefirek – odpowiedziałem. Nie dodałem nic, sam do tego dojdzie. Teren wokół kosmoportu jest obszarem czegoś w rodzaju naturalnej ciszy, jak na wenusjańskie normy. Wypór orograficzny odrzuca znad lądowiska najgorsze wiatry w górę i do nas dociera tylko coś na kształt błądzących zawirowań. Ma

to tę dobrą stronę, że start i lądowanie są względnie łatwe. A złą, że na płycie osiadają niektóre z zawartych w atmosferze związków metali ciężkich. To, co jest na Wenus uważane za powietrze, ma warstwy czerwonego siarczku i chlorku rtęci na niższych wysokościach, a po wzniesieniu się ponad nie aż do tych ślicznych pierzastych chmurek okazuje się, że niektóre z nich to kwas solny i fluorowodorowy.

Ale na to są sposoby. Nawigacja na Wenus jest trójwymiarowa. Przelot z punktu do punktu jest dość łatwy; transponder łączy cię z radiolatarniami i oznacza w sposób ciągły twoją pozycję na mapie. Natomiast trudno jest wybrać właściwą wysokość i właśnie z tego powodu moja kapsuła i ja jesteśmy dla Cochenoura warci milion dolarów.

Byliśmy już przy niej i teleskopowy ryj łazika obmacywał jej śluzę. Cochenour wyglądał przez iluminator. – Nie ma skrzydeł! – wrzasnął takim tonem, jakbym go chciał oszukać.

– Ani żagli, ani łańcuchów śniegowych – odwrzasnąłem. – Niech pan wsiada na pokład, jeśli chce pan rozmawiać. W środku łatwiej.

Przecisnęliśmy się przez wąski ryj, otworzyłem wejście i już bez większych kłopotów dostaliśmy się do środka.

Nawet takich kłopotów, jakie sam mógłbym spowodować. Widzicie, kapsuła na Wenus to wielka rzecz. Miałem cholerne szczęście, że udało mi się ją nabyć no i nie ma co kryć, byłem w niej zakochany. Mogła zmieścić dziesięć osób, bez wyposażenia. Z tym, co nam sprzedał dział handlowy Sub Vastry, a Oddział 88 zatwierdził jako niezbędne na pokładzie, już naszej trójce było ciasno. Byłem przygotowany przynajmniej na sarkastyczne uwagi. Ale Cochenour tylko rozejrzał się w środku, by znaleźć najlepszą koję, podszedł do niej i oświadczył, że należy do niego. Dziewczyna okazała się porządną facetką, a ja zostałem ze wszystkimi gruczołami naładowanymi w oczekiwaniu awantury, która nie wybuchła.

Wewnątrz kapsuły było o wiele ciszej. Hałas wiatru oczywiście dochodził, ale w stopniu ledwie dokuczliwym. Rozdałem zatyczki do uszu, a z nimi hałas nawet nie przeszkadzał.

– Siadajcie i zapnijcie pasy – rozkazałem, a gdy się upakowali, wystartowałem.

Przy dwudziestu tysiącach milibarów skrzydła nie są rzeczą zbędną, to morderstwo. Moja kapsuła miała we własnym muszlowatym kadłubie tyle siły wznoszenia ile było trzeba. Otworzyłem dopływ obu paliw do silników termostrumieniowych, przelecieliśmy w podskokach przez prawie równy teren wokół płyty (raz na tydzień wyrównywały go spychacze, dzięki temu był dość płaski) i wzlecieliśmy świecą w dziką, żółtozieloną dal, a w chwilę później w brązowoszarą, przeleciawszy nie więcej niż pięćdziesiąt metrów.

Cochenour dla wygody luźno zapiął pasy. Z przyjemnością słuchałem jak ryczy rzucany tam i z powrotem. Ale to nie trwało długo. Na poziomie tysiąca metrów znalazłem półtrwałą wenusjańską inwersję atmosferyczną i turbulencja uciszyła się do tego stopnia, że mogłem odpiąć pasy i wstać.

Wyjąłem zatyczki z uszu i gestem pokazałem Cochenourowi oraz dziewczynie, by zrobili to samo.

Rozcierał sobie głowę w miejscu, którym uderzył w umocowaną u góry półkę z mapami. Ale przy tym lekko się uśmiechał.

– Wcale podniecające – przyznał, grzebiąc w kieszeni. Po czym przypomniał sobie, że wypada zapytać:

– Czy mogę tu palić?

– Pańskie płuca.

Uśmiechnął się szerzej.

– Obecnie tak – zgodził się ze mną i zapalił. – Halo! Czemu nie dał nam pan tych zatyczek, gdy byliśmy w traktorze?

★

Można by rzec, że w pracy przewodników istnieją okresy, podczas których albo pozwala się klientom zasypywać się pytaniami i spędza cały czas na wyjaśnianiu co ten zabawny zegareczek pokazuje, albo robi się swoje i zarabia pieniądze. Ja zaś zastanawiałem się, czy wyjdę z tego lubiąc Cochenoura i jego dziewczynę, czy nie?

Jeśli tak, postaram się być dla nich uprzejmy. Bardziej niż uprzejmy. Żyć przez trzy tygodnie we trójkę na przestrzeni mniej więcej tej wielkości co wnęka kuchenna przy apartamencie oznaczało, że

nie sposób było zapomnieć. Forsa – nowa wątroba plus szczęśliwe przeżycie. Brak forsy – całkowita dysfunkcja wątroby plus śmierć. A moje źródło forsy właśnie wyschło.

X

Kiedy się usłyszy naprawdę ważną nowinę trzeba jej pozwolić popłynąć małym strumyczkiem przez własny system nerwowy i całkowicie wchłonąć, nim się cokolwiek uczyni. To nie sprawa wyciągnięcia wniosków. Wyciągnąłem je natychmiast, a jakże. To sprawa umożliwienia nerwom powrotu do stanu równowagi. Więc przez minutę się zastanawiałem. Słuchałem Czajkowskiego. Sprawdziłem, czy radio jest wyłączone, jakbym chciał oszczędzać energię. Sprawdziłem wykres synoptyczny. Byłoby miłe, gdyby coś wykazał, ale w tej sytuacji nie mógł, więc nie wykazywał. Zarysowywały się nieliczne słabe echa. Ale nic o kształcie hiczijskich podziemi i nic szczególnie jasnego. Dane ciągle jeszcze nadchodziły, ale te słabe zarysy w żaden sposób nie mogły się zmienić w sygnał pełnego korytarza, który uratowałby nas wszystkich, nawet zbankrutowanego Cochenoura. Nawet oglądałem przez iluminator ile się dało nieba, jakbym mógł z tego wywnioskować coś na temat pogody. Nie miało to znaczenia, choć trochę białych chmurek chlorku rtęciowego przemykało wśród purpurowych i żółtych chmur innych halogenków rtęci. Było to piękne i budziło we mnie wstręt.

Cochenour zapomniał o swym omlecie i przyglądał mi się z namysłem. Tak samo Dorrie, ciągle trzymająca w rękach zapakowane w przetłuszczony papier głowice. Uśmiechnąłem się do niej.

– Ładna – zauważyłem, mając na myśli muzykę. Orkiestra Filharmonii Auckland właśnie zaczynała tę część, gdzie ukazują się małe łabędzie i w szybkim, skocznym pas de quatre przechodzą przez scenę. To jeden z moich ulubionych fragmentów „Jeziora Łabędziego".

– Resztę posłuchamy później – powiedziałem i wyłączyłem odtwarzacz.

– Dobra – warknął Cochenour – co się dzieje?

Usiadłem na pakunku z igloo i zapaliłem papierosa, ponieważ jeden ze sposobów dostosowania się do nowej sytuacji, dokonanych przez mój system wewnętrzny polegał na obliczeniu, że już nie musimy pieścić się z naszymi zapasami tlenu.

– Jest coś, co mnie intryguje, Cochenour – odezwałem się. – W jaki sposób natrafiłeś na profesora Hegrameta?

Odprężył się i wyszczerzył zęby.

– I tylko o to ci idzie? Sprawdziłem wszystko co trzeba o miejscu gdzie się udawałem. A czemu nie?

– Wszystko jasne, z wyjątkiem tego, że starałeś się dać mi do zrozumienia, że nie masz o niczym pojęcia.

Wzruszył ramionami.

– Gdybyś miał krztynę rozumu, to byś wiedział, że nie dzięki głupocie zostałem bogaty. Myślisz, że podróżowałbym dziesiątki milionów mil, nie wiedząc do czego zmierzam?

– Oczywiście nie, ale robiłeś co mogłeś, bym myślał, że nie wiesz. Bez znaczenia. Więc wygrzebałeś kogoś, kto mógł cię naprowadzić na coś, co warto ukraść na Wenus, a ten ktoś skierował cię do Hegrameta. I co dalej? Czy ci powiedział, że jestem dość tępy, by zostać twoim popychadłem?

Cochenour już nie był tak odprężony, ale nie był jeszcze agresywny. Odpowiedział:

– Hegramet powiedział mi, że jesteś odpowiednim przewodnikiem w poszukiwaniu nienaruszonego tunelu. I to wszystko, prócz informacji o Hiczich i tak dalej. Gdybyś nie przyszedł do nas, musiałbym pójść do ciebie, ty tylko mi tego oszczędziłeś.

Odrzekłem z lekkim zdziwieniem:

– Wiesz, mam wrażenie, że mówisz prawdę. Przemilczałeś tylko jedną rzecz: że nie szukałeś tu przyjemności, którą daje zrobienie jeszcze większej forsy, lecz w ogóle forsy. Zgadza się? Forsy, której potrzebujesz.

Zwróciłem się do Doroty, która stała jak skamieniała z głowicami w rękach.

– Co ty na to, Dorrie? Wiedziałaś, że stary zbankrutował?

Nie było to zbyt zręczne postawienie sprawy. Zorientowałem się co zrobi, na moment nim to uczyniła

– Jedną z nich. To Żona Numer Jeden, kelnerką jest Numer Trzy, a z dziećmi w domu siedzi jeszcze jedna. Dzieci ma pięcioro, ze wszystkich trzech żon.

Ale chciałem rozmawiać o czymś innym, więc dodałem:

– Właściwie to jest tak jak na Ziemi. Vastra mógłby prowadzić knajpę dla turystów w Benares, gdyby jej nie miał tutaj, gdyby nie przyleciał z wojskiem i nie ukończył tu służby. A ja, przypuszczam, byłbym przewodnikiem w Teksasie. Oczywiście, jeśli jeszcze został tam choć skrawek otwartej przestrzeni, wymagającej przewodnika, może w górze Canadian River. A ty?

Przez cały czas brałem z półek te same cztery czy pięć narzędzi, odczytywałem ich numery i odkładałem z powrotem. Nie zauważyła tego.

– Co masz na myśli?

– No, co robiłaś przed przybyciem tutaj?

– Och, pewien czas pracowałam w biurze Boyce'a.

To było zachęcające, może będzie coś pamiętała o jego powiązaniach z profesorem Hegrametem.

– Czy byłaś sekretarką?

– Coś w tym rodzaju. Boyce dawał mi do załatwienia... oj, a to co?

Był to sygnał wezwania przez radio, oto co.

– Chodź się zgłosić – warknął Cochenour z drugiego końca kapsuły.

Przyjąłem wezwanie na słuchawki, bo taki mam zwyczaj; w kapsule nie ma dość miejsca na prywatne rozmowy, a ja chciałem zachować sobie takie okruszki, jakie jeszcze się dało. Wywoływała nas baza wojskowa, przy aparacie znana mi sierżant łączności nazwiskiem Kolanko. Zgłosiłem się poirytowany, żałując, że straciłem możliwość wyciągnięcia z Doroty czegoś o jej szefie.

– Słówko prywatnie do ciebie, Audee – powiedziała sierżant Kolanko. – Czy twój sahib jest w pobliżu?

Kolanko i ja prowadziliśmy od dawna pogaduszki przez radio i coś było w jej wesołym głosie, co mnie zaniepokoiło. Nie spojrzałem na Cochenoura, lecz wiedziałem, że słucha. Oczywiście tylko mnie, z powodu słuchawek.

– W polu, ale nie odbiera – powiedziałem. – Co macie dla mnie?

– Biuletynik informacyjny – zamruczała sierżant. – Nadszedł siecią synchrosatelitów parę minut temu. Tylko dla informacji. To znaczy, że my nie mamy z tym co robić, ale może ty, kochanie.

– Gotów – powiedziałem, wpatrując się w plastykową obudowę radiostacji.

Sierżant zagdakała.

– Kapitan statku czarterowanego przez twego sahiba chce z nim zamienić parę słówek, gdy go znajdzie. To chyba pilne, bo kapitan jest strasznie wkurzony.

– Tak, baza – odrzekłem. – Odbieram cię dobrze, poziom dziesięć.

Sierżant wydała znowu odgłos rozbawienia, tylko tym razem nie było to gdaknięcie, a zwyczajny chichot.

– Chodzi o to – dodała – że jego czek za czarter odrzucono. Chcesz wiedzieć, co bank powiedział? Nigdy nie zgadniesz. „Brak pokrycia", to właśnie powiedział.

Pod żebrami z prawej strony bolało mnie bez przerwy, ale w tym momencie znacznie bardziej. Zacisnąłem szczęki.

– Ach, sierżancie Kolanko – wycharczałem – czy może pani, eee, sprawdzić tę ocenę?

– Niestety, kochanie – zabrzęczała ze współczuciem – ale nie ma cienia wątpliwości. Kapitan dostał ocenę jego zdolności kredytowej i brzmiała: „zero". Na twego klienta czeka we Wrzecionie sądowy nakaz zapłaty.

– Dziękuję za komunikat synoptyczny – powiedziałem głuchym głosem. – I sprawdzę czas odlotu przed startem.

Wyłączyłem radio i spojrzałem na mego klienta-miliardera.

– Co ci jest u diabła, Walthers? – mruknął.

Nie słyszałem go. Słyszałem to, co mi powiedział zadowolony z siebie typunio w Znachorni. Równań

wszyscy będą musieli usilnie się starać być miłymi dla wszystkich pozostałych, a ponieważ mnie płacono za to bym był miły, powinienem dawać dobry przykład. Z drugiej strony Cochenourowie naszego świata niekiedy po prostu nie są sympatyczni. Jeśli tak się miało zdarzyć, im mniej gadania, tym lepiej; na pytania tego typu jakie mi zadano powinienem odpowiadać wymijająco, na przykład: – „Zapomniałem".

Ale prawdę mówiąc on nie był naprawdę niemiły, a dziewczyna naprawdę starała się zachowywać przyjacielsko. Powiedziałem więc:

– Cóż, to ciekawa sprawa. Słyszy się dzięki różnicy ciśnień. Gdy startowaliśmy, zatyczki odfiltrowały część dźwięków: falę ciśnieniową, ale kiedy wrzasnąłem na was byście zapięli pasy, zatyczki przepuściły nadciśnienie mego głosu i zrozumieliście co mówię. Ale są granice. Powyżej stu dwudziestu decybeli... to jednostka siły dźwięku...

– Wiem co to decybel – mruknął Cochenour.

– Dobra. Powyżej stu dwudziestu bębenek uszny w ogóle nie reaguje. Więc w łaziku było za głośno, z zatyczkami nie słyszelibyście nic.

Dorota przysłuchiwała się, poprawiając równocześnie makijaż oczu.

– A co tam było do usłyszenia?

– Och – powiedziałem – nic takiego. Z wyjątkiem, powiedzmy... – W tym momencie zdecydowałem myśleć o nich jak o przyjaciołach, przynajmniej na razie. – Z wyjątkiem gdyby zdarzył się wypadek. Gdyby nas dopadł poryw wiatru to, rozumiecie, łazik mógłby fiknąć kozła. Albo jakiś twardy przedmiot mógłby nadlecieć zza gór i trafić nas, zanim byśmy się w tym zorientowali. Albo...

Potrząsnęła głową.

– Rozumiem. Cudowne miejsce na wycieczki, Boyce.

– Aha. Ale – dodał – kto teraz pilotuje?

Wstałem i uruchomiłem pozorny globus.

– O tym właśnie chciałem mówić. W tej chwili autopilot, kierując nas ogólnie w kierunku tego kwadratu na dole. Dokładny cel lotu musimy wybrać sami.

– Tak wygląda Wenus? – zapytała dziewczyna. – Niezbyt zachęcająco.

– Te linie to markery radiolatarni; przez okno ich nie widać. Na Wenus nie ma oceanów i nie podzielono jej na poszczególne kraje, więc mapa nie jest podobna do mapy Ziemi. Ten jasny punkt to my. Proszę popatrzeć. – Na siatkę radiolatarni i kolory nałożyłem symbole maskonów. – Te rozmazane kółka to maskony. Wiecie co to jest maskon?

– Koncentracja masy. Obszar ciężkich materiałów – powiedziała dziewczyna.

– Pięknie. Teraz proszę popatrzeć na wykryte podziemia Hiczich. – Włączyłem je na globus w postaci złotych wzorów.

– Wszystkie występują w maskonach – powiedziała natychmiast Dorota. Cochenour spojrzał na nią z wyrozumiałą aprobatą.

– Nie wszystkie. Proszę popatrzeć tutaj. Ten mały nie i ten drugi też nie. Ale prawie wszystkie. Czemu? Nie wiem. Nikt nie wie. Koncentracje masy to głównie starsze, gęstsze skały, bazalty i tak dalej, i może Hiczi uważali je za łatwiejsze do drążenia. A może je po prostu lubili.

W mej korespondencji z profesorem Hegrametem na Ziemi, w czasach gdy nie miałem w brzuchu zdychającej wątroby i interesowała mnie wiedza teoretyczna, stawialiśmy różne hipotezy: może koparki Hiczich mogły pracować tylko w gęstej skale albo skale o określonym składzie chemicznym. Ale z nimi nie chciałem o tym dyskutować.

– A teraz popatrzcie tutaj, gdzie obecnie jesteśmy. – Obróciłem globus pozorny, odrobinę poruszywszy pokrętłem. – To jest wielki wykop, z którego właśnie wyleźliśmy. Widać nawet kształt Wrzeciona. Nawiasem mówiąc to forma tu pospolita. Przyjrzyjcie się, to zobaczycie kilka innych, a są i takie, których nie widać na tym schemacie, ale na miejscu można je dostrzec. Maskon, w którym znajduje się Wrzeciono zwany jest Serendip; został odkryty przypadkowo przez zespół hesperologów...

– Hesperologów?

– Czyli geologów działających na Wenus. Pobierali wiertnicze próbki geologiczne i natrafili na podzie-

mia Hiczich. A te wszystkie podziemia, które widzieliście na dużych szerokościach północnych, są położone w jednej gromadzie powiązanych maskonów. Łączą się korytarzami w mniej gęstych skałach, ale tylko wtedy gdy jest to absolutnie konieczne.

Cochenour odezwał się ostrym tonem:

– Leżą na północy, a lecimy na południe. Dlaczego?

Ciekawe, że umiał odczytywać instrumenty nawigacyjne, ale nie powiedziałem, że to zauważyłem. Odrzekłem tylko:

– Są do niczego. Były badane.

– Wyglądają nawet na większe niż Wrzeciono.

– Zgadza się, wielokrotnie większe. Ale nie ma w nich nic ciekawego, a w każdym razie jest niewiele szans na to, że nawet jeśli coś jest, to w takim stanie, że warto sobie tym zawracać głowę. Płyny podpowierzchniowe wypełniły je całkowicie sto tysięcy lat temu, może i dawniej. Masa dobrych ludzi zbankrutowała próbując je wypompować albo rozkopywać. I nic nie znaleźli. Spytajcie mnie. Byłem jednym z nich.

– Nie wiedziałem, że na powierzchni Wenus albo pod nią znajduje się woda w postaci płynnej – powiedział z niedowierzaniem Cochenour.

– Nie powiedziałem, że to woda, prawda? Choć w rzeczywistości część z tego to woda albo przynajmniej pewien rodzaj mułu głębinowego. Zdaje się, że woda wyparowuje ze skał i po paru tysiącach lat przedostaje się na powierzchnię, rozpada się na tlen oraz wodór, i ginie. Może przypadkiem wiecie, że jest jej trochę pod Wrzecionem. Właśnie ją piliście i nią oddychaliście.

Odezwała się dziewczyna:

– Boyce, to wszystko bardzo ciekawe, ale jestem spocona i brudna. Czy mogę na chwilę zmienić temat rozmowy?

Cochenour zaszczekał, bo trudno to było nazwać śmiechem.

– Sugestia podprogowa, Walthers, zgadza się pan? Oraz trochę, mam nadzieję, staromodnej pruderii. Tak naprawdę to ona chce pójść do toalety.

Gdyby dziewczyna okazała skrępowanie, mnie by się też ono udzieliło. Ale powiedziała tylko:

– Ponieważ mamy tu mieszkać przez trzy tygodnie, chcę wiedzieć, jak ten pojazd jest urządzony.

– Oczywiście, panno Keefer – odpowiedziałem.

– Dorota. Dorrie jeśli wolisz.

– Jasne, Dorrie. – Cóż, widzisz co tu mamy. Pięć koi, można je podzielić na połowy, jeśli ma spać dziesięć osób. Dwie kabiny natryskowe. Wygląda, że są zbyt ciasne, by się w nich namydlić, ale to się udaje, jeśli się postarać. Trzy toalety chemiczne. Kuchnia tam... i to wszystko. Wybierz sobie koję, Dorrie. Mają opuszczane parawany, na wypadek gdybyś chciała się przebrać czy coś w tym rodzaju, albo gdybyś po prostu przez chwilę miała ochotę nas nie oglądać.

Odezwał się Cochenour:

– Jazda, Dorrie, zrób to co chcesz zrobić. Tak czy tak chciałbym, żeby Walthers mi pokazał jak to się pilotuje.

★

Początek był niezły. Miałem za sobą naprawdę ciężkie doświadczenia: grupy, które przybywały na pokład pijane i przez cały czas upijały się jeszcze dokładniej, pary, które prowadziły ze sobą wojnę bez minuty przerwy od obudzenia się do zaśnięcia, a godziły się ze sobą tylko po to, by się kłócić ze mną. Ci tutaj wyglądali całkiem nieźle, nawet nie biorąc pod uwagę tego, że mieli ocalić mi życie.

Pilotowanie kapsuły to nic szczególnego, przynajmniej gdy idzie o kierowanie jej w stronę, w którą chce się lecieć. Atmosfera Wenus zapewnia wyporność z naddatkiem. Nie ma zmartwienia, że się w czymś zakopie a w ogóle autopilot prawie cały czas za was myśli.

Cochenour uczył się szybko. Okazało się, że pilotował na Ziemi wszystko co może latać, a do tego pływał jednoosobowymi łodkami podwodnymi. Gdy mu powiedziałem, że najtrudniejszą częścią pilotażu jest umiejętność wyboru właściwej wysokości lotu i przewidywania, kiedy trzeba ją będzie zmie-

nazwisko Hegramet, ani co go łączy z największym ziemskim autorytetem w sprawach hiczijskich wykopalisk. I nie pędło.

– Wystrzel swoje sondy. Raz jeszcze popróbujemy twoim sposobem – powiedział wreszcie.

★

Wyrzuciłem sondy, wszystkie dobrze się wbiły. Uruchomiłem odstrzał mikroładunków. Usiadłem przed ekranem śledząc pierwsze pojawiające się linie jakbym się spodziewał, że przyniosą użyteczne informacje. Oczywiście nie mogły, ale miałem dobrą wymówkę, by chwilę pomyśleć w spokoju.

Trzeba było zastanowić się nad Cochenourem. Nie przyleciał na Wenus na wycieczkę, to było jasne. Jeszcze zanim opuścił Ziemię wiedział, że będzie wiercił szyby w poszukiwaniu podziemi Hiczich. Przeszkolił się dokładnie, włącznie z nauczeniem się obsługi aparatury w kapsule. Moje przemówienie reklamowe o skarbach hiczijskich zmarnowało się, bo klient był już zdecydowany przynajmniej o pół roku wcześniej i miliony mil stąd.

To wszystko zrozumiałem, ale im więcej rozumiałem, tym bardziej wiedziałem, że nie rozumiem. Najchętniej dałbym Cochenourowi ćwierć dolara i wysłał go do kina, by porozmawiać prywatnie z dziewczyną. Niestety, nie było go dokąd wysłać. Udałem, że ziewam, poskarżyłem się na nudę czekania aż sondy ukończą rysunek i zaproponowałem drzemkę. Bynajmniej nie spodziewałem się, że będzie leżał z nastawionymi uszami podsłuchując nas. To nie miało znaczenia. Nikt nie udawał śpiącego prócz mnie. Jedyne co osiągnąłem, to propozycja Dorrie, że będzie przyglądać się ekranowi i obudzi mnie, jeśli pojawi się coś ciekawego.

Więc powiedziałem sobie: do diabła z tym wszystkim i sam poszedłem spać.

Nie było to przyjemne, bo leżenie w oczekiwaniu na sen dało mi dość czasu by zauważyć, jak naprawdę parszywie się czuję i na jak wiele sposobów. W gardle miałem bez przerwy smak żółci, nie tak silny żeby mi się chciało rzygać, ale taki, jakbym to właśnie zrobił. Głowa mnie bolała, a na skrajach mego pola widzenia zaczęły się pojawiać niejasne mroki. Gdy brałem pigułki, nie policzyłem ile ich jeszcze zostało. Nie chciałem wiedzieć.

Budzenie nastawiłem sobie za trzy godziny, mając nadzieję, że może do tego czasu Cochenour zrobi się senny i położy się, a dziewczyna będzie na nogach i może skłonna do rozmowy. Ale gdy się obudziłem, na nogach był Cochenour, smażący sobie aromatycznie przyprawiony omlet z resztki sterylizowanych jajek.

– Miałeś rację, Walthers – wyszczerzył zęby. – Byłem śpiący. Uciąłem sobie drzemkę. Jestem gotów do każdej pracy. Chcesz trochę jajek?

Oczywiście chciałem, ale oczywiście nie odważyłem się zjeść ich, więc posępnie przełknąłem to, na co pozwolono mi w Znachorni i patrzyłem, jak się obżera. To było nieuczciwe, że człowiek dziewięćdziesięcioletni mógł być tak zdrów, że nie musiał myśleć o trawieniu, podczas gdy ja... No cóż, takie myśli mi nie dawały, wobec tego zaproponowałem trochę muzyki. Dorrie wybrała „Jezioro Łabędzie" i włożyłem je do odtwarzacza.

I wtedy przyszło mi coś do głowy. Udałem się do szafek narzędziowych. Głowice wiertła nadawały się już prawie do wymiany, a wiedziałem, że mamy mało części zamiennych. Ale szafki leżały w najdalszym od kabiny miejscu kapsuły, ja zaś spodziewałem się, że Dorrie pójdzie za mną.

– Pomóc ci, Audee?

– Będzie mi miło – odrzekłem. – O, potrzymaj to dla mnie. Nie wysmaruj się tłuszczem.

Nie oczekiwałem, że mnie będzie pytała, czemu ma je trzymać. I nie spytała. Zaśmiała się tylko.

– Tłuszczem? Nie sądzę, bym go w ogóle mogła zauważyć, tak jestem brudna. Sądzę, że dojrzewamy do powrotu do cywilizacji.

Cochenour siedział ze zmarszczonymi brwiami nad ekranem sond i nie zwracał na nas uwagi. Spytałem:

– Do jakiej cywilizacji? Wrzeciona czy Ziemi?

Chciałem ją naprowadzić na rozmowę o Ziemi, ale nie wyszło.

– Ależ Wrzeciona, Audee. Myślę, że jest fascynujące i niewieleśmy z niego poznali. Ani mieszkających tam ludzi. Na przykład ten facet z Indii, który ma kawiarnię. Kasjerka jest jego żoną, prawda?

jeśli nie odmówię wykonania polecenia zgodnego z prawem; nie możesz mnie zmusić do czegokolwiek bezprawnego. A wejście na zastrzeżony teren wojskowy jest skrajnie bezprawne.

Przełączył się na zimną wojnę.

– Nie – odrzekł cicho – tu się mylisz. Jest bezprawne, jeśli sąd tak orzeknie po fakcie. Wygrasz wtedy, jeśli twoi prawnicy będą sprytniejsi od moich. A szczerze mówiąc, Walthers, płacę moim prawnikom za to, by byli najsprytniejsi ze wszystkich.

Niemiłą stroną tego wszystkiego było to, że miał rację w o wiele większym stopniu niż sądził, bo moja wątroba też była po jego stronie. Nie mogłem sobie pozwolić na sprawę sądową, bo bez jego pieniędzy i mojego przeszczepu bym jej nie dożył.

Dorrie, przysłuchując się nam z przyjaznym zainteresowaniem na dziewczęcej twarzy, znowu się wtrąciła.

– No to może inaczej? Po prostu wylądujemy tutaj. Czemu nie poczekać, aż sondy coś pokażą? Może natrafimy nawet na coś lepszego niż w miejscu „C"...

– Nic dobrego tu nie znajdziemy – odpowiedział, nie patrząc na nią.

– Ależ Boyce, skąd możesz wiedzieć? Jeszcze nie skończyliśmy sondowania.

Odpowiedział:

– Uważaj Doroto, słuchaj uważnie, a potem się zamknij. Walthers gra z nami w ciuciubabkę. Wiesz, gdzie teraz jesteśmy?

Przecisnął się koło mnie i wystukał program wyświetlania całej mapy, co mnie trochę zdziwiło, bo nie wiedziałem, że on wie jak to się robi. Ukazały się mapy z pozornymi obrazami naszej pozycji, szybów, które dotychczas wywierciliśmy i wielki, nieregularny zarys granicy terenu wojskowego, wszystko nałożone na siatkę maskonów i punktów nawigacyjnych.

– Widzisz? W tej chwili nie jesteśmy nawet na obszarach koncentracji masy. Zgadza się, Walthers? Sprawdziliśmy wszystkie dobre miejsca i bez wyników?

– Po części ma pan rację, panie Cochenour – odpowiedziałem. – Ale nie gram w ciuciubabkę. Miejsce jest obiecujące. Może pan sprawdzić na mapie. Nie jesteśmy nad żadnym maskonem, to prawda, ale jesteśmy dokładnie między dwoma bardzo zbliżonymi. Niekiedy znajduje się korytarze łączące dwa kompleksy podziemne i zdarzało się, że korytarz łącznikowy był nawet bliżej powierzchni niż jakakolwiek inna część kompleksu. Nie mogę zagwarantować, że natrafimy na cokolwiek, ale to nie jest niemożliwe.

– Tylko cholernie nieprawdopodobne?

– Cóż, nie bardziej nieprawdopodobne, niż gdziekolwiek indziej. Powiedziałem panu już tydzień temu, że już się panu wszystko opłaciło pierwszego dnia, gdy znaleźliśmy w ogóle jakiś tunel Hiczich, nawet przebity. We Wrzecionie są szczury podziemne, które próbowały przez pięć lat i nawet tego im się nie udało zobaczyć. – Zastanowiłem się przez chwilę. – Możemy zawrzeć umowę – dodałem.

– Słucham.

– Wylądujemy tutaj i mamy przynajmniej szansę, że na coś natrafimy. Spróbujemy. Wyrzucimy sondy i zobaczymy, co pokażą. Jeśli dobry rysunek, wiercimy. Jeśli nie, to pomyślę nad wróceniem do punktu „C".

– Pomyślisz! – ryknął.

– Nie naciskaj mnie, Cochenour. Nie wiesz, w co się pchasz. Teren wojskowy to nie zabawka. Ci chłopcy najpierw strzelają, a potem pytają o nazwisko. A na Wenus nie ma sądów ani policji, by ich o cokolwiek spytały.

– No, nie wiem – odrzekł po chwili.

– Tak, nie wie pan, panie Cochenour. I za to mi pan płaci. Ja wiem.

– Owszem – przyznał – zapewne pan wie, ale czy o tym co pan wie, mówi mi pan prawdę, to jeszcze pytanie. Hegramet nigdy nie wspominał o wierceniu między maskonami.

I popatrzył na mnie z zupełnie obojętną miną, czekając czy zareaguję na to, co powiedział.

Nie dałem się nabrać. Odwzajemniłem mu się równie obojętnym spojrzeniem. Nie odezwałem się ani słowem, po prostu czekałem co dalej. Byłem całkiem pewien, że nie padnie żadne wyjaśnienie, skąd zna

nić, zrozumiał natychmiast. Ale zrozumiał też, że tego się w jeden dzień nie nauczy. Ani nawet w trzy tygodnie.

– Cóż u diabła, Walthers – powiedział całkiem wesołym tonem – przynajmniej będę to umiał skierować gdzie trzeba, jeśli utkniesz w tunelu albo zastrzeli cię zazdrosny mąż.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się na tyle, na ile ten dowcip zasługiwał. Czyli prawie wcale.

– Umiem jeszcze coś – dodał. – Gotować. Chyba, że ty jesteś doskonałym kucharzem? Zgadza się, ja też myślałem, że nie. Ano, za drogo zapłaciłem za mój żołądek, by go napychać byle czym, więc gotowanie należy do mnie. To sztuka, której Dorrie nigdy nie udało się opanować. Zupełnie jak jej babce. Najpiękniejsza kobieta świata, ale przekonana, że to najzupełniej wystarczy.

Nad tym postanowiłem zastanowić się później; ten 90-letni, młody sportowiec co chwila czymś mnie zaskakiwał. Powiedział:

– Dobra, więc gdy Dorrie zużywa całą wodę w natryskach...

– Nie ma strachu, działa w obiegu zamkniętym.

– Wszystko jedno. Gdy ona robi ze sobą porządek, kończmy ten pana referacik na temat celu naszej podróży.

– Zgoda. – Obróciłem odrobinę globus pozorny. Błyszczący punkt, który nas oznaczał przesunął się już z tuzin stopni. – Widzi pan to zgrupowanie w miejscu, gdzie nasza trasa przecina siatkę radiolatarni?

– Aha. Pięć dużych maskonów jeden przy drugim i żadnych zaznaczonych wykopalisk. Czy to tam lecimy?

– Ogólnie rzecz biorąc, tak.

– Dlaczego ogólnie?

– Ponieważ – ciągnąłem – jest pewien drobiazg, o którym panu nie mówiłem. Mam nadzieję, że nie podskoczy pan jak oparzony z tego powodu, bo wtedy ja też będę musiał podskoczyć i powiedzieć, że powinien był pan sobie zadać trochę trudu i dowiedzieć się czegoś o Wenus przed zabraniem się do jej eksploracji.

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo. Dorrie cicho wysunęła się z kabiny natryskowej, ubrana w długi szlafrok, z włosami zawiniętymi w ręcznik i stanęło koło niego, przyglądając się nam.

– To zależy od tego, czego mi pan nie powiedział – odrzekł.

– Na większości z tych maskonów są znaki zakazu wejścia – powiedziałem. Włączyłem na globusie mapę pilotażową i wokół zgrupowania zajaśniały jaskrawoczerwone linie ostrzegawcze.

– Północnobiegunowy obszar zamknięty – dodałem. – Tutaj chłopcy z Departamentu Obrony mają wyrzutnie rakietowe i znaczną część terenów doświadczalnych dla nowych broni. I nie wolno nam tam wchodzić.

– Ale maleńki kawałek jednego maskonu nie jest na terenie zakazanym – powiedział szorstko.

– I tam właśnie się udajemy – odparłem.

VI

Jak na człowieka ponad dziewięćdziesięcioletniego, Boyce był żwawy. To oznacza, że nie tylko zdrowo wyglądał. Każdy człowiek na Pełnej Lekarskiej tak wygląda, bo po prostu wymienia mu się wszystko co zużyte, albo co zaczyna wyglądać na kiepskie lub podniszczone. Ale nie da się skutecznie przeszczepić mózgu. Dlatego bardzo bogaci starcy mają silne, opalone ciała, które trzęsą się, chwieją, upuszczają przedmioty i potykają się idąc. Pod tym względem Cochenour miał szalone szczęście.

Na najbliższe trzy tygodnie zapowiadał się jako męczący towarzysz podróży. Uparł się, żebym mu pokazał jak się pilotuje kapsułę powietrzną. Gdy zdecydowałem się, by podczas lotu dokonać, może trochę przedwczesnego, cotysiącgodzinnego przeglądu systemu chłodzenia, pomagał mi zdejmować osłony, sprawdzać poziom cieczy chłodzącej i czyścić filtry. Następnie zdecydował, że ugotuje nam lunch.

Jako mój pomocnik, przy przekładaniu części zapasów, by móc się dostać do sond autosonarowych, zastąpiła go dziewczyna. Wewnątrz kapsuły poziom hałasu był na tyle wysoki, że Cochenour nie mógł

usłyszeć rozmowy prowadzonej normalnym głosem w odległości większej niż trzy metry. Pomyślałem, że może coś od niej na jego temat wyciągnę. I zdecydowałem tego nie robić. Wiedziałem, że opłaca koszt nowej wątroby. Do tego nie była mi potrzebna wiedza o tym, co on i dziewczyna myśleli o sobie nawzajem.

Rozmawialiśmy więc o tym jak sondy odpalają swe ładunki i mierzą czas powrotu echa i jakie mamy szanse znalezienia czegoś naprawdę wartościowego („No cóż, jakie są szanse na główną wygraną w totalizatorze? Marne dla każdego z kupujących kupon, ale zawsze ktoś gdzieś wygra!"), a przede wszystkim z jakiego powodu przybyłem na Wenus. Wymieniłem nazwisko mego ojca, ale nigdy o nim nie słyszała. Przede wszystkim była na pewno za młoda. I urodziła się i wychowała w południowym Ohio, gdzie Cochenour pracował jako młody chłopak i gdzie wrócił jako miliarder. Budował tam nowy ośrodek przetwórczy i to wywołało masę kłopotów: kłopot ze związkiem zawodowym, kłopot z bankami, kłopoty, wielkie kłopoty z rządem. Zdecydował więc wziąć paromiesięczny urlop i poleniuchować. Spojrzałem w stronę, gdzie stał mieszając sos i powiedziałem:

– On leniuchuje ciężej niż ktokolwiek mi znany.

– To narkoman pracy. Sądzę, że przede wszystkim dlatego stał się bogaczem.

Kapsułę chwycił przechył, więc rzuciłem wszystko i skoczyłem do sterów. Usłyszałem, że Cochenour zawył za moimi plecami, ale byłem zajęty ustalaniem właściwej wysokości lotu. Gdy wspięliśmy się o tysiąc metrów wyżej i przeprogramowałem autopilota stwierdziłem, że rozciera sobie nadgarstek groźnie na mnie patrząc.

– Przepraszam – powiedziałem.

Odpowiedział surowo:

– Nie przeszkadza mi, że przez pana się oparzyłem, zawsze mogę sobie kupić nową skórę, ale prawie że rozlałem sos.

Sprawdziłem nasze położenie na pozornym globusie. Jasny punkt przebył już dwie trzecie drogi do celu.

– Czy zaraz będzie gotów? – zapytałem. – Za godzinę będziemy na miejscu.

Po raz pierwszy wyglądał na zaskoczonego.

– Tak szybko? O ile pamiętam, powiedział pan, że polecimy z szybkością poddźwiękową.

– Tak powiedziałem. Jest pan na Wenus, Mr Cochenour. Na tej wysokości szybkość dźwięku wynosi około pięciu tysięcy kilometrów na godzinę.

Zamyślił się, ale odpowiedział tylko:

– No to możemy zjeść w każdej chwili. – Później, gdy skończyliśmy lunch, dodał: – Zdaje się, że nie wiem o tej planecie wszystkiego, co powinienem. Jeśli chce pan wygłosić zwyczajowy wykład przewodnika, słuchamy.

Odrzekłem: – No cóż, ogólny zarys znają państwo dobrze. Ale, ale, panie Cochenour, jest pan świetnym kucharzem. Sam pakowałem wszystkie nasze zapasy, lecz nie mam najmniejszego pojęcia co jem.

– Jeśli przyjdziesz do mego biura w Cincinnati – powiedział – pytaj o pana Cochenoura. Ale póki mieszkamy trzymając jeden drugiemu głowę pod pachą, możesz równie dobrze mówić mi Boyce. A jeśli ci smakuje, czemu nie jesz?

Właściwą odpowiedzią byłoby: ponieważ to by mnie zabiło. Ale nie chciałem zaczynać dyskusji prowadzącej do wyjaśnienia, czemu tak bardzo potrzebuję pieniędzy. Odrzekłem więc:

– Zalecenie lekarskie, bym trzymał się z dala na pewien czas od tłuszczów. Przypuszczam, iż oni myślą, że zanadto tyję.

Cochenour spojrzał na mnie badawczo, ale powiedział tylko:

– Wykład?

– Zacznijmy od najważniejszego – odrzekłem, ostrożnie nalewając kawę. – Póki siedzimy w kapsule, możecie robić co chcecie, spacerować, jeść, pić, palić jeśli macie co, cokolwiek. System chłodzenia wytrzymuje obecność trzykrotnie większej ilości osób, plus ich żywności i wyposażenia, z dwukrotnym współczynnikiem bezpieczeństwa. Powietrza i wody mamy więcej niż potrzeba na dwa miesiące. Paliwa dość na trzykrotną podróż tam i z powrotem i jeszcze na manewrowanie. Gdyby coś było nie tak,

Cochenoura zgłosiłem im znalezienie tego pierwszego przebitego tunelu, co, jak sądzę, zaskoczyło ich nieco.

I to wszystko co mieliśmy do zameldowania.

Stanowisko „B" okazało się dajka pegmatytowa. Dwa następne dość jasne, które nazwałem D i E, nic nie ujawniły. Oznaczało to, że odbicia dźwięków nastąpiły prawdopodobnie o niewidzialne granice fazowe w warstwach skały, popiołu lub żwiru. Postawiłem weto przeciw wszelkim próbom kopania w „C", najbardziej obiecującym ze wszystkich. Cochenour z tego powodu pokłócił się ze mną śmiertelnie ale nie ustąpiłem. Wojskowi nadal przyglądali się nam od czasu do czasu i nie chciałem jeszcze bardziej niż teraz zbliżać się do ich granicy. Na wpół obiecałem, że jeśli nie poszczęści nam się nigdzie w maskonach, wrócimy chyłkiem do „C", by szybko tam powiercić nim zawrócimy do Wrzeciona. I na tym się skończyło.

Wystartowaliśmy kapsułą, przelecieliśmy na nowe miejsce i wystrzeliliśmy nowy zestaw sond. Pod koniec drugiego tygodnia mieliśmy za sobą dziewięć wierceń, za każdym razem pustych. Zaczęły nam się kończyć igloo i sondy. A wzajemną tolerancję całkiem diabli wzięli.

Cochenour stał się dziki i ponury. W czasie pierwszego spotkania nie planowałem, że polubię tego człowieka, ale nie spodziewałem się, że będzie aż tak paskudny. Biorąc pod uwagę, iż dla niego była to tylko zabawa, bo przy całym jego bogactwie dodatkowy majątek, który mógł zyskać odkrywając jakieś nowe hiczijskie artefakty nie był niczym więcej jak dopisaniem jeszcze paru punktów na jego tabeli wygranych, robił to z czystej nienawiści.

Prawdę mówiąc, ja też nie byłem szczególnie łaskaw. Było jasne jak słońce, że pigułki ze Znachorni nie pomagały mi tak jak powinny. W ustach miałem smak, jakby gnieździły się tam szczury. Zaczęła mnie boleć głowa. Przewracałem przedmioty. Sprawa z wątrobą ma się tak, że reguluje ona wewnętrzną dietę. Odfiltrowuje trucizny, przekształca pewne węglowodany w inne, które dają się przyswajać, zlepia aminokwasy w proteiny. Jeśli tego nie robi, umiera się. Doktor zbadał mnie od stóp do głów, więc mogłem sobie dokładnie wyobrazić jak mahoniowoczerwone komórki zamierają i zastępują je złogi tłuszczu i żółtawej materii. Brzydki obrazek. A najbrzydsze było to, że nic na to nie mogłem poradzić. Tylko brać pigułki, a te nie będą skutkowały dłużej niż jeszcze parę dni. Wątrobo pa-pa, wysiadka i cześć.

Byliśmy więc na stopie wojennej. Cochenour był skurczybykiem, gdyż bycie skurczybykiem leżało w jego naturze, a ja byłem skurczybykiem, bo byłem chory i zdesperowany. Jedynym przyzwoitym człowiekiem na pokładzie okazała się dziewczyna.

Robiła co mogła, naprawdę się starała. Czasem była słodka a często nawet ładna i zawsze gotowa wyjść naprzeciw więcej niż na pół drogi autorytetom, to znaczy Cochenourowi i mnie. Była jeszcze dzieckiem. Niezależnie od tego, jak dorosłą odgrywała, nie żyła jeszcze tak długo, by stworzyć sobie środki obrony przeciw skoncentrowanej podłości. Dodajcie do tego, że wszyscy zaczynaliśmy nienawidzieć wzajemnie swego widoku, głosu i zapachu (a w kapsule dowiedzieć się można dokładnie, jak człowiek pachnie). Na Wenus niewiele radości było dla Dorrie Keefer.

Ani dla żadnego z nas, szczególnie gdy powiedziałem, że zostało nam tylko ostatnie igloo.

Cochenour odchrząknął. Miał minę pilota samolotu myśliwskiego otwierającego osłony działek przed walką. Dorrie spróbowała więc odwrócić jego uwagę, zmieniając temat.

– Audee – powiedziała z uśmiechem – myślę, że wiesz co można zrobić? Możemy wrócić do tego miejsca, które tak dobrze wyglądało, koło terenów wojskowych.

To nie był dobry kierunek odwracania uwagi. Potrząsnąłem głową.

– Nie.

– Co do cholery chcesz powiedzieć przez to „nie"? – zagrzmiał Cochenour, znów szykując się do bitwy.

– To, co powiedziałem. Nie. To numer dla desperatów, a takim desperatem nie jestem.

– Walthers – warknął – będziesz desperatem, jeśli ci każę. Zawsze mogę wstrzymać wypłatę tego czeku.

– Nie, nie możesz. Związek zawodowy ci nie pozwoli. Przepisy są tu bardzo wyraźne. Musisz płacić

– Mowiłem ci, Walthers, że nie umiem przegrywać. Ani zajmować drugiego miejsca. – Zastanawiał się przez chwilę, po czym warknął: – Ty wybrałeś to miejsce. Wiedziałeś, co robisz?

Czy wiedziałem? Jedyną odpowiedzią na to pytanie mogło być znalezienie nienaruszonego tunelu, to oczywiste. Mógłbym mu opowiedzieć, jak miesiącami studiowałem sprawozdania począwszy od pierwszego lądowania. Mogłem wspomnieć, w ile kłopotów się pakowałem i ile przepisów złamałem, by uzyskać raporty o pomiarach robionych przez wojsko, albo jak dalekie odbywałem podróże, by pogadać z załogami z Obrony, uczestniczącymi w pierwszych wykopkach. Mógłbym mu powiedzieć, jak trudno było odnaleźć starego Jorolemona Hegrameta, obecnie wykładającego archeologię pozaziemską w Tennessee i ile listów wymienilismy. Ale powiedziałem tylko:

– Fakt, iż znaleźlismy jeden tunel dowodzi, że znam moją robotę przewodnika. I tylko za to zapłaciłeś. Czy szukamy dalej czy nie, to twoja sprawa.

Przyglądał się z namysłem swym paznokciom.

Dziewczyna odezwała się pocieszającym tonem:

– Weź się w garść, Boyce. Pomyśl o tych wszystkich dalszych możliwościach, jakie mamy. A nawet jeśli nam się nie uda, to będzie fajny temat do opowieści dla wszystkich tam w Cincinnati.

Nawet na nią nie spojrzał. Powiedział tylko:

– Czy istnieje jakikolwiek sposób określenia czy tunel był przebity czy nie, bez wchodzenia do środka?

– Oczywiście – odrzekłem. – Można to stwierdzić stukając z zewnątrz w jego ścianę. Różnica dźwięku jest wyraźna.

– Ale najpierw trzeba się do niego dowiercić?

– Zgadza się.

Na tym stanęło. Znów ubrałem się w skafander, by zdemontować nieużyteczne już igloo, abyśmy mogli przenieść świdry.

W rzeczywistości chciałem uniknąć dalszej dyskusji, by mi nie zadał pytania, na które musiałbym odpowiedzieć niezgodnie z prawdą. Staram się w miarę możliwości nie kłamać, bo tak najłatwiej zapamiętać to, co się powiedziało.

Z drugiej strony nie jestem fanatycznie przywiązany do prawdy i uważam, że nie do mnie należy prostowanie niewłaściwych wrażeń, które ktoś odniósł. Na przykład było oczywiste, że Cochenour i jego dziewczyna mieli wrażenie, że nie zadałem sobie trudu ostukiwania ściany tunelu, ponieważ już się do niego dowiercilismy i równie łatwo było ją przebić.

Ale oczywiście zbadałem go. Była to pierwsza rzecz, jaką zrobiłem, gdy tylko świder dotarł na właściwą głębokość. I gdy usłyszałem „puk" wysokiego ciśnienia, serce ścisnęło mi się z żalu. Nie byłem zdolny zawołać ich i powiedzieć, że osiągnęlismy ścianę zewnętrzną, musiałem odczekać parę minut.

W tym czasie nie zdołałem się do końca zdecydować, co bym im powiedział, gdyby okazało się, że tunel jest nienaruszony.

IX

Cochenour i Dorrie Keefer byli pięćdziesiątą czy sześćdziesiątą grupą, którą wiozłem na hiczijskie wykopki i nie zdziwiłem się, że chcieli pracować jak chińscy kulisi. Nie obchodzi mnie, jak leniwi czy znudzeni są turyści początkowo. W chwili, gdy mają przed nosem szansę znalezienia czegoś należącego do prawie całkiem nieznanej, obcej rasy i pozostawionego tu, gdy na Ziemi czymś najbliższym istoty ludzkiej było kosmate zwierzątko o cofniętym czole, mordujące inne zwierzęta kośćmi antylop, turystów ogarniała gorączka poszukiwania.

Pracowali więc ostro i ostro mnie popędzali, a ja byłem równie podniecony jak oni. A może i więcej w miarę jak dni upływały a ja zorientowałem się, że coraz częściej rozcieram sobie prawą stronę brzucha tuż pod klatką piersiową.

Przez pierwsze parę dni chłopcy z wojska przelatywali nad nami z pół tuzina razy. Wiele nie mówili, zadawali formalne pytania o identyfikację, na które odpowiedzi zresztą znali, po czym odlatywali. Regulamin powiada, że gdy się coś znajdzie, trzeba o tym natychmiast zameldować. Mimo sprzeciwów

zawołamy o pomoc, ktoś nadleci i zabierze nas najdalej po paru godzinach, prawdopodobnie chłopcy z Obrony, a oni mają kapsuły naddźwiękowe. Najgorszy byłby wypadek, gdyby korpus pękł i cała atmosfera Wenus spróbowała się dostać do środka. Gdyby to poszło szybko, bylibyśmy martwi. Ale to nigdy nie idzie szybko. Mielibyśmy dość czasu, by włożyć skafandry a w nich możemy żyć trzydzieści godzin. O wiele dłużej niż potrzeba, by nas odnaleźli.

– Oczywiście zakładając, że równocześnie nic się nie stanie z radiem – zauważył Cochenour.

– Zgoda. Wszędzie można zastać zabitym, jeśli dostateczna ilość wypadków zdarzy się naraz.

Nalał sobie drugi kubek kawy, wlał do niego odrobinę koniaku i powiedział:

– Dalej.

– Ale na zewnątrz kapsuły jest trochę zabawniej. Ma się tylko skafander, a on działa, jak mówiłem, tylko trzydzieści godzin. Problem chłodzenia. Wody i powietrza można zabrać ile się chce, z jedzeniem też nie ma kłopotów, ale uwolnienie się od wydzielanego przez człowieka ciepła pochłania masę zasobów energetycznych. System chłodzenia wymaga paliwa, a gdy ono się kończy, lepiej być z powrotem w kapsule. Śmierć z porażenia cieplnego nie jest najgorsza. Traci się przytomność nim zaczyna boleć. Ale w końcowym wyniku jest się trupem.

Druga sprawa to obowiązek sprawdzania skafandra przed każdym włożeniem. Trzeba go nadmuchać pod ciśnieniem i obserwować, czy nie ma przecieków. Ja też będę je sprawdzać, ale nie liczcie na mnie. To kwestia waszego życia i śmierci. Szyby hełmów są bardzo mocne, można wbijać nimi gwoździe i nie stłuką się, ale można je złamać mocnym uderzeniem o bardzo twardą powierzchnię. W ten sposób także się umiera.

– Mam jedno pytanie – powiedziała spokojnie Dorrie. – Czy zginął ktoś z twoich turystów?

– Nie. Ale u innych tak. Co roku ginie pięciu czy sześciu.

– To całkiem niezłe szanse – oświadczył Cochenour. – Ale nie o taki wykład mi chodziło, Audee. Oczywiście chcę wiedzieć w jaki sposób zachowuje się życie, ale myślę, że i tak powiedziałbyś nam to wszystko przed opuszczeniem statku. Chciałem się raczej dowiedzieć, w jaki sposób wybrałeś te właśnie maskony do zbadania.

Ten stary pryk z ciałem kulturysty zaczął mi działać na nerwy. Miał niepokojący sposób zadawania pytań, na które nie chciałem odpowiadać. Oczywiście wybrałem to miejsce z określonych powodów: wynikało to z moich pięcioletnich badań, masy kopania i korespondencji kosztem około ćwierć miliona dolarów opłat poczty kosmicznej, z takimi ludźmi jak profesor Hegramet na Ziemi.

Ale nie zamierzałem podawać mu wszystkich przyczyn. Miejsc, które chciałem zbadać, było z tuzin. Jeśli to okaże się jednym z dochodowych, Cochenour wyjdzie z tego bogatszy niż ja, tak przynajmniej mówił podpisany kontrakt: 40 procent dla czarterującego, 25 dla przewodnika a reszta dla władz. I to mu powinno wystarczyć. Gdyby miejsce okazało się puste, nie chciałem, by wziął sobie innego przewodnika, do któregoś z innych, jakie zaznaczyłem.

Odrzekłem więc tylko:

– Powiedzmy, że jest to zgadywanka oparta na wiadomościach. Obiecałem ci, że natrafimy na tunel, który nigdy nie był otwierany i mam nadzieję, że tego dotrzymam. A teraz skończmy z jedzeniem, jesteśmy o dziesięć minut od celu.

★

Gdy wszystko było już uwiązane a my w pasach, odpadliśmy z warstw względnie spokojnych do strefy wielkich wiatrów.

Byliśmy nad wielkim masywem południowocentralnym, na tej samej prawie wysokości co tereny otaczające Wrzeciono. Na tej wysokości na Wenus dzieje się najwięcej. Na nizinach i w głębokich dolinach ryftowych ciśnienie wynosi pięćdziesiąt tysięcy milibarów i więcej. Moja kapsuła nie wytrzymałaby tego przez dłuższy czas, ani niczyja inna, z wyjątkiem paru do zadań specjalnych i modeli wojskowych. Na szczęście Hiczich też nie interesowały doliny. Niewiele z tego, co po nich zostało, było położone poniżej granicy dwudziestu barów. Co oczywiście nie oznacza, że nic tam nie ma.

W każdym razie sprawdziłem nasze położenie na pozornym globusie i na mapach szczegółowych i

wyrzuciłem sondy autosonarowe. Gdy tylko oderwały się do kapsuły, porwał je wiatr i rozrzucił na całej przestrzeni pod nami. Wygodną rzeczą było, że właściwie obojętne było gdzie spadną. Najpierw leciały jak oszczepy, następnie rozleciały się jak słomki, aż wreszcie zadziałały ich rakietki a stery systemu lądowania skierowały je ku ziemi.

Wszystkie wbiły się w grunt tak jak trzeba. Nie zawsze ma się takie szczeście, początek był więc dobry.

Skontrolowałem ich rozmieszczenie na mapie szczegółowej; było bliskie trójkątowi równobocznemu, czyli właśnie takie jak należy. Następnie włączyłem lokator i zacząłem krążyć w kółko.

– A co teraz? – zaryczał Cochenour. Zauważyłem, że dziewczyna skorzystała z zatyczek do uszu, ale on nie chciał niczego przepuścić.

– Teraz czekamy by sondy zaczęły wymacywać tunele Hiczich. To potrwa parę godzin. – Równocześnie zacząłem opuszczać kapsułę w dół przez warstwy przypowierzchniowe. Zaczęło nami rzucać. Trzęsło paskudnie, hałas był nie lepszy.

Ale znalazłem to co chciałem, formację powierzchniową podobną do ślepego jaru i posadziłem nas tam po zaledwie jednej czy dwóch przykrych chwilach. Cochenour przyglądał się temu bardzo uważnie, a ja uśmiechałem się pod wąsem. To w takich momentach liczy się umiejętność pilotażu, nie w czasie przelotu ani na sztucznych lądowiskach koło Wrzeciona. Gdyby to potrafił, mógłby współpracować z kimś takim jak ja.

Nasze miejsce wyglądało okay, wstrzeliłem więc cztery kotwy: zębate pale z głowicami wybuchowymi, które otwierają się w ziemi. Naciągnąłem je z całą mocą, wszystkie trzymały.

To też był dobry znak. Dość zadowolony z siebie rozpiąłem pasy i wstałem.

– Zatrzymamy się tutaj przynajmniej dzień lub dwa – powiedziałem. – Dłużej, jeśli nam się poszczęści. Jak wam się podobała przejażdżka?

Teraz, gdy chroniące nas ściany jaru obniżyły poziom huku z gromowego do zaledwie ciągłego wrzasku, dziewczyna wyjęła zatyczki z uszu.

– Cieszę się, że nie dostałam choroby powietrznej – powiedziała.

Cochenour myślał a nie gadał. Zapalił kolejnego papierosa i przyglądał się pulpitowi sterowniczemu.

– Jeszcze jedno pytanie, Audee – dodała Dorota. – Czemu nie mogliśmy pozostać w górze gdzie jest spokojniej?

– Paliwo. Mam w bakach na około trzydzieści godzin pełnego ciągu, ale to wszystko. Czy hałas ci przeszkadza?

Skrzywiła się.

– Przyzwyczaisz się. To tak, jakby się mieszkało koło kosmodromu. Na początku dziwisz się, jak ktokolwiek wytrzymuje taki hałas tylko przez jedną godzinę. A po tygodniu brak ci go, gdy zapanuje cisza.

Podeszła do iluminatora i z namysłem przyjrzała się krajobrazowi. Przelecieliśmy na półkulę nocną i dużo tam do oglądania nie było prócz piachu i drobnych przedmiotów przelatujących w słupach światła naszych reflektorów.

– Właśnie niepokoi mnie ten pierwszy tydzień – odrzekła.

Włączyłem odczyt sond. Małe głowice perkusyjne odstrzeliwały swe mikroładunki i mierzyły wzajemnie dźwięki, ale było za wcześnie by coś z tego wywnioskować. Na ekranie ledwie zaczynały się pojawiać cienie zarysów, więcej było dziur niż rysunku.

Wreszcie odezwał się Cochenour:

– Ile czasu minie, nim coś z tego wyczytasz? – zapytał. Znowu coś ciekawego, nie pytał co to jest.

– Zależy od tego jak blisko jesteśmy i jak to jest duże. Za około godzinę można zacząć zgadywać, ale wolę mieć wszystkie dane. Powiedziałbym za sześć czy osiem godzin. Nie ma pośpiechu.

– Ja się śpieszę, Walthers – mruknął. – Pamiętaj o tym.

– Co możemy zrobić, Audee? – wtrąciła się dziewczyna. – Zagrać w brydża z dziadkiem?

– Na co tylko masz ochotę, ale radziłbym trochę się przespać. Mam proszki nasenne, jeśli ich potrze-

wały przez ponad połowę tego czasu. Ale skafandry zbudowano tak, by wytrzymywały podobne przeciążenia i jeśli się tylko w nich nie ugotujemy, nie pozwolą byśmy doznali trwałego uszczerbku.

I już było po wszystkim. Półmetrowy, kolisty wycinek przekrzywił się, przechylił na jeden bok i tak zawisł.

Zgasiłem ogniowiertnię i przez parę minut wszyscy ciężko oddychaliśmy, a zespoły chłodzące skafandrów stopniowo dochodziły do siebie.

– Ach – westchnęła Dorota. – To było dość ciężkie.

Spojrzałem na Cochenoura. W świetle bijącym z dna szybu dostrzegłem, że zmarszczył brwi. Nie odezwał się. Włączyłem palnik jeszcze na pięć sekund by odciąć do końca półmetrową klapę. Spadła do tunelu. Słychać było, jak uderzyła o podłogę.

Wtedy włączyłem hełmofon.

– Nie ma różnicy ciśnienia – powiedziałem.

Nie rozchmurzył się ani nie odezwał.

– Co oznacza, że ten był przebity – kontynuowałem. – Wracamy do kapsuły na odpoczynek zanim weźmiemy się za coś innego.

Dorota krzyknęła:

– Audee! Co się z tobą dzieje? Chcę zejść na dół i zobaczyć co jest w środku!

Cochenour odezwał się cierpko:

– Zamknij się, Dorrie. Nie słyszałaś, co powiedział? To niewypał

*

Oczywiście istnieje zawsze szansa, że przebity tunel został naruszony przez wstrząs sejsmiczny, a nie szczura podziemnego z ogniowiertnią. Jeśli tak było, mógł zawierać coś wartościowego. I nie miałem sumienia jednym uderzeniem gasić całego entuzjazmu Doroty.

Zjechaliśmy więc do nory Hiczich po kablu, jedno za drugim i rozejrzeliśmy się.

Był całkowicie pusty, jak większość z nich, przynajmniej w zasięgu wzroku. Co oznacza niezbyt daleko, bo kolejna trudność z przebitym tunelem polega na tym, że dla jego eksploracji potrzeba bardzo dobrego sprzętu. Po przeciążeniach jakich doznały, nasze skafandry były skutecznym zabezpieczeniem jeszcze na jakieś parę godzin, ale niewiele ponad to i gdy przeszliśmy z pół mili tunelem, moi turyści chcieli już zawracać do kapsuły.

Umyliśmy się i zrobili sobie coś do picia. Nawet wypaprane jeszcze więcej wody z naszych rezerw nie poprawiło nam humorów.

Musieliśmy coś zjeść, ale Cochenourowi nie chciało się urządzać kolejnego pokazu dla smakoszy. Dorota w milczeniu wrzuciła tacki do kuchenki mikrofalowej i w ponurym nastroju zaczęliśmy przeżuwać nasze żelazne porcje.

– No cóż, to dopiero pierwszy – powiedziała w końcu, zdecydowana patrzeć na sprawę optymistycznie. – I jesteśmy tu dopiero drugi dzień.

– Przymknij się, Dorrie – odrzekł Cochenour. – Jedyna rzecz jakiej nie umiem dobrze robić, to przegrywać. – Wpatrywał się w ekran ze schematem nakreślonym przez sondy. – Walthers, ile z tuneli jest nie zaznaczonych ale pustych, jak ten tutaj?

– Jak mogę na to odpowiedzieć? Jeśli są nie zaznaczone to znaczy, że ich nie zarejestrowano.

– Więc te ślady nic nie znaczą. Możemy co dzień przez najbliższe trzy tygodnie przebijać się do jednego i stwierdzić, że wszystkie są puste.

Kiwnąłem głową.

– Z całą pewnością, Boyce.

Spojrzał na mnie bystro.

– Więc?

– To jeszcze nie najgorsze. Woziłem na wykopki grupy, które zwariowałyby ze szczęścia otwierając nawet przebite tunele. Można wiercić codziennie całymi tygodniami i w ogóle nie natrafić na prawdziwy hiczijski tunel. Nie wściekaj się, za swoje pieniądze miałeś trochę rozrywki.

Greg Bear

MARTWY KURS

(Dead Run)

Niewielu jest autostopowiczów na drodze do Piekła. Tego frajera zauważyłem już ze cztery mile wcześniej. Stał tam, gdzie droga jest prosta i równa i przecina coś, co można byłoby wziąć za pustynie, gdyby nie te wszystkie wymarłe miasteczka, motele i domki. Jechałem już coś ze sześć godzin, a ci tam za mną, w bydlęcej przyczepie, przycichli przez ostatnie trzy – zrezygnowali chyba – więc nerwy mi się nieco uspokoiły i postanowiłem zobaczyć, o co temu frajerowi chodzi. Może to jeden z pracowników? Dopiero byłoby ciekawie. Prawdę mówiąc, jak tylko ten szloch tam z tyłu trochę przycichł, zacząłem się nudzić.

Stał na prawym poboczu i wyciągał rękę. Delikatnie zredukowałem biegi, pneumatyczne hamulce zasyczały i pisnęły pod naciskiem stopy, ciężarówka zwolniła, a wielki diesel wydał głębokie, jakby płynące z trzewi dinozaura beknięcie i drżąc zmniejszył obroty. Gdy to wszystko już się skończyło, przechyliłem się przez prawe siedzenie i otworzyłem drzwi szoferki.

– Dokąd?

Roześmiał się, potrząsnął głową i splunął na miękkie pobocze.

– Nie wiem – odpowiedział. – Pewnie do Piekła.

Był chudy i opalony, miał czarne włosy, długie i przetłuszczone. Nosił dżinsy, kamizelkę i brudny, pełen dziur słomkowy kapelusz, z którego główki sterczały całkiem nowe pióra – bażancie, o ile mogłem zgadnąć. Z kamizelki zwisał łańcuszek, niknący w kieszonce na zegarek. Nosił stare buty z podwiniętymi noskami i podeszwami nieco cieńszymi niż moje zapasowe gumy. Wyglądał kubek w kubek jak ja, kiedy złamany i szukający pracy wynosiłem się autostopem z Fresno.

– A może cię tam podrzucić?

– No jasne!

Wlazł do środka i trzasnął drzwiami. Wyjął z kieszeni chusteczkę, obtarł nią czoło, wysmarkał długi nos i popatrzył na mnie przekrwionymi z bezsenności oczami.

– Co wozisz? – zapytał.

– Dusze. Cały cholerny ładunek dusz.

– Jakie?

Był młody, miał chyba nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Bardzo chciał, żeby to pytanie zabrzmiało nonszalancko, ale w tonie, jakim je zadał dosłyszałem niepokój.

– Normalne. Ludzkie. Tym razem paru Hare Kriszniów. Już się im bliżej nie przyglądam.

Ruszyłem, próbując jakoś rozpędzić wóz i zastanawiając się, czy z silnikiem jest rzeczywiście aż tak kiepsko, jak na to wygląda. Kiedy już nabraliśmy prędkości – osiemdziesiąt, osiemdziesiąt pięć mil, na tej szosie nie ma korków – zapytał znowu:

– Dawno je wozisz?

– Dwa lata.

– Dobrze płacą?

– Jakoś sobie radzę.

– A dodatki?

– Jesteśmy związkiem jak każdy inny.

– Słyszałem o tym – powiedział – w tej dziurze, dwie mile temu.

– To tam są ludzie? – zdziwiłem się. Nie sądziłem, że ktokolwiek żyje przy tej drodze.

– Aha. Prawdziwa prowincja. Mówią, że jak odchodzą szefowie, to się ich wozi w limuzynach.

– Chyba wszystko jedno, jak tam dojedziesz. Podróż krótka, pobyt długi.

– Cała frajda w tym, za co się tam dostajesz, co? – próbował się uśmiechnąć.

Odpowiedziałem skrzywieniem.

– A ty co tu robisz? – spytałem parę minut później. – Nie jesteś martwy, co?

Nigdy nie słyszałem o umarłych puszczonych wolno czy nawet wyglądających tak żywotnie jak on, ale nie potrafiłem wyobrazić sobie, że na tej drodze znajduje się ktoś inny oprócz umarlaków i szoferów.

– Nie – odpowiedział. Przycichł na chwilę, po czym dodał powoli, jakby to go trochę zawstydziło:

– Jestem tu, żeby znaleźć moją kobietę.

– Taa...? – Nie bardzo mnie to zaskoczyło, ale zawsze coś nowego. – Nie ma powrotu, wiesz?

– Na imię ma Sherill. Pisze się jak sheriff, ale z dwoma „l" na końcu.

– Masz papierosa? – Nie paliłem, ale mógł mi się przydać później.

Dał mi ostatnie trzy w sztywnej paczce i nic nie powiedział.

– Nie słyszałem o niej. Ale nie rozmawiam z każdym, kogo wiozę. I jest wiele wozów, wielu kierowców.

– Wiem. Słyszałem też o dodatkach.

Spojrzał na mnie z jakimś dziwnym, smutnym wyrazem oczu i to mnie zezłościło. Zaciąłem usta i patrzyłem wprost przed siebie.

– No, słyszało się takie różne historie. O tym, jak używają starych pociągów w Chinach i Indiach, a w Rosji to są tramwaje. W Meksyku stare autobusy wzdłuż dróg, zawsze nocą...

– Słuchaj, ja tam nie korzystam ze wszystkiego. Wiem, że niektórzy tak, ale nie ja...

– Oczywiście, kapuję – powiedział kiwając głową, tym cholernym przesadnym skinieniem młodych, z poruszeniem szyi i całych pleców, wszystko w porządku, tylko się nie denerwuj.

– Jak masz zamiar ją znaleźć?

– Nie mam pojęcia. Jechać drogą, może pytać kierowców.

– A jak tu trafiłeś?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Kiedy już umrę, to pewnie trafię właśnie tu. Takim jak ja nietrudno znaleźć się tu wcześniej. No, i... tata był kierowcą. Opowiedział mi o trasie. Przy okazji, na imię mam Billy.

– John.

– Miło cię poznać.

Potem przez chwilę nie rozmawialiśmy. Wyglądał przez okno, a ja patrzyłem na pustynię i na dalekie, przemykające za szybą domy.

Góry zbliżały się szybko, przestrzeń wydawała się zacieśniać wokół drogi, zwłaszcza po przejechaniu pustyni. Przyspieszyłem na podjeździe. Ci z tyłu znów zaczynali hałasować.

– Co robisz po pracy? – odezwał się Billy.

– Wracam do domu i śpię.

– I nikt nie wie, że tu jeździsz?

– Tylko związek.

– Tak było i z tatą, prawie do samego końca. Słuchaj, nie chcę cię złościć ani nic. Ja po prostu słyszałem o dodatkach. Myślałem... – przełknął, grdyka mu zadrżała – myślałem, że będziesz mógł pomóc. Nie mam pojęcia, jak znaleźć Sherill. Może tam, w Bazie...

– Nikt przy zdrowych zmysłach nie wlezie do zagrody z wyboru. I będziesz musiał szukać wśród wszystkich, którzy zmarli przez ostatnie cztery miesiące. Nieźle są tam stłoczeni...

Bill przyjął to jak cios w twarz i zrobiło mi się przykro, że mu tak powiedziałem.

– Odeszła tylko tydzień temu. To nie jest miejsce dla niej.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– No, nie... to znaczy, to jest miejsce dla mnie, nie dla niej. Była w tej kraksie, parę miesięcy temu, samochód całkiem rozbity i ją paskudnie pokiereszowało. Najpierw sprzedawałem jej prochy, a później się zakochałem. Nim wylądowała w szpitalu była już, wiesz, zależna chyba od czterech różnych rzeczy.

Ręce zesztywniały mi na kierownicy.

– Chodziłem tam i próbowałem jej wytłumaczyć, że nie cie-

Do pewnego stopnia wszystko przebiegało zgodnie z moimi przewidywaniami. Na powierzchni był prawie wyłącznie spopielały piasek i wiertnie wgryzały się weń bardzo szybko. Zbyt szybko; gdy wróciłem do igloo, było ono prawie dokładnie wypełnione odłamkami i miałem piekielną robotę z przestawianiem mechanizmu wiertni na usuwanie gruzu przez śluzę rękawa.

Była to nudna, brudna część roboty, lecz nie trwała długo.

Nie zadałem sobie trudu wracania do kapsuły. Zgłosiłem co się dzieje Boyce'owi i dziewczynie przez radio. Wyglądali ku mnie przez iluminatory. Powiedziałem im, że przypuszczam, iż się zbliżamy.

Ale nie powiedziałem im dokładnie jak blisko jesteśmy. W rzeczywistości byliśmy tylko o metr czy dwa od oznaczonej głębokości anomalii, tak blisko, że nie zadałem sobie trudu wyciągania wszystkich odłamków. Zrobiłem sobie tylko tyle miejsca, ile potrzeba by móc manewrować, następnie przestawiłem wiertnie i po pięciu minutach nadpływające odłamki zaczęły lekko świecić na niebiesko. Po tym można było poznać tunel Hiczich.

VIII

Jakieś dziesięć minut później włączyłem hełmofon i krzyknąłem:

- Boyce! Dorrie! Dotarliśmy do tunelu!

Albo już siedzieli ubrani w skafandry, albo ubierali się szybciej niż którykolwiek ze szczurów podziemnych. Otworzyłem rękaw i podpełzłem, by im pomóc, a oni już wychodzili z kapsuły, chwiejąc się od uderzeń wiatru.

Oboje wykrzykiwali pytania i gratulacje, ale im przerwałem.

- Do środka - rozkazałem. - Zobaczycie sami. - Prawdę mówiąc nie trzeba było iść tak daleko. Gdy tylko uklękli, by wpełznąć przez rękaw, musieli zauważyć kolor.

Poszedłem za nimi, zamykając śluzę za sobą. Powód tego był bardzo prosty. Jak długo tunel nie został przebity, nie ma znaczenia, co robimy. Ale we wnętrzu nienaruszonego tunelu Hiczich panuje ciśnienie niewiele wyższe, niż normalne ziemskie. Kiedy brak hermetycznej kopuły, w chwili gdy przebija się ścianę, wpuszcza się do środka całą 20.000-milibarową atmosferę Wenus z gorącem, ablacją i wszystkim innym. Jeśli tunel jest pusty albo zawiera tylko proste, odporne przedmioty, szkód nie będzie. Ale jeśli trafiłeś na wielką pulę, niszczysz w ciągu pół sekundy to, co czekało ćwierć miliona lat.

Zgromadziliśmy się wokół szybu. Pokazałem palcem w dół. Wiertnie wykonały gładki otwór, około siedemdziesiąt centymetrów na trochę ponad sto, o zaokrąglonych kątach. Na dnie widać było chłodny niebieski blask, trochę przesłonięty i plamisty od resztek gruzu, którego nie trudziłem się wydobyć.

- Co teraz? - spytał Boyce głosem chrapliwym z podniecenia, co, jak przypuszczam, było dość naturalne.

- Teraz wytniemy sobie przejście do środka.

Kazałem moim klientom cofnąć się tak daleko jak zdołają. Przytulili się do stosu odłamków w igloo, a ja umocowałem palniki. Już wcześniej zmontowałem nad szybem dźwig nożycowy, więc mogłem opuścić je bez kłopotu na kablach, aż znalazły się o parę centymetrów nad sklepieniem tunelu. Wtedy je zapaliłem.

Nie należy sądzić, by jakiekolwiek ludzkie działanie mogło zmienić temperaturę na powierzchni Wenus, ale te ogniowe tunele były czymś specjalnym. W małym igloo ciepło uderzało z dołu jak płomień, ogarnęło nas i w parę sekund systemy chłodzenia naszych żaroodpornych skafandrów już były przeciążone.

Dorrie dech zaparło.

- Och! Ja... ja chyba zaraz...

Cochenour chwycił ją twardą ręką.

- Mdlej, jeśli masz ochotę - powiedział brutalnie - ale nie rzygaj. Walthers! Ile czasu to potrwa?

Było mi równie ciężko jak im; praktyka bynajmniej nie przyzwyczaja do czegoś podobnego do dłuższego pobytu przed otwartymi wrotami wielkiego pieca.

- Może z minutę - wysapałem. - Trzymajcie się... wszystko w porządku.

W rzeczywistości potrwało trochę dłużej, może z dziewięćdziesiąt sekund. Wskaźniki głośno alarmo-

bujesz. Jeśli coś znajdziemy, a pamiętaj, że jest tylko jedna szansa na sto, by nam się powiodło za pierwszym razem, będziemy musieli być w pełni sił przynajmniej przez pewien czas.

- Zgoda - powiedziała Dorota, sięgając po pigułki, ale Cochenour zapytał:

- A co z tobą?

- Za chwilę. Czekam na coś.

Nie spytał na co. Zapewne dlatego, pomyślałem, że już wie. Kładąc się na koi postanowiłem nie brać od razu proszka nasennego. Ten Cochenour był nie tylko moim najbogatszym turystą w całej mojej karierze, ale także najlepiej poinformowanym i chciałem to sobie przemyśleć.

★

- To, na co czekałem, nastąpiło dopiero po godzinie. Chłopcy zrobili się trochę niedbali; powinni byli wpaść na nas wcześniej.

Radio zabrzęczało a po tym zagrzmiało:

- Niezidentyfikowany statek na jeden-trzy-pięć, zero-siedem, cztery-osiem i siedem-dwa, pięć-jeden, pięć-cztery! Proszę podać dane i cel podróży!

Cochenour spojrzał pytająco znad stołu, gdzie grał z dziewczyną w remika. Uśmiechnąłem się uspokajająco.

- Póki mówią „proszę", nie ma sprawy - powiedziałem i włączyłem nadajnik.

- Tu pilot Audee Walthers, kapsuła Poppa Tare Dziewięć Jeden, przylot z Wrzeciona. Jesteśmy zarejestrowani i mamy zatwierdzony plan lotów. Na pokładzie dwoje Ziemniaków-turystów, cel eksploracja rozrywkowa.

- Przyjęte. Proszę poczekać - zagrzmiało radio. Wojskowi zawsze nadają najwyższą mocą. Bez wątpienia kac z czasów musztry podoficerskiej.

Wyłączyłem mikrofon i powiedziałem pasażerom:

- Sprawdzają nasz plan lotów. Nie ma problemu.

Moment później odezwała się stacja wojskowa, głośno jak zawsze.

- Jesteście jedenaście koma cztery kilometrów w położeniu jeden-osiem-trzy stopni od obszaru zakazanego. Poruszajcie się ostrożnie. Zgodnie z Regulaminami Wojskowymi Jeden-Siedem i Jeden-Osiem, rozdziały...

Przerwałem:

- Znam regulaminy. Jestem licencjonowanym przewodnikiem i wyjaśniłem zakazy pasażerom.

- Przyjęte - ryknęło radio. - Będziecie pod naszą obserwacją. Jeśli zauważycie statki albo grupy ludzi na powierzchni, będą to nasze patrole graniczne. Nie przeszkadzajcie im w żadnym wypadku. Odpowiadajcie natychmiast na każde żądanie indentyfikacji lub informacji. - Fala nośna przestała brzęczeć.

- Wygląda na to, że są nerwowi - rzekł Cochenour.

- Nie. Są przyzwyczajeni do naszej obecności. Po prostu nie mają nic do roboty i to wszystko.

Dorrie odezwała się z wahaniem:

- Audee, powiedziałeś im, że wyjaśniłeś nam zakazy. Nic takiego sobie nie przypominam.

- Och, naprawdę wyjaśniłem. Trzymamy się na zewnątrz obszaru zakazanego, bo inaczej zaczną strzelać. I to jest Całe Prawo.

VII

Budzik nastawiłem na czwartą, a tamci usłyszeli jak się krzątam i także wstali. Dorrie przyniosła nam kawę z ogrzewacza. Wypiliśmy ją na stojąco, przyglądając się rysunkowi stworzonemu przez komputer.

Przestudiowanie go zabrało trochę czasu, choć nawet na pierwszy rzut oka obraz był dość jasny. Było tam osiem dużych anomalii, które mogły być norami Hiczich. Jedna prawie tuż pod naszymi drzwiami. Nie musielibyśmy nawet przenosić kapsuły by się do niej dogrzebać.

Kolejno pokazałem im wszystkie anomalie. Zamyślony Cochenour patrzył na nie w milczeniu. Dorota zapytała po chwili:

– Czy to znaczy, że wszystkie te tunele nie były badane?

– Nie. Chciałbym, aby tak było. Ale, po pierwsze którykolwiek albo wszystkie mogły być wykorzystane przez kogoś, komu się nie chciało tego zarejestrować. Po drugie, to nie muszą być tunele. Mogą to być uskoki tektoniczne, albo dajki, albo rzeczki stopionej skały, która skądś wypłynęła, skamieniała i została przykryta inną warstwą przeszło miliard lat temu. Jedyne co wiemy na pewno to to, że w tym rejonie nie ma żadnych niewyeksplorowanych tuneli z wyjątkiem tych ośmiu miejsc.

– Więc co robimy?

– Kopiemy. A wtedy zobaczymy co tu jest.

– Gdzie kopiemy? – zapytał Cochenour.

Pokazałem palcem miejsce tuż przy błyszczącej delcie naszej kapsuły. – Dokładnie tutaj.

– Czy tu są największe szanse?

– No, niekoniecznie. – Zastanowiłem się co mu powiedzieć i doszedłem do wniosku, że najlepiej prawdę. – Trzy wyglądają lepiej niż pozostałe... Zaraz je oznaczę. – Nacisnąłem klawisze mapy i przy najbardziej obiecujących miejscach natychmiast ukazały się błyszczące litery A, B i C. – „A" przebiega dokładnie pod naszym jarem, więc tu zaczniemy.

– Te trzy są najlepsze bo najjaśniejsze?

Kiwnąłem głową, trochę zirytowany jego bystrością, chociaż sprawa była raczej oczywista.

– Ale „C" jest najjaśniejsze ze wszystkich. Czemu tam nie zaczniemy?

Starannie dobierałem słowa.

– Ponieważ musielibyśmy przenieść kapsułę. I dlatego, że leży tuż przy granicy sondowanego obszaru, to znaczy wyniki nie są tak godne zaufania jak te dotyczące leżącego tuż pod nami. Ale i to nie jest najważniejsze. Najważniejsze jest, że „C" leży na skraju linii, od której nasi przyjaciele ze swędzącymi palcami każą nam trzymać się z daleka.

Cochenour zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Chcesz mi powiedzieć, że znalazłszy naprawdę niewyeksploatowany tunel Hiczich nie podejdziesz do niego tylko dlatego, że jakiś żołnierz powiedział ci, że to jest be?

– Ten problem jeszcze nie powstał – odrzekłem. – Mamy do obejrzenia siedem dozwolonych anomalii. Ponadto wojskowi będą nas sprawdzać od czasu do czasu, a szczególnie jutro, może też i pojutrze.

– No dobrze – nalegał Cochenour – przypuśćmy, że je sprawdzimy i nic nie znajdziemy. Co wtedy?

Potrząsnąłem głową.

– Nigdy nie pcham palca między drzwi. Zbadajmy dozwolone.

– Ale przypuśćmy.

– Do diabła! Boyce! Skąd ja mogę wiedzieć?

Dał więc spokój, ale mrugnął do Dorrie i parsknął śmiechem.

– No i co ci mówiłem? Z nas dwóch on jest większym bandytą.

★

Przez następne parę godzin niewiele mieliśmy okazji do rozmowy o teoretycznych możliwościach, bo zbyt nas pochłaniały konkretne fakty.

Najważniejszym z nich były potworne masy gorącego gazu o dużej szybkości, któremu nie mogliśmy pozwolić, by nas zabił. Mój kombinezon żaroodporny był szyty na miarę i wystarczyło tylko sprawdzić jego połączenia i zbiorniki. Boyce i dziewczyna mieli wynajęte. Zapłacili za nie ogromną sumę. Były dobre, ale dobre nie znaczy jeszcze doskonałe. Kazałem im wkładać je i zdejmować z tuzin razy, sprawdzając dopasowanie i zmieniając ciśnienie aż okazało się, że lepiej już nie można. Gdy się spaceruje po powierzchni Wenus, trzeba chronić się od strasznego gorąca i ciśnienia. Skafandry były z dwunastowarstwowego laminatu, z dziewięcioma stopniami swobody na istotnych łączeniach. Były niezawodne i nie tym się martwiłem. Martwiłem się o wygodę, bo maleńkie swędzenie albo otarcie może stać się poważną sprawą, gdy nie ma sposobu by tego uniknąć.

Aż wreszcie były dość dobre, więc wcisnęliśmy się wszyscy do śluzy i wyszliśmy na powierzchnię Wenus.

Ciągle jeszcze byliśmy po stronie odsłonecznej, ale w atmosferze jest tyle rozproszonego światła, że naprawdę ciemno jest nie dłużej niż przez czwartą część nocy. Kazałem im przećwiczyć chodzenie wokół kapsuły, pochylanie się pod wiatr, wiązanie się do kotw i boku statku. Ja zaś przygotowywałem wykop.

Wytaszczyłem na zewnątrz pierwsze błyskawiczne igloo, zaciągnąłem je na miejsce i zapaliłem. Zaraz się zaczęło się nadymać jak dziecinna zabawka zwana wężami faraona, wytwarzając lekki, odporny popiół, który rósł wokół przyszłego wykopu aż połączył się w kopułę bez szwu. Ustawiłem przed tym na miejscu palnik drążący i rękaw śluzujący; w miarę jak popiół narastał, przesuwałem śluzę, by uzyskać ścisłe połączenie i już za pierwszym razem miałem bezbłędny szew.

Widząc jak macham ręką, Dorrie i Cochenour trzymali się z dala, ale razem, przyglądając mi się przez hełmy panoramiczne. Włączyłem radio.

– Chcecie wejść i popatrzeć, jak zaczynam? – krzyknąłem.

Oboje pokiwali głowami wewnątrz hełmów.

– To właźcie – odkrzyknąłem i wpełzłem do środka przez rękaw. Dałem znak, by został otwarty gdy pójdą za mną.

Z nami trojgiem i aparaturą drążącą w igloo było jeszcze ciaśniej niż w kapsule. Cofnęli się pod półkoliste ściany tak daleko jak się dało, ja zaś włączyłem wiertnię, sprawdziłem czy stoją pionowo i patrzyłem, jak pierwsze odłamki wysypują się spiralnie z otworu.

Piankowe igloo więcej dźwięków pochłania niż odbija. Ale mimo to łoskot w jego wnętrzu był znacznie większy niż wycie wiatru na zewnątrz. Gdy doszedłem do wniosku, że widzieli dość jak na początek, gestem kazałem im wypełznąć przez rękaw, wdrapałem się za nimi, zamknąłem za nami śluzę i poprowadziłem ich z powrotem do kapsuły.

– Jak dotąd w porządku – powiedziałem, odkręcając hełm i rozluźniając skafander. – Myślę, że mamy jakieś czterdzieści metrów do przewiercenia. Równie dobrze możemy poczekać tu jak tam.

– Ile potrzeba na to czasu?

– Z godzinę. Możecie robić, co wam się podoba, ja wezmę prysznic. A później zobaczymy, dokąd dotarliśmy.

Jedną z miłych stron tego, że na pokładzie przebywały tylko trzy osoby było, że nie musieliśmy ograniczać zużycia wody. Zadziwiające, jak szybki natrysk ożywia po wyjściu z żaroodpornego skafandra. Gdy skończyłem, byłem gotów na wszystko.

Byłem nawet gotów zjeść coś ze smakoszowskich potraw Boyce Cochenoura, ale na szczęście nie było to konieczne. Gotowanie przejęła dziewczyna i to co podała było proste, lekkostrawne i w miarę nietrujące. Na jej kuchni być może zdołam wyżyć na tyle długo, by odebrać moje honorarium. Na chwilę przeleciało mi przez głowę pytanie, dlaczego to zrobiła, następnie pomyślałem, że oczywiście ma sporą praktykę. Ze wszystkimi częściami zamiennymi Cochenour bez wątpienia miał znacznie gorsze problemy z dietą niż ja.

No, może nie dosłownie „gorsze", nie przypuszczałem, by z ich powodu był tak bliski śmierci jak ja.

★

Według sond autosonarowych, najwyższy punkt tunelu, który oznaczyłem jako „A" czy to, co tam było podobnego do tunelu z punktu widzenia ich fal uderzeniowych, znajdował się blisko ślepej dolinki, w której zakotwiczyłem.

Szczęśliwie się złożyło. Mogło to oznaczać z dużym prawdopodobieństwem, że jesteśmy blisko wejścia zbudowanego przez samych Hiczich.

Powód, dla którego to było szczęśliwym wydarzeniem nie wynikał z tego, abyśmy byli w stanie skorzystać z niego w taki sposób jak to robili Hiczi. Małe były szanse, by jego mechanizm działał po ćwierci miliona lat, wystawiony po większej części na wiatry powierzchniowe, ablację i korozję chemiczną. Dobrą natomiast stroną było to, że w tym miejscu będzie względnie łatwo dowiercić się do niego. Nawet w ciągu ćwierci miliona lat nie wytwarza się skała naprawdę twarda, szczególnie przy braku wody powierzchniowej, rozpuszczającej ciała stałe i wytwarzającej zwarte osady.

Tadeusz Meszko

Pożeracz Szarości

Praca nadesłana na konkurs „Fantastyki"

Dąb przez setki lat skutecznie odpierał ataki trzęsawiska. Nieustepliwe pedy korzeni przebiły się przez metry wrogiego szlamu i mocno wczepiły sie w stałe podłoże. Soki wolne od trucizny błot poczęły krążyć w potężnych konarach, wybuchając rokrocznie gestym listowiem. Lecz bagno nie rezygnowało. Przywoływało na pomoc wiatr, pioruny i czas – najokrutniejszego wroga. Niezwyciężone drzewo zostało w końcu powalone...

Stało sie to przed wieloma laty, mimo to fragmenty konarów wystawały jeszcze ponad maź. Sprochniałe ciało debu służyło teraz młodym roślinom, budującym na tej pożywce nową wielkość. Ale ptaki nie wiły już gniazd na pniu drzewa; tylko czasem, zmęczone lotem, przysiadały na odpoczynek. Jeszcze rzadziej pomarszczoną kore gładziła reka człowieka.

Lecz tego wieczoru umierające drzewo przypomniało sobie czasy świetności: na starym pniu przysiadła bowiem młoda dziewczyna, zmeczona uciążliwą wędrówką przez bezdroża. Cały czas, wpierw idąc, a teraz odpoczywając, wpatrzona w drżącą czerwienią tarczę słońca, nie zdawała sobie nawet sprawy, dokąd zawiodły ją ścieżki zadumy. Trwała w bezruchu długie minuty, a potem zrzuciła z nóg sandały i przytuliła głowe do kory, oplatając pien. Tak zasneła.

Drzewo było szczęśliwe...

... A w pasmach mgły opadających na moczary, czaiła sie gesta noc. Słońce nie mogło już dłużej czekać; ogarnelo jeszcze niespokojnym spojrzeniem sylwetkę dziewczyny, na pożegnanie zamigotało w jej włosach i umkneło za horyzont. A wtedy pozbawione podpory czarne sklepienie niebios spadło na bagna, przygniatając kruche ciało. Noc zakreciła swe nici wokół każdego krzewu, wokół pojedynczych źdźbeł trawy. Wgryzła się pazurami w błota, uwalniając chyboczące sie zimne płomyki – złudne strażniczki mroku. Zastawiwszy wszystkie sidła, pomkneła za uciekającym słońcem na dalsze łowy. Po chwili cisza wygladziła wszelkie zmarszczki i pułapka cierpliwie czekała na nieświadoma ofiarę.

Strwożony dąb zrosił się kropelkami potu. Drzewo prosiło dziewczyne, aby pozostała we śnie do rana, nieświadoma groźby czającej się w mroku. Bo gdy słońce przegoni noc – dziewczyna bedzie uratowana!

Bagno przejrzało plany drzewa. Zabulgotało z wściekłości, zapłoneło ogniem nienawiści, nie zamierzając wypuścić ofiary.

I ockneła sie dziewczyna. Wyczuła wilgoć pod palcami i chłód oparów otaczającego mroku. Ogarnał ją strach. Zerwała się do ucieczki, nie wiedząc jeszcze o najgorszym: stopy zagłebiły się w mazi. Macki bagien pochwyciły je zachłannie. Dziewczyna upadła na kolana, w ostatniej chwili obejmując ramionami przyjazny konar.

Walka toczyła się ponad nią. Wypreżył się konar, wyrywając bagnu łatwą zdobycz – bagno nie chciało ustąpić. Dąb i trzesawisko mocowały się w zawziętym milczeniu, tak jakby nie walczyły o bezwładne ciało, lecz o swe istnienie. Ożyły namiętności ich prastarej bitwy; ockneły sie zastygłe soki drzewa i ponownie zaczeły żywo krążyć, przydając konarowi sił i giętkości. Bagno przywołało na pomoc chłodne prądy, paraliżujące przepływ życiodajnych płynów.

Aż echa walki dotarły do Norana. Zaciekawiony porzucił bezpieczne legowisko i szybko wypłynał ku powierzchni bagna, lecz ponad toń wysunał tylko oczy i nozdrza.

Wynik walki był już przesądzony. Ujrzał zanurzoną po pas dziewczyne, dostrzegł zdretwiałe palce nieubłaganie suwające się po śliskiej korze. Nie było ratunku dla topielicy. Strąki poskiejanych, długich włosów, rozłożonych na powierzchni pozostaną jeszcze przez kilka minut śladem tragedii, lecz i one nieuchronnie pogrążą się w szłamie...

Dziewczyna po raz ostatni spróbowała wyzwolić się z pułapki. Elastyczna maź bez trudu wchłoneła energię tej próby i w rezultacie dłonie zatrzepotały bezradnie, ześlizneły sie z konaru i zapadły w bagnie. Teraz nastąpiła seria wściekłych szarpnieć: uderzeń ramionami o toń, wyrzutów we wszystkie strony głową... Po kilkunastu sekundach powróciła cisza.

Ostatnia potyczka obrociła dziewczynę bokiem do Norana. Zobaczył jej profil: odchyloną do tyłu głowe, jakby wpatrzoną w czerń nieba, z krawędzią błot siegającą podbródka. I naraz przeciągły jek – pełen protestu, zduszonego bólem i tęsknotą... Trwał on póki maź bagna nie wypełniła ust.

W nim jednak wibrował nadal...

Zanurkował. Podpłynał pod bose stopy i naparł na nie grzbietem, wypychając dziewczyne na powierzchnie. A później jeszcze wyżej, aż ta, niczego nie pojmując, krztuszac sie, dygocąc z zimna i strachu, nie wczepiła się odruchowo w konar dębu.

Ponownie dał nurka i wynurzył sie z drugiej strony drzewa, tuż przy pniu, aby go nie zauważyła. Odczekał dopóki nie ucichły spazmy szlochu i przemówił.

– Już nic ci nie grozi, ...Arianno. Pozostane przy tobie do rana, kiedy bedziesz mogła bezpiecznie odejść

– Kim jesteś?! Dlaczego cie nie widzę? Skąd znasz moje imie? – Dziewczyna nie miała sił, by się rozejrzeć. Przypadła tylko mocniej do pnia, a łzy powtórnie pociekły po ubrudzonej twarzy.

Odpowiedź nadeszła po dłuższej pauzie. W głosie zabrzmiały nuty smutku i goryczy.

– ... Schowałem się. Boje się, że gdy mnie ujrzysz, wystraszysz sie, uciekniesz – znów uczynisz nierozważny krok i wciągna cie błota. Nie chce tego. Polubiłem cie .. Mógłbym unieść twoje stopy nad tonią bagien, lecz gdybyś zaczeła krzyczeć, poczułbym sie samotny i przestałbym cie lubić...

– I uciekłbyś?... Och, prosze!

– Nie! Jestem tu tak długo... Lubię bagno, ponieważ daje mi schronienie. Lubię drzewo, na którym siedzisz, ale ono umiera... Nie mógłbym ci uczynić nic złego. Tkwię zakopany w mule i tesknię do życia. Ty jesteś życiem!

– Jak ci się odwdzięczyć? – zapytała.

– Przyszłaś tutaj samotna... Czuję twój smutek. Pozwól, bym dotknął twego czoła, a być może wyleczę cię z trosk.

– To niemożliwe! – Arianna uśmiechneła się. Niedbałym ruchem odsuneła sklejony kosmyk włosów spadający na oczy. – A poza tym, to ja chce ci pomoc.

– To by mi pomogło... – barwa głosu Norana, pełna zawodu i lekkiego rozdrażnienia, zatrwożyła Ariannę. – Mówiłem ci – jestem samotny.

Zaraz potem usłyszała chlupot i w nastepnych minutach ciszy zrozumiała co oznacza samotność. Wyzwolony strach podsuwał wyobraźni najokropniejsze obrazy. Słyszała duszny oddech bagna, sapiącego z emocji i pożądania. Czuła jak konar debu zapada sie w bagnie albo też to bagno sie unosi, aby ją pochwycić. Widziała błyski tysięcznych oczu, gdy obserwowały jej skuloną postać. Pragneła, by głos powrócił i bała się go przywołać.

I zaraz wszystko się uspokoiło. Nie opuścił jej. Powrócił. Wciąż go nie widziała, ale była pewna, że jest obok. Nie myliła sie.

– Przemyślałem to. Nie moge czegokolwiek od ciebie oczekiwać. Pomogę ci.

– Ależ nie! – zawołała energicznie. – Wcale się ciebie nie boje.

Też chciałabym ci pomóc... Gdy jesteś przy mnie, czuję się bezpieczna. Naprawdę.

Mówiąc to rozglądała się dyskretnie, mając nadzieję, że jednak go dostrzeże.

– Nie trudź się. Ujrzysz mnie dopiero wtedy, kiedy ja będę chciał.

– To znaczy, że się mi pokażesz! – krzyknęła z nadzieją.

– Być może... Lecz na pewno nie dzisiaj. I nie jutro. Wolałbym w ogóle... Żebyś znała jedynie mój głos.

– A jak mam na ciebie wołać?

– Przepraszam... Możesz mnie nazywać Noran.

– Moje już znasz... Arianna.

Usiadła swobodniej na pniu, podkurczyła nogi, a głowę złożyła na kolanach. Kusa, rozdarta sukienka odsłoniła uda, piękną linię nóg. Od powierzchni bagien ciągnął chłód, lecz nie czuła zimna. Zapatrzyła się w gwiazdy, zamyśliła.

– Opowiedz mi o sobie.

Noran odezwał się tuż za nią. Chciała się obejrzeć, lecz coś ją powstrzymało.

– Gdy miałam kilkanaście lat, często budziłam się w nocy. Jednakże w odróżnieniu od innych dzieci, w ciemności nie płakałam cichutko, lecz wymykałam się z posłania i kucając przy wyjściu, odsłaniając na kilka centymetrów zasłonę, patrzyłam w ogniki na niebie. Były jedynymi moimi przyjaciółmi; mogłam rozmawiać z nimi przez wiele godzin, a one wciąż zachęcająco mrugały do mnie. Płakałam, gdy któraś umierała...

– Rozumiem.

– Nigdy nie czułam się dobrze pośród swoich. Nie znajdowałam w nich wspólnych uczuć. Aż zjawił się wśród nas mężczyzna, którego pokochałam od pierwszej chwili. Był obcym i nasze uczucie nie miało przyszłości. Lecz jednocześnie było cudowne. Wierzyłam wtedy, że razem możemy skruszyć zwietrzałe skorupy nawyków, przełamać opór tradycji. Nie dano nam nawet szansy, by miłość rozlała się w nas, wzmocniła ... Przed trzema laty, niedaleko tego bagna, to się stało... Zaskoczyli nas o świcie, zdecydowani rozdzielić nas – zabić go! Do ostatnich chwil obserwowałam walkę. Oni byli silniejsi, gdyż w nich była tylko nienawiść. W nas miłość. Nie wytrzymałam, chcąc dodać mu otuchy, krzyknęłam. Na nieszczęście usłyszał mnie, zatrzymał się. Jakże tego żałowałam. Ta chwila zawahania wystarczyła, by przyskoczyli do niego, wznieśli ramiona do ciosów, zabili go... Co prawda mgła uwolniła mnie od obrazu jego śmierci, lecz od tej chwili senne majaki towarzyszą mi nieustannie... Zginął przez moją słabość...

Wybuch płaczu przerwał opowieść. Łzy ciekły po jej policzkach.

– Chciałabyś coś jeszcze powiedzieć?

Przydusiła pięści do oczu, aż żar szlochu stopniowo wygasł. Przetarła ostatnie łzy.

– Długo szanowano mój ból, lecz coraz jawniej dają mi do zrozumienia, żebym wyszła za innego. Znam go. Gdy byliśmy dziećmi, przeganiałam go pięściami. Ileż razy go stłukłam! Teraz to nie pomoże – jest przebiegły. Ze mną nawet nie rozmawia, tylko wciąż przynosi nowe podarunki rodzicom. Chce, aby oni zmusili mnie do małżeństwa.

Zamilkła. Noran długo nie przerywał milczenia.

– Nie potrafię przywrócić życia osobie, którą kochałaś. Nie potrafię także przeszkodzić w przymusowych konkurach... Lecz mogę cię zaprowadzić do gwiazd; wrócić z tobą do lat, gdy byłaś szczęśliwa.

– Naprawdę? Uczyń to!

– Chcesz tego? Z początku dotyk mego ciała będzie nieprzyjemny.

– Uczyń to!

Po chwili na skroniach poczuła delikatne dotknięcie mroźnych i oślizłych macek. Mimowolnie wzdrygnęła się, lecz zacisnęła mocniej oczy i spokojnie czekała. Naraz w jej ciało wstąpiło gorąco, uczuła ogarniającą drętwotę; przestraszyła się, że ginie, ale zaraz zapomniała o wszystkim. Zapomniała, że siedzi na śliskim konarze, pośród chciwych bagien, a za jej plecami czai się nieznany stwór.

Miała znowu kilkanaście lat i po omacku, poprzez nogi rodziców, skradała się do zasłony. Ułożyła się na ziemi, uchwyciła róg tkaniny i chciwie przytknęła oko do szpary.

Natychmiast powitały ją miliardy gwiazd. Zamigotały z zadowolenia i zaczęły równocześnie opowiadać o tym, co wydarzyło się od czasu ostatniego spotkania. Pozwoliła im na tę chwilę beztroskiej paplaniny, wyczołgując się w tym czasie z szałasu. I dopiero gdy odbiegła na kilka kroków, uciszyła gwiazdy zapowiadając, że dzisiaj je odwiedzi. Ale gwiazdy, chociaż znały Ariannę od dawna; nie chciały jej uwierzyć. Wciąż głośno gadały, jedna przez drugą. Dziewczynka ze złością tupnęła.

– Dlaczego mi nie wierzycie?!

– Och, przestań. Znamy się tak długo i nigdy nie kłamałaś. Zapomnij o tym... – skarciła ją rozgorączkowana Spika.

– Lubimy cię taką, jaką jesteś. To nic, że nie możesz być bliżej nas. My i tak zawsze będziemy przychodzić do ciebie – dodała ugodowo Sirrah.

– Jestem z was najstarsza, lecz jeszcze nigdy nie widziałam małych dziewczynek, które by wyściubiły choć kawałek nosa poza planetę. To niemożliwe! – ocknęła się z drzemki leciwa Mirrah, przecinając dalszą dyskusję.

– A ja i tak polecę! – Arianna tupnęła drugą nóżką i nim gwiazdy zdążyły się ponownie odezwać, poszybowała ku nim.

Ledwo wysunęła się poza cień Ziemi, ze zdumienia aż potknęło się Słońce, wypadając na chwilę z orbity. Moment nieuwagi wykorzystały gejzery ognia, błyskawicznie rozpraszając się w przestrzeni. Jeden nawet popędził na spotkanie z Arianną; gdyby doleciał mógłby ją poparzyć, lecz na szczęście wygasł w drodze. Słońce szybko pochwyciło w swe objęcia pozostałych uciekinierów i tylko z rozdziawionymi ustami patrzyło na mknącą dziewczynkę. Arianna pomachała mu ręką i pomknęła dalej.

Gwiazdy były równie zaszokowane jak Słońce. Jednakże droga do nich była dłuższa; nim zdążyła zbliżyć się do pierwszej, już oswoiły się z myślą, że odwiedziny są możliwe. Teraz gwiazdy prosiły, aby do każdej przyleciała. Było ich tak wiele, że Arianna zamieniała jedynie kilka słów i już pędziła do następnej. Ale i tak nie wiadomo jak długo by to trwało, gdyby nie ostrzeżenie. Dziewczynka miała jeszcze dość sił i chciała być nadal z nimi, ale gwiazdy stanowczo nalegały, aby schowała się na bezpiecznej Ziemi, gdyż jedna z nich ciężko zachorowała i za chwilę wybuchnie. A wtedy momentalnie połknie przestrzeń i nawet gdyby tego nie chciała – także Ariannę.

Pospieszyła więc jak najprędzej do szałasu, a gdy była w drodze powrotnej, gwiazdy dziękowały jej za wizytę.

Bezwład ustępował wolno. Gdy jeszcze nie mogła się poruszyć, usłyszała jak Noran ześlizguje się z pnia i chowa w bagnie. W końcu mogła mówić.

– Dziękuję ci. To było niezapomniane. Wiesz, one są samotne – tak jak ty... czy ja.

Czucie ciała powróciło już całkowicie. I wtedy zlękła się, gdyż w głowie rozszalał się piekielny huragan, a w ręce i nogi wgryzły się tysięczne zastępy zabójczych mrówek.

– Przyjdziesz jeszcze? – zapytał niepewnie Noran.

Chwilę trwało nim na tyle opanowała ból, iż mogła mu odpowiedzieć bez drżenia w głosie.

– Przyjdę.

– Będę czekał. Teraz powinnaś już wracać. Przeprowadzę cię.

– Tak.

– Zestaw stopy. Przeniosę cię na grzbiecie. Ty tylko utrzymuj równowagę.

Arianna przestraszyła się, lecz zaraz zrozumiała, że to jedyna szansa powrotu. Noran jakby nie dostrzegał jej wycieńczenia, a ona bała się do tego przyznać.

Wysunęła bosą stopę, aż wyczuła opór miękkiego ciała. W tej samej chwili przebiegł przez nie pojedynczy dreszcz skurczu i naraz stwardniało. Śmielej postawiła drugą stopę i odepchnęła się od pnia. Gdy ruszali, lekko odchyliła się do tyłu, ale później Noran posuwał się tak łagodnie, że gdyby nie wędrujące płomyki bagien, sądziłaby, iż stoją w miejscu. Nastąpiło powtórne szarpnięcie. Zrozumiała, że się zatrzymali.

– Możesz już skoczyć w trawę. Jest o krok.

Skoczyła... i rzeczywiście znalazła się na łące. Odetchnęła z ulgą. Kilkakrotnie wciągnęła głębokie hausty powietrza, ostatnie mrówki odpadły z jej ciała. Naraz przypomniała sobie o Noranie. Odwróciła się.

– Jesteś jeszcze?

– Tak.

– Dziękuję ci... Przyjdę. Na pewno!

– Do zobaczenia, Arianno.

– Do jutra, Noran.

Zakotłowało się bagno. Przez chwilę nasłuchiwała, czy wynurzy się w innym miejscu. Bezskutecznie.

Do osady zdążyła dotrzeć jeszcze przed świtem. W korycie z deszczówką opłukała twarz i nogi. Wślizgnęła się do szałasu i delikatnie ułożyła obok rozpalonego ciała siostry. Ta mruknęła tylko przez sen i objęła ją ciężkim ramieniem.

Zanim zasnęła, wsłuchała się w świszczące oddechy śpiących. W sen zapadła z rozpogodzoną twarzą.

Lepsze niż CZŁOWIEK...



Japońska piosenkarka Jen Togawa z elektroniczną protezą

Hajime Sorayama

– Wstawaj! Czy już się zastanowiłaś?

Natarczywy głos matki wdzierał się w sen, silna dłoń szarpiąc ramię roztrzaskała wizję. Zrezygnowana Arianna odwróciła się w jej stronę. Nie wiedziała co odpowiedzieć.

– O Boże! Jak ty wyglądasz?! Pokaż się w świetle.

Odcień autentycznego niepokoju w głosie matki sprawił, że szybko wstała i wyszła za nią na zewnątrz. Matka zaczęła uważnie badać każdy cal jej ciała.

– Zagubiłam się na bagnach... – próbowała ją uspokoić, lecz matka odgarnąwszy włosy spytała stanowczo.

– A ta blizna? I z tej strony?

Arianna pochyliła się nad lustrem wody w korycie. Po obu stronach skroni widniały sine plamki, nie większe od orzecha laskowego. Pojęła skąd te krwawe ślady, lecz nie mogła nic powiedzieć.

– Widocznie się uderzyłam... – skłamała, siląc się na beztroski ton.

Matka tylko fuknęła z irytacją. Nie zdążyła jednak przystąpić do dłuższej tyrady, gdyż zobaczyła zbliżającą się sąsiadkę. Odepchnęła córkę w stronę szałasu, szepcząc złowieszczo.

Idź się porządnie wyszorować. Porozmawiamy potem!

Arianna z radością pochwyciła przybory do mycia i szybko pobiegła nad rzekę.

Węgiel drzewny pękał w palcach, gdy szorstkimi ruchami wcierała go w sztywną skórę. Jeżeli nagromadzone odłamki przesłaniały rysunek, energicznie zdmuchiwała je lub potrząsała ramą i nie zmieniając tempa pracowała dalej.

Nagle nad ramą zawisł cień. Arianna błyskawicznie nakryła ciałem rysunek przed wzrokiem bezszelestnego intruza.

– Pokaż, co tam mażesz!

Z młodszą o sześć lat siostrą nie można było dyskutować. Zawsze bez żenady sięgała po to, czego zapragnęła. Jej pulchne, lecz chciwe palce, już szarpały róg ramy. Pomimo niechęci Arianna ustąpiła, z zaciekawieniem spoglądając na reakcję pierwszego widza.

Siostra rzuciła tylko okiem na rysunek i z grymasem pogardy cisnęła ramę w piasek.

– Cóż to za przedziwny stwór?! Okropny! Taką skórę zepsuć.

Arianna pokornie podniosła ramę i ostrożnie zaczęła wytrzepywać ziarenka piasku.

– To można zetrzeć...

– Zetrzeć?! Zetrzeć?! – przedrzeźniała ją. – To tata „zetrze" ci tyłek! Bądź pewna, że dokładnie.

Siląc się na spokój wydmuchiwała ostatnie ziarenka. Jedynie całkowita bierność mogła zniechęcić siostrzyczkę do dalszych uszczypliwości.

A zresztą... możesz sobie bazgrolić... – siostra niespodziewanie zmieniła ton. Zapewne chowała coś w zanadrzu. Arianna jeszcze mocniej pochyliła głowę, udając, że nic ją to nie interesuje. – Już za tydzień będzie cię karcił mąż! Tylko kilka dni zostało ci na głupie zabawy...

– Skąd o tym wiesz!?

Mhhhmm... Siostra wydęła policzki. Arianna w duchu przeklinała brak opanowania: teraz zacznie się cały cyrk. Lecz tym razem siostra zaprzestała starych sztuczek. Niespodziewanie zapłonęła gniewem, wyrzucając zjadliwie: Przez ciebie śmieją się ze mnie wszystkie dziewczyny! Od roku powinnam mieć już męża, ale ten twój upór... Powiedziałam to wczoraj tacie i obiecał mi, że bez względu na twoje fochy, ślub odbędzie się za tydzień! A potem mój... dodała rozmarzonym głosem, okręcając tłuste ciało na pięcie niczym baletnica. Potem zaczęła się śmiać Dobrze ci tak!

– Ty...! Ariannie zabrakło słów. Poderwała się z ziemi i roztupała ramę na głowie siostry. Ta przez chwilę stała oszołomiona bez ruchu, lecz zaraz potem wybuchła takim szlochem, że aż ptaki zerwały się z drzew, uciekając od powstałej wrzawy. Arianna pognała za nimi, byle dalej od siostry.

Tak długo przypatrywała się pracy wyplatacza koszyków, aż bez posądzenia o brak taktu mogła zacząć rozmowę. Bo chociaż jego zajęcie zawsze fascynowało Ariannę, to teraz śledziła jego ruchy w roztargnieniu. Pytania były silniejsze.

– Wiesz dziadku, poznałam kogoś dziwnego.

Tak...? – Zgrabiałe palce nie przestały zręcznie przekładać pędów wikliny. A gdzie?

– Daleko... Daleko od północnego wzgórza skłamała.

Obcego?

– Nie wiem. Słyszałam tylko głos.

– Uważaj! – Starzec zanim sięgnął po następną wiązkę, spojrzał na nią przenikliwie. – Uważaj, kimkolwiek ta istota jest człowiekiem czy szatanem. Źle by się stało dla osady, gdyby porwał cię w swoje szpony.

– Czy ja wiem... Dlaczego dziewczyna kończąc osiemnaście lat musi wejść do namiotu męża?! I dlaczego wpierw narzeczony ma obowiązek złożyć posag u stóp swej wybranki? A czyż dzieci nie mogą się bawić nawet o dzień dłużej niż równiutko osiem lat? Czy zaraz następnego dnia po tych urodzinach muszą stanąć do pracy przy boku rodzica?! Każda nasza czynność musi być wykonana dokładnie w oznaczonym czasie. Ani dzień wcześniej, ani dzień później. Dlaczego?!

– Nadal go kochasz?

– Chyba nawet nie... Rzecz w czym innym... – Speszyła się. Jeszcze raz spojrzała na jego powykręcane ze starości palce. – Dlaczego dopiero teraz, kiedy już ci sił brakuje, pozwolono ci wyplatać tak piękne kosze. Kosze, które każdy chce mieć w swoim domostwie? Czyż nie żal ci tych lat straconych i tych koszy nie wyplecionych?!

– ...I dlaczego tobie nie wolno malować! Tak? Zaśmiał się.

– Nie... A właściwie – tak! Temu, czego rzeczywiście pragniemy, możemy oddać kilka pierwszych lat życia, jeszcze nieśmiałych i nierozważnych; oraz kilka ostatnich, już zgorzkniałych i niezgrabnych. Dlaczego tak jest?!

– Bo to jest dobre. Tak chciał Bóg. Jeżeli na starość mamy jeszcze tyle sił, że możemy innym ubarwić życie – to dobrze. Ale jeżeli brakuje nam sił lub zdolności – to też dobrze, gdyż to co mieliśmy zrobić, już wykonaliśmy... – Starzec odsunął skończony kosz i sięgnął po cybuch i kopeć. Gdy aromat fajki rozwiesił się wokół nich, mówił dalej: Nie stworzono nas po to, abyśmy ulegali ulotnym zachciankom. Przez całe życie przygotowujemy się na spotkanie z Nim. Dążymy ku Niemu drogą oczyszczoną przez przodków z ostrych kamieni, o które moglibyśmy się skaleczyć. Gdybyśmy chcieli podążać własnymi ścieżkami, obrazilibyśmy pamięć praojców – oni swe życie poświęcili, by nam było lżej. Powinnaś zaufać tym, którzy cię wybawili; cieszyć się szczęściem, jakie ci podarowali. A jeżeli czasem jest ci ciężko, trudno ci odnaleźć wiarę to pomyśl o brzemieniu, jakie oni dźwigali i o tym jak cienka granica dzieli nas od zła. Ono wciąż czyha na chwilę naszej słabości, wyszukuje najsłabsze ogniwo, aby się przedrzeć i rozpełznąć wśród nas wszystkich. Już raz omamiło cię fałszywym blaskiem. Nie daj się zwieść po raz drugi! Odegnaj nierozważne myśli od siebie, zaufaj praojcom. Oni wywiedli nasz szczep z siedliska zepsucia, jakim była Ziemia; odnaleźli i podarowali tę oazę zagubienia i pokory, byśmy nie doświadczyli tego, co było ich udziałem. Urodziłaś się już tutaj i nie znasz prawdziwego oblicza zła. Lecz czyż nie jest dowodem, że droga jaką nam wskazali jest słuszna, skoro Ziemia umarła w popiele, a my żyjemy pośród rozbujałej przyrody? Czy to...!

Starzec urwał. Niewiele z jego słów dotarło do dziewczyny. Spróbował z innej strony.

– Jak byś się czuła, gdyby słońce świeciło w nocy, a gwiazdy w dzień?

Arianna roześmiała się.

– Ależ to to samo. Tyle że odwrotnie.

– Nie! Odkąd Bóg stworzył świat, noc jest porą odpoczynku, a dzień czasem pracy. Wyobraź sobie, że budzisz się rano, chcesz wyjść w pole, a tu ciemno... Na Ziemi...

Arianna tylko cichutko westchnęła i udawała, że pilnie słucha.

To dziwne, ale bała się, idąc przez gęsty i mroczny las na drugie spotkanie z Noranem. Wiedziała, że gdy przedrze się przez cierniste krzewy, wyjdzie na polanę i usłyszy jego głos, lęki odpłyną. W tej chwili jednak trwożliwie oglądała się za siebie, a gdy trzasnęła gałązka pod jej stopą, odskakiwała w bok jak oparzona. A jeżeli w twarz zaplątywała się pajęczyna, wymachiwała gwałtownie rękoma. Najgorsze, że nie wiedziała czego się boi: czy groźnych, jak najbardziej realnych, krwiożerczych bestii budzących się na nocne łowy; czy też postaci Norana, przyjaznej, ale nieznanej.

Z olbrzymią ulgą puściła ostatnią gałąź, która z drapieżnym chrzęstem wróciła na swoje miejsce. Kilkanaście metrów do granicy bagien przebiegła już lekko.

– Hej! – zawołała, przykładając dłonie do ust.

Tadeusz MESZKO

Ur. 4 X 1957 r. w Sławnie. W 1984 r. ukończył Wydział Radia i Telewizji (kierunek operatorski) Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Debiut fantastyczny w tym samym roku na łamach „Przeglądu Technicznego" opowiadaniem „Mózg pełen myśli". Pracuje w opolskim Teatrze im. Jana Kochanowskiego jako fotograf.

(mo)

Noran nie odpowiedział od razu. Wpierw usłyszała stłumiony chlupot gdzieś w środku bagien, a po denerwującej pauzie następny, tym razem szalenie ostry, tuż u stóp.

- Witam cię, Arianno. Był to najdłuższy dzień w moim życiu... – głos emanował radością, lecz pod tą donośniejszą tonacją Arianna wyłowiła drobniutkie rysy, jakby poczucia winy. – Bałem się, że nie wrócisz.

Pomyślała, że to odpowiednia chwila, aby rozproszyć wątpliwości.

– Zabronili mi tutaj przychodzić.

– Tutaj?! – przerwał jej przerażony. – Powiedziałaś gdzie?

– Nie... nie powiedziałam. Zabronili mi wychodzić poza obręb osady... – zaplątała się w tłumaczeniu; przerwała, poszukując słów przed wypowiedzeniem najważniejszego. Nieśmiało zaczęła. – Zostawiasz ślady na moim ciele...

Wtedy zrozumiała, że wcale tego nie chciała powiedzieć. Ale to się stało.

- Wiem... – mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. – Inaczej nie potrafię.

Usłyszała jak błota wolno zasklepiają się nad nim. Zanurzył się. Odszedł.

– Nie martw się. To nic. Nieważne przepraszała, wyjaśniała, prosiła. – Nic nie może zmienić mego postanowienia. Dajesz mi coś więcej.

Uklękła. Pochylając się nad czarną mazią, zagłębiała w niej dłonie, chcąc go pochwycić i powstrzymać przed odejściem. Nie udało się. Dłonie wyciskały tylko szlam. Przysiadła na piętach, z pustką w głowie.

Zza chmur wyjrzał równie pusty księżyc. Patrzyła w jego martwą tarczę, zimną i nieczułą.

Wreszcie usłyszała Norana.

– Lecz to będzie narastać. Im więcej odkryję przed tobą, tym większy będzie ból...

– Chcę tego.

– To, co ci proponuję jest jak narkotyk. Wpierw jest przyjemnością – później staje się koniecznością. Nie będzie odwrotu. Z tej ścieżki nie można zboczyć, lecz i nie można być pewnym, że doprowadzi do celu... Przynosi jedynie cierpienie, niepewność i strach.

– Już mnie na nią wprowadziłeś. Chcę iść dalej.

– Wszyscy odwrócą się od ciebie. Będą cię wyśmiewać, potem zaczną pluć na ciebie, aż cię zabiją. Będziesz zawsze sama.

– Będę z tobą...

– To prawda. Jesteśmy sobie potrzebni. Ja bez ciebie zgnuśniałbym całkowicie w tym bagnie. Już zacząłem. Ty, Arianno, pobudziłaś mego ducha. Gdybyś teraz odeszła, zakopałbym się jeszcze głębiej.

– Ty też... Tak jak promienie słoneczne rozchylają płatki kwiatu po nocy, tak ty rozwarłeś mój umysł.

Wstała, czekając aż Noran podpłynie pod jej stopy. Gdy wyczuła, że jest już przy niej i czeka, aż wejdzie na jego grzbiet, powiedziała jeszcze:

– Wczoraj odkryłeś przede mną to, co zawsze było moim marzeniem. Lecz rozumiem, że to jedynie zabawa. Zachęta. Chcę, abyś dziś pomógł mi zrozumieć, czym naprawdę są gwiazdy na niebie.

– Zrobię to! Przekażę ci wszystko co wiem, ale chociaż wiem wiele i przede mną są liczne pytania. Gdy zmierzymy się z nimi we dwoje – może na dalsze znajdziemy odpowiedź.

– Wierzę, że to możliwe!

Poświata księżycowa wydobywała z mroku sylwetkę sunącej po bagnie dziewczyny. Z uniesioną głową, patrzącą śmiało przed siebie, nie zważającą na złośliwe jęzory błędnych ogników.

Ostrożnie, kontrolując każdy ruch oraz przytrzymując oddech, Arianna opadła na plecy. Nie wyzwoliła się jednak od bólu. Gdy plecy zetknęły się z puszystym posłaniem ze skór, poczuła to jak gwałtowny upadek na potłuczone szkło. Odpryski wczepiły się w ciało, raniąc jeszcze przez wiele minut, dopóki niby pijawki nasycone krwią same nie odpadły. Po chwili, gdy przewróciła się na bok, ten protestował falami gorąca i chłodu, wprawiając w drżenie całe ciało.

Czekała aż ból wygaśnie. Ciche głosy dochodziły przez cienką ściankę szałasu. To ojciec rozmawiał z kilkuletnim bratem. Arianna wyciągnęła dłoń i rozchyliła minimalnie skóry, aby ich obserwować.

– Musisz jej pilnować przez cały czas. Śledź ją! Zwłaszcza, gdy zbliża się wieczór. I gdybyś tylko zauważył, że chce odejść, masz ją powstrzymać lub zawołać mnie! Rozumiesz? – perswadował ojciec.

– Ale ona cuchnie... – Braciszek się skrzywił. – Ona jest taka stara i się nie myje, a ja muszę codziennie! – Przy okazji próbował coś wytargować.

– To nie od niemycia...– westchnął ojciec. – To od tych ran na głowie. Zbiera się w nich ropa.

- Widziałem! - odpowiedział triumfalnie chłopiec. – Tam się ruszają takie małe białe robaczki...

– Nie ma żadnych robaków! – krzyknął ojciec, ledwo powstrzymując się przed uderzeniem syna. Malec przestraszył się i płaczliwym tonem zaczął wyjaśniać.

– Ale to siostra widziała... Tak mówiła... – Urażony ściągnął brwi i wbił w ziemię mściwy wzrok. Jednak gdy zobaczył, że ojciec się uspokoił i zaczął gładzić go po włosach, z nową nadzieją spojrzał w jego zatroskaną twarz. – Jestem jeszcze za mały, aby pracować. Kiedy będę się bawił?!

– To nie praca. Arianna jest chora i będziesz się nią opiekował.

– Ale powinienem się bawić. Już mi tak mało czasu do zabawy zostało...

– ...Dobrze. W nagrodę zrobię ci nową zabawkę.

– Taką, jaką będę chciał? – Malec przyskoczył do ojca i zaczął wykrzykiwać nazwy wszystkich zabawek, jakie widział u rówieśników.

Ból wzmagał się. Arianna musiała ponownie obrócić się na bok, który zdążył odpocząć. Zaczerpnęła powietrza i rozpoczęła obrót.

Wciąż spoglądała za siebie, sprawdzając czy fortel, dzięki któremu wyzwoliła się spod natarczywej opieki brata, powiódł się i czy przypadkiem teraz jej nie śledzi, aby później donieść ojcu, gdzie chodziła. Lecz na to był chyba za mały?

Cisza lasu i tężejący mrok tym razem były sprzymierzeńcami Arianny. Przezwyciężając ból, z radością pokonywała pustkę lasu, śmiało krocząc w kierunku bagien. W ciągu tych kilku dni poznała naturę lasu i nie bała się ciemności: skrzypiących drzew, popiskiwań wypłoszonych stworzonek nocy. A już najmniej bała się tego, co najbardziej przerażało dorosłych i dzieci – wszystkich prawdziwych i urojonych potworów. I gdy w górze wyczuła spojrzenie niewidocznych oczu, była już całkiem spokojna. Noran jej pilnuje, chociaż niewidoczny – jest przy niej.

Naraz usłyszała łomot spadającego ciężaru. Tuż przed nią przemknął cień i ujrzała dwa jarzące się, oplecione czerwoną siatką naczyń krążki. Przygasły na chwilę krótką jak mrugnięcie, a potem rozjarzyły się złowieszczo. Równocześnie uchwyciła gniewny pomruk i poczuła ciepły fetor uderzający prosto w twarz.

Borhas!

Zareagowała momentalnie. Wyrzuciła przed siebie ręce, rozcapierzone palce wbijając wprost w ślepia.

Borhas ryknął z bólu i wściekłości. Wyciągnął muskularne ramię, aby na pół przedrzeć to kąśliwe zwierzę, lecz pazury przeorały tylko powietrze. Nie widział. Ruszył na oślep, walcząc z wyrastającymi przed nim drzewami. Drapał, łamał, giął je. Lecz wciąż nie widział. Zatrzymał się, instynktownie czując, że w ten sposób jej nie złapie, a nawet pomoże w ucieczce. Zmienił taktykę. Wciągnął w nozdrza zapach i nastawił uszy, przeczesując ciszę wokoło.

Niestety, Arianna nie odbiegła daleko. Przy kolejnym kroku zahaczyła o wystający pień i teraz leżała na poszyciu, nie mając sił na dalszą ucieczkę.

Na tle szarego nieba dokładnie widziała sylwetkę borhasa. Człekokształtny, dwunożny stwór o ciemnym futrze ze srebrnymi pasmami, równie szybki na ziemi, jak i w koronach drzew, był największym drapieżnikiem grasującym w tych lasach. Atak z wysokości był jego ulubioną formą zasadzki. Dała się podejść... Gdy borhas szalał z wściekłości, łudziła się jeszcze, że mu ucieknie, lecz gdy zastygł przyczajony, poczuła, że przegrała.

Gdzie jest Noran?!

Borhas już pochwycił jej trop. Wydał z siebie ryk zwycięstwa – słynny śpiew śmierci; paraliżujący ofiary, a rozgrzewający jego krew. Wyrastający z cichego pomruku, sięgający wysokich tonów, uwieńczony opadającym szczekaniem, podobnym zawodzeniu psa. Ledwo zakończył pieśń triumfu, wolno ruszył w jej kierunku, przerzucając majestatycznie ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

Arianna chciała płakać, lecz łzy jakby się bały wypłynąć na policzki. Ciało zastygło w oczekiwaniu na cios. Pomyślała, że w osadzie zapewne usłyszano śpiew borhasa, lecz na pomoc współplemieńców nie mogła liczyć: śpiący na pewno głębiej wtulili się w posłania, szczęśliwi ze swego bezpieczeństwa.

Raptem, tuż przed Arianną, borhas zatrzymał się. Jeszcze tylko parę sekund i koniec...

Borhas wciąż nie ruszał się, dziwnie zastygły. Dostrzegła jego o wiele za duże, nastroszone ku górze niczym stożki rogów, ruchliwe uszy. Czyżby strzygł nimi w poszukiwaniu źródła dźwięku? Ona nic nie słyszała... Z wolna borhas rozwarł paszczę, marszcząc nerwowo górną wargę i odsłaniając szable kłów, wydał pomruk niezadowolenia. Co go powstrzymuje? Dwumetrowy stwór nagle skulił się, przypadł do ziemi, a potem raptownie skoczył na najbliższe drzewo i zaczął wspinać się i wspinać coraz wyżej, przez cały czas jęcząc ze strachu. To było niepojęte!

Arianna uniosła głowę, jak zahipnotyzowana śledząc ucieczkę nieustraszonego. Był już tak wysoko schowany w zwartej koronie liści, że słyszała tylko jego skomlenie. Coraz głośniejsze i rozpaczliwsze.

Wstała.

I wtedy coś ją skłoniło, by odwróciła głowę. Może był to szmer uschniętych liści, a może chłód obcości za plecami. Odwróciła się i w tej samej chwili upadła do tyłu, jakby pod piętami zapadła się ziemia. Zobaczyła bowiem coś, czego nie można sobie wyobrazić. Istotę tak niemożliwą w swym bycie, że tylko nasienie boskiego gniewu lub diabelski żart mogłyby ją począć. Nawet borhas sał

Lepsze niż CZŁOWIEK...



Chris Moore: reprodukcja – Zbigniew Latała.

wował się ucieczką, rozumiejąc, że jego okropność jest niczym wobec tego tworu. Arianna wiedziała, kto przed nią stoi, lecz ta świadomość wcale nie pomagała jej w opanowaniu strachu. Bała się bardziej.

Nie mogąc oderwać od Norana wzroku, tylko usłyszała przedśmiertny jęk borhasa, a zaraz potem trzask gałęzi pękających pod ciężarem jego ciała. Wzbiła się zamieć liści, które opadły w tanecznym locie na niegroźnego już borhasa. Zazdrościła mu, że tak szybko i cicho uwolnił się od Norana...

Zaczęła histerycznie krzyczeć. Nie mogła w milczeniu czekać na... Na co?! Na śmierć? On jej nic nie uczyni. Będzie żyła, lecz czy będzie potrafiła teraz znieść jego cielesną bliskość? Uspokoiła się, czekając aż pozostawi ją samą.

Noran przysiadł na ziemi, jeżeli to określenie można było zastosować do jego powłoki, i przekazał dziewczynie myśli ułożone w zdania, wprost do mózgu. Arianna dopiero teraz zrozumiała, że nigdy do niej nie przemawiał. Odbierała tylko projekcję myśli, pełną barw i odcieni.

– Życie jest pasmem zdarzeń przypadkowych. Wyszłaś dzisiaj o wiele wcześniej niż zwykle i powinienem już z niecierpliwością oczekiwać na ciebie, gdyż zawsze towarzyszyłem ci w drodze na bagna. Lecz tym razem zaplątałem się we wspomnieniach i straciłem rachubę czasu... Nasze odmienne postępowanie wykorzystał borhas i... stało się.

Jego głos zawsze był nasycony uczuciami, lecz to co teraz odbierała, aż kipiało od boleści, samotności i goryczy.

– Miałem do wyboru dwie możliwości. Obie złe... Gdyby nie moja pomoc, rozszarpałby cię borhas i utraciłbym twoje życie, twoją żywotność... Pomogłem ci, zobaczyłaś mnie i... też cię utraciłem, twoją nienasyconą ciekawość i zaufanie. Muszę ci powiedzieć... – przerwał na chwilę, a ona wyraźnie wyczuła w nim walkę ironii z nienawiścią – ...że sam się sobą brzydzę!

Potem zrezygnowany odczłapał, odfrunął czy ośliznął się w stronę bagien.

Podjęła decyzję. Zrozumiała siebie, zrozumiała jego, zrozumiała chyba wszystko, co było do zrozumienia. Zdążyła go wyminąć i zagrodzić mu drogę, zanim na zawsze nie przepadł w bagnie.

– Nie masz racji! To prawda, że twój widok zaszokował mnie... – Zaplątała się i nagle wybuchnęła potokiem złości: – Jesteś obrzydliwy, potworny, szkaradny, obskurny... – zaczerpnęła tchu – ale jesteś także... wspaniały!

– Wspaniały?! – Zaśmiał się. – Powiedz lepiej jeszcze: plugawy, haniebny, ordynarny...

Potakiwała głową.

– To wszystko prawda. – Zbliżyła się. – Jest w tobie jedno i drugie... Bo ja... bo ja po prostu kocham cię!

– Nie naigrywaj się! – odebrała kategoryczny nakaz ustąpienia mu z drogi. Zaparła się mocniej. – Pozwól mi odejść. – błagał.

– Nie! Naprawdę cię kocham! Kocham to, co jest w tobie. Twoja zewnętrzna powłoka ukrywa największy skarb... i może dlatego tak być musi, aby nikt nie podejrzewał tego bogactwa?

– To trochę inaczej – mruknął cicho.

Arianna zrozumiała, że zwyciężyła. Może Noran w tej chwili jeszcze o tym nie wiedział, ale i on w końcu uwierzy w szczerość jej wyznania.

– Kto cię tak okaleczył?

– To długo historia... – Odszedł i przysiadł na trawie. Nie próbowała podejść, gdyż rozumiała, że potrzebuje dystansu. – To długa historia... z innych czasów, z innej przestrzeni...

– Opowiedz.

– To przykre...

– Przepraszam.

– ...Lecz zawsze chciałem, abyś ją poznała.

Żyłem w świecie całkiem odmiennym od twego. Byłem samą myślą, bez ciała... Narodziłem się z myśli, która się dokonała; umarłem, gdy odnalazłem dopełnienie; żyję poszukując celu... Mogę tak o sobie powiedzieć, gdyż nie mając ciała nie zna się pojęcia czas. Bez czasu nie istnieje przestrzeń. W takich warunkach – bezcielesności, bezczasowości, bezwymierności – istnieje tylko myśl. Była ona moim bytem i celem. Według tobie dostępnych pojęć byłem Bogiem i Szatanem!

Lecz nie posiadając ciała, nie rozumiałem także pojęcia ograniczeń czy konieczności, nie rozumiałem, co to sumienie.

Dlatego też, gdy w chwili narodzenia–życia–śmierci zetknąłem się z istotami cielesnymi, nawet nie miałem szans pojąć, że owe twory mogą posiadać jakieś kanony postępowania, bariery regulujące granicę poznania, której przekroczenie może być zabójcze dla ich ciał. Duch jest nieśmiertelny, lecz ciało nie...

Ze wszystkich istot cielesnych najbardziej zaintrygowali mnie ludzie – podróżnicy zamknięci w kropli swego świata podążającej do innych światów, by je zbadać. Jakże śmieszni mi się wydali. Podług moich możliwości byli bezsilni, bezradni – a w swoim mniemaniu czuli się tacy dumni, odważni. Postanowiłem z nich zakpić. Pozwoliłem im na pewien czas stać się mną! Wtedy wydarzyło się to, czego bardzo długo nie potrafiłem zrozumieć. Otóż wszyscy, w jednej chwili, zdecydowanie odrzucili mój dar! Woleli umrzeć... Kropla z martwymi już ciałami nadal wędrowała bezkresem przestrzeni, a ja zastanawiałem się dlaczego tak uczynili. Spodziewałem się całkowicie odmiennej reakcji. Sądziłem, że gdy powrócą do swoich ciał będą błagać mnie, abym zezwolił im chociaż na moment dostąpić daru... Nie wiem jak długo jeszcze roztrząsałbym ich postępowanie, gdybym nie spróbował wejść w jedno z opuszczonych ciał... Dopiero wtedy zrozumiałem ich postępowanie.

Dla mnie kruchość trwania ich bytu była ograniczeniem – lecz to była ich siła! Mając wszystek czas do dyspozycji, nie potrzebowałem liczyć upływających eonów, a jednocześnie trwoniłem je w każdej chwili. Każdy z nich, w swym mikroskopijnym życiu dokonywał więcej, niż mogłem dostąpić ja w przeciągu wieczności.

Konieczność przebywania w określonym czasie i przestrzeni wydawała mi się ciężarem, lecz dla nich była źródłem satysfakcji. Gdyż ja, będąc wszędzie – nie byłem nigdzie! Oni pokonując w mozole przestrzeń, tym lepiej poznawali każdą drobinkę świata.

Przez swą próżność odebrałem im cel życia, nie dając nic w zamian. Dlatego wybrali śmierć... Stali się w ten sposób mymi nauczycielami, zrozumiałem, że nierozważnie zdeptałem coś pięknego.

Straciłem się w twój czas, w to bagno, wymyśliłem to ciało, aby w samotności wielokrotnie przeżywać swą winę.

Arianna długo trawiła w sobie opowieść Norana. W końcu zapytała:

– Czy kiedyś nas porzucisz?

– Nie! Teraz wiem już na pewno, że moje miejsce jest tu. W tym ciele. Długo tego nie rozumiałem. Mimo iż sam siebie skazałem, nie mogłem się z tym pogodzić. Dzięki tobie zrozumiałem, że byłem wybrykiem natury i dobrze się stało, że zamknąłem się w bagnie, w szkaradnej powłoce. Już i tak wiele złego uczyniłem.

– Mógłbyś też zdziałać wiele dobrego...

– Nie! Myśl powinna mieć okowy. Czy to cielesne czy... przeciwmyśli... Bez tego balastu jestem zbyt potężny. Pozostaw mnie samego już do końca moich dni.

– Ja mogłabym być twoim strażnikiem i... towarzyszem jednocześnie?

Zastygł na chwilę, zaraz się jednak otrząsnął. Jego reakcja wstrząsnęła Arianną.

– Nie! Nie zasłużyłem na twoje zaufanie.

– Posłuchaj! Nie chcę przekonywać cię na siłę. Mam lepszy pomysł. To ja będę sprawdzianem, czy odkupiłeś winę.

– Brzydzę się czymś takim!

– Wysłuchaj mnie. Jeszcze nic nie powiedziałam. – Wciąż był zaślepiony w nienawiści do siebie, więc musiała dać mu szansę, nim spróbuje uciec od niej na zawsze. Wstała i podbiegła do bagna, zagradzając drogę ucieczki.

– Posłuchaj. Teraz odejdę i jeżeli do jutra nie powrócę, będzie to oznaczało, że moje wyznanie było kaprysem chwili. Słowem rzuconym na wiatr – poruszył się niespokojnie, więc szybko dokończyła – lecz jeżeli stanę jutro na brzegu tego bagna i zawołam cię, będzie to oznaczać, że moje uczucie jest prawdziwe! Twoja wina będzie zmazana!

Zakołysał się, ale nie czekała na reakcję. Najszybciej jak potrafiła, odbiegła w las. Bała się, że mimo to krzyknie w jej mózg, że nie zgadza się, że nie przyjmuje jej warunków.

– **T**o musi się skończyć! Nie próbujcie we mnie wmawiać, że ona cierpi! Jeżeli ktoś chadza ścieżkami Szatana, nie szanując przykazań boskich – to musi cierpieć! A mówiąc, że to musi znaleźć koniec, nie mam na myśli jej bólu, lecz jej diabelski wpływ na innych. Nigdy dotychczas nie zdarzyło się, by w kimkolwiek z nas rozpanoszyło się takie zgorszenie. Byliśmy zawsze pobożnym ludem... Jeżeli jej nie powstrzymacie, nienawiść Boga spadnie i na nas! Powstrzymajcie ją dopóki nie jest za późno!

Rodzice Arianny, wystraszeni i zawstydzeni, stali pokornie przed kapłanem osady. Ten trząsł z oburzenia obwisłymi policzkami i machał sękatą laską. Byłby śmieszny, gdyby nie groźba zawarta w jego słowach.

– W nocy, niedaleko osady, słyszano borhasa. Najpierw śpiew triumfu, a później zawodzenie śmierci. Ciekaw jestem, co tam się wydarzyło. Hę? – Spojrzał na nich, jakby mogli znać odpowiedź. Wtulili więc mocniej głowy w ramiona, a on mówił dalej: – Posłałem do lasu waszego... hmmm, waszego niedoszłego zięcia. Zaraz powinien wrócić. A właśnie! Kilka dni temu minął ostateczny termin ślubu... Hę?

– Nasza córka umiera... – powiedział ojciec. – Nie pora o tym mówić!

– Umiera... nie pora... – przedrzeźniał go kapłan. – A może właśnie jest pora. Najwyższa! – Zaczął gniewnie uderzać laską, lecz zaraz przestał i spojrzał chytrze. – Bo jeśli umrze... będziecie musieli zwrócić wszystkie podarki. Nie byłoby to przyjemne, hę?

– Nie możesz nam powiedzieć, że nie uczyniliśmy wszystkiego, aby doprowadzić do tego związku! – wybuchnęła matka.

– Nie mogę?! – Kapłan aż zatrząsł się z oburzenia.

Naraz zobaczyli biegnącego w ich stronę wysłannika. Wymachiwał nad głową jakimś przedmiotem. Po chwili był przy nich. Podał kapłanowi fragment tkaniny, a sam, łapiąc oddech, mówił.

– Zna... znalazłem martwego borhasa. A obok ten materiał... – Spojrzał na niedoszłych teściów. Doskonale zrozumieli jego wzrok, gdyż był to strzęp sukni Arianny. Chłopak ponownie zwrócił się do kapłana: – To dziwne, graniczące wprost z cudem, lecz na ciele borhasa nie dostrzegłem żadnych śladów walki. Tak jakby zmarł ze starości – choć był młody, albo ze strachu – lecz cóż może przestraszyć borhasa... To niesamowite!

– Tak... To kropla, która przepełnia czarę!!!

– Pozwól nam... – zaczął ojciec, lecz urwał przeraziwszy się wzroku kapłana. Matka znalazła w sobie więcej odwagi i dokończyła: – Pozwól nam porozmawiać z nią wcześniej. Tylko przez kilka minut. Potem nie będziemy się wtrącać.

Chłopak drgnął, lecz wymieniwszy spojrzenie z kapłanem, uspokoił się.

– Dobrze – kapłan kiwnął głową – dobrze... W tym czasie przyniesiemy borhasa. Lecz on pójdzie z wami! Należy mu się.

Wiedzieli, że rozmowa skończona. Przytaknęli i tak zadowoleni z tego co osiągnęli.

Popołudniowe słońce swoim ciepłem i spokojem rozleniwiło całą przyrodę. Wolno toczyły się wody rzeki, lśniąc tysiecznymi załamaniami drobnych fal; na tyle jednak łagodnie, że nie raziły oczu, a tkały pajęczynę światła, delikatną i zwiewną... Natomiast wiatr ospale potrząsał liśćmi, bardziej dla zabawy niż w porywach złości, komponując muzykę ciszy i przemijania.

Arianna odpoczywała przed chatą na specjalnie w tym celu wyniesionym posłaniu. Po szyję zakryta miękkim futrem, z głową owiniętą bandażami, chłonęła świat wokoło.

Na długie chwile zapominała o bólu. O chłodzie, który przenikał przez każdą zaporę, aby lężeć we krwi, rozrywając ścieżki życia. O trawiącej ją gorączce, wypalającej wyrwy nie do zasklepienia. Zapominała, gdyż duszą była na bagnach, wyznając miłość po zwycięskiej próbie.

Rodzice stanęli nad łożem gasnącej córki, nie mając sił przeszkadzać jej w wędrówce. Jednak narzeczony pałał chęcią odwetu, czy może udowodnienia swej miłości i odezwał się szorstko.

– Dlaczego nieustannie odrzucasz mą miłość?! Dlaczego, mimo że ofiarowywałem ci wszystko co mam, ty unikałaś, poniżałaś mnie? Dlaczego nie chcesz wejść do mego szałasu, urodzić mi dzieci, troszczyć się o ognisko naszej miłości?! Dlaczego?

Arianna wolno odwróciła głowę. Przez chwilę pogodnie spoglądała na niego, a potem zwróciła wzrok na matkę.

– Dlaczego zawsze byłaś nam obca? Dlaczego starałaś się być inna, niż twa siostra czy brat? Dlaczego każde twoje działanie wywoływało ciąg trosk, goryczy i bólu w naszych sercach? Dlaczego niszczyłaś swe ciało – ciało, które ci daliśmy? Dlaczego, przecież jestem twoją matką?!

Matkę odsunął ojciec.

– Dlaczego chcesz wszystko zmieniać? Dlaczego uganiałaś się za czymś, co nic nie jest warte, odtrącając to, o czym wiemy, że dobre? Dlaczego poszłaś za czymś, przed czym zawsze cię strzegliśmy? Dlaczego nie uszanowałaś uczuć, wiary, które ci przekazaliśmy?

Spróbowała podnieść ciało, oprzeć o pień drzewa, lecz jej głowa zaraz opadła. Mimo to powiedziała.

– Niczego nie zrozumieliście... To prawda, że daliście mi życie. Jestem wam za to wdzięczna. Lecz to nie oznacza, że możecie mną kierować tak, jakbyście chcieli – gdyż nie daliście mi nic więcej poza życiem! To prawda, że ofiarowałeś mi uczucie, lecz rozważ je dobrze, a może zobaczysz czym ono w istocie było! Cóż daliście mi wy wszyscy, strażnicy tradycji i świętości?! Błądzicie w mroku, a wydaje się wam, że przewodzi wam pochodnia zrozumienia. To prawda, że ofiarowałam swe życie istocie, która je pożerała. Lecz byłam szczęśliwa, gdy to czyniła. Dała mi więcej niż ktokolwiek z was! Tylko ona mi pomogła. Pozwólcie mi chociaż umrzeć w spokoju.

Odeszła.

A oni wciąż stali, czekając na odpowiedź.

Poszybowała nad bagna.

Zlokalizowała myśli Norana i podążyła ku nim. Nie wiedział, że ona jest tak blisko. Emanował tęsknotą, miłością i samotnością. Weszła niezauważenie w jego umysł i zawołała wesoło.

– Już jestem głuptasie.

Nieomal zaskamlał z radości.

– Przyszłaś... Do mnie?

– Tak. Możemy stąd odejść. Już nic mnie tu nie trzyma.

– Dokąd?!

– Tam, gdzie nas potrzebują.

– Dobrze. Chodźmy!

– Chwyć mnie za rękę.

– Jesteś ciepła. Jesteś piękna!

Nagle Arianna przypomniała sobie o czymś ważnym:

– Zaczekaj!

– Tak?

– Zacznijmy od tego drzewa. Niech będzie dla nas próbą. Chciałabym, aby ten dąb... – Zamilkła niepewna.

– Nie wiem czy nam się uda?

– Spróbujmy – poprosiła.

– Spróbujemy! – zgodził się.

Wiele sił i czasu poświęcili, nim dąb niepewnie wyprostował pień, nim oczyszczone korzenie nie zaczęły na powrót wysysać życiodajnych płynów, przekazując je dalej do ocalałych gałęzi. Wciąż jednak byle podmuch wiatru mógł powtórnie pogrążyć dąb w mule. Czekali więc, nie mogąc się zdecydować, czy pozostawić go już własnemu losowi.

Aż pewnego dnia na niebie zakołowały dwie sylwetki potężnych ptaków. Jeden z nich obniżył lot i przysiadł na gałęzi. Zatrzepotał skrzydłami i przefrunął na inną. Dziobem zaczął opukiwać korę. Był młody i szukał miejsca na swe pierwsze gniazdo. Arianna i Noran z drżeniem obserwowali jego poczynania, lecz gdy ptak uniósł głowę w górę i zaklekotał, przywołując towarzyszkę, napięcie wielu dni zniknęło. Noran powiedział:

– Jeżeli te ptaki zdecydowały się założyć tu gniazdo, możemy odejść. Dąb będzie trwał jeszcze wiele lat i bagno nie powali go powtórnie.

– Masz rację. Chodźmy.

Noran porzucił swą powłokę i złączeni pomknęli przed siebie, a drzewo zaszumiało im na pożegnanie. Delikatnie, aby nie wypłoszyć ptaków.

Tadeusz Meszko

PIEŚŃ KATA

CZYLI MOJE WIDZENIE FANTASTYKI

Marek Oramus

Sześciu facetów rzuciło się, żeby mnie powalić – a są wśród nich tęgie osiłki. Za pretekst posłużyły im niewinne rozważania o skłonności do grzechu pewnego umiłowanego przez nas wszystkich gatunku literackiego. Ja ze swej strony musiałem jakoś odwarknąć – i tak doszło do tej wymiany zdań.

● ● ●

I

Wbrew pozorom nie czuję się dotkliwie obity. Najbardziej merytoryczne – o paradoksie – okazały się dla mnie uwagi Lecha Jęczmyka, który pochylił się nad tajemnicą słowa i przy okazji sprzedał całą gromadę frapujących faktów i spostrzeżeń. Porządnie też – mam wrażenie – wywiązał się z zadania krytyka Maciej Parowski. Natomiast teksty Leszka Bugajskiego i Andrzeja Niewiadowskiego mocno mnie rozczarowały, gdyż poza postawieniem grubej kreski na moich „Grzechach" nie znalazłem w nich nic. Rafał Ziemkiewicz dokuczył mi tylko bezinteresowną zawziętością, u niego sporo miejsca zajmuje ustalenie, jaki gatunek piśmiennictwa reprezentuje mój szkic i pod jakim nagłówkiem redakcja nie powinna go drukować, a także wynurzenia, co sam kiedyś napisze na ten temat. Wreszcie Adam Hollanek jakby przyglądał się z dystansu pracy swoich ludzi, traktując nasze spotkanie jako okazję do wygłoszenia kilku uwag ogólniejszej natury.

II

W ten sposób udało mi się ustalić, że bije mnie nie sześciu lecz czterech; spośród czwórki zaś jeden lekko, a jeden nieumiejętnie. Podstawowym zarzutem formułowanym przez Parowskiego, Niewiadowskiego, Bugajskiego i Ziemkiewicza jest anachroniczność moich diagnoz. Polska fantastyka naukowa tak się radykalnie przeobraziła w kilka lat, że już takich błędów nie można jej wytknąć, najwyżej inne (ale jakie – sygnalizuje tylko Parowski, wzmiankuje Ziemkiewicz). Wszyscy zdają się przychylać do opinii, że nastąpił epokowy przełom (a kto wie, czy nie Przełom), polska SF odnowiła się, zrzuciła skórę („wylinkę" – Parowski) i jest już w innym miejscu, ja zaś tę skórę (wylinkę) trzymam w palcach jak zużytą prezerwatywę i miotam gorzkie słowa na temat węża.

Ha, można i tak. Pewnie, że gdybym zrobił wyraźne zastrzeżenie czasowe, byłbym chroniony lepiej. Nie zrobiłem – mój błąd. Potraktowałem polską SF jako całość, i tak tę całość nadal widzę. Przełom (ale jaki przełom? coś się najwyżej kluje, a ci od razu: przełom), jeśli się nawet dokonał, powinien zostać oddany w pacht krytykom za lat dwadzieścia. Wyrokowanie ad hoc o jego nadejściu, swoistościach, a zwłaszcza rozmiarach jest zajęciem wysoce ryzykownym; gdy zaś proklamują go faceci z pretensjami do odegrania roli, brania udziału, kibicowania etc. – dodatkowo niesmacznym. Ach, jak my lubimy przełomy, a lat już mamy tyle, że wypadałoby wywołać chociaż z jeden... Jeżeli jednak te sześć czy dziesięć książek uznać za wystarczający powód do ogłoszenia rewolucji, za burtą pozostaje dziesięć razy tyle utworów zwyczajnych, byle jakich, po prostu – wstyd powiedzieć – nieprzełomowych. Czy to nie o te nadal [illegible] opinię, zwłaszcza [illegible] zo- [illegible] [illegible]ków? A gdy dołożyć do te-gie połacie całej fantastyki powojennej, rewolucjoniści staną się kroplą w morzu. Jest to iskierka, z której może będzie jeszcze światło – lecz na razie tylko iskierka. I jak to jest, że wszyscy chcą gadać o „Limes inferior", nikt lub prawie nikt – o „Adarze", która nie odpowiada...

Otóż „Grzechy" dlatego były tekstem niemiłym, bo kwestionowały pośrednio powabną wizję przełomu. Także dlatego, że jakiś dewiator (do usług) programowo podszedł do problemu od strony szamba. Ale takie miałem wtedy upodobanie, taką potrzebę psychiczną, i wnioskowanie, że skoro pomysł ten nosiłem od roku 1978, to spisanie go po raz drugi w 1984, choć inaczej i w innym celu, nosi znamiona wyłącznie historyczne – takie wnioskowanie nie nadaje się nawet do obłarcia butów z obornika.

Uważam, że fantastyce socjologicznej przypisano przesadne znaczenie, czytelnicy i twórcy wskutek panującej sytuacji chcieli ją widzieć czymś więcej niż była. Teraz, niezależnie od naszych tęsknot, sprawy będą wracały na swoje miejsce, kto zaś tego nie akceptuje, będzie musiał cierpieć. W literaturze nawet w przypadku naprawdę wielkich łąpnięć to co było wcześniej nie idzie automatycznie na rozkurz, tradycja jest tu bardzo silna. Stare książki SF nie znikły z bibliotek, są nadal czytane i wznawiane, choć bywa, że pod presją czasu autorzy decydują się na zmiany. Jeśli więc trzymam „wylinkę", to dlatego, bo wąż jeszcze z niej nie wylazł do końca, ot wysunął się na centymetr. No i nie ma chyba w przypadku tekstu syntetyzującego (za taki uważam „Grzechy") innej możliwości niż koncentrowanie się na [illegible] ostatecznie zamknięte.

Nie moja wina, że pewne zgubne tendencje, które piętnuję, odradzają się jak feniksy. Mogę teraz zdradzić, że w grzechu BOHATER wykorzystałem oprócz poczciwego Pirxa – herosa z powieści Bohdana Peteckiego „Pierwszy Ziemianin" (lecz może on musiał być święty, skoro kosmici wzięli go za wzór matrycy nakładanej materii?). „Pierwszy Ziemianin", jedna z bardziej ponurych logicznie polskich powieści SF w ogóle, uzyskała wyróżnienie „Fantastyki" za rok 1983. Andrzej Niewiadowski, mocno wytykający braki moim „Grzechom", dowodzący, że dotyczą „fantastyki odchodzącej w przeszłość" – uczestniczył przecież w pracach tego jury i nic nie słyszałem o jego votum separatum. Ale jak to? „Fantastyka" nagrodziła „tendencję odchodzącą w przeszłość"? Czy to możliwe? Może ona nie taka odchodząca? Dobrze czasami obejrzeć belkę we własnym oku (kłopot, że za blisko?) zanim wbije się palce w oko bliźniego, by wyjąć stamtąd stokrotkę.

III

Drażniąco wiele miejsca w tych tekstach zajmuje dochodzenie, jaki był mój zamiar. *„Oramus (grzebie) polską science fiction"* (Niewiadowski). *„Oramus chciał zaatakować polską SF"* (Bugajski). *„Spodziewałem się po autorze czegoś więcej, ja kiejś rzeczowej analizy* (w syntezie?! – M.O.), *odpowiedzi na pytanie, dlaczego właściwie polska fantastyka jest taka kiepska jaka jest"* (Ziemkiewicz). *„Odpowiedzi takiej nie znalazłem, choć, jeśli się nie mylę, udzielenie jej leżało w zamiarach autora"*. Kochani, po co to kwilenie? Gdybym chciał coś grzebać, kopałbym dół; by atakować, czaiłbym się po konwentach z siekierą. Zrobiłem to co chciałem, jestem za stary, bym planował dziecko, a wychodziły mi skrzypce. Po co napisałem o grzechach? – z życzliwości dla polskiej SF. Także by zaspokoić pewne swoje prywatne potrzeby, o czym później.

Ubawiły mnie nieporozumienia ilościowe (Parowski, Niewiadowski, Ziemkiewicz). Sprowadzając je do wspólnego mianownika: grzechy może i się zdarzają, ale nie na tyle często, by było się czym przejmować. *„Oramus stroni od statystyki* – stwierdza triumfalnie Niewiadowski – *owe »Testy« i »Kosmosy« wcale nie stanowią większości"*. Cóż, niezmiernie się z tego cieszę. To optymistyczna wiadomość. Strach tylko i ciemno przed oczami, że Andrzej Niewiadowski lekko zafrasowałby się dopiero wtedy, gdyby stanowiły.

Pisze Rafał Ziemkiewicz: *„Można znaleźć sporo przykładów świadczących, że (grzechy) wcale nie są w SF powszechne"*. Nie zastanawiajmy się nad budową tego zdania, tylko nad prawdopodobnym sensem. Oczywiście, można – tylko co to zmieni? Na A-OS [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] [illegible] tematu [illegible] Zdaniem

Niewiadowskiego czy Ziemkiewicza byłoby to usprawiedliwione, gdyby większość ludzi uległa AIDS. Przecież jeszcze jest tylu zdrowych... Dotykamy tu zagadnienia, od jakiego poziomu zaczyna się dla kogo zagrożenie. Mnie do trwogi wystarczy łyżka dziegciu w beczce piwa. Tobie, Rafał, dziegieć musi zalać jasne oczęta, żebyś go dostrzegł. Ziemkiewiczowi i jego kolegom, jeśli myślą podobnie, życzę by jak najdłużej trwały ich bezgrzeszne lata.

Parowski proponuje rzecz równie ciekawą co radykalną: piętnowaną przez „Grzechy" tandetę należy wykląć, usunąć poza getto. Bardzo trafny pomysł, tylko przyklasnąć. Stosując go na szerszą skalę można w mig rozwiązać mnóstwo nabrzmiałych problemów społecznych. I co – nie będziemy dostrzegać chłamu, więc on zniknie? Naprawdę zero? Null? I co ja wtedy będę robił?

IV

Co mnie naprawdę różni od czterech polemistów, ja chciałbym napisać o dziurze w szosie i dlaczego nie można tamtędy bez obawy jeździć – oni o tym, że przecież dookoła dziury jeszcze tyle dobrego asfaltu. Naprawdę nie spodobało mi się umieszczone w redakcyjnym wstępie do „Grzechów" słodziutkie – a może by tak i o zaletach? Szanujmy swoje zajęcie, jak będzie o zaletach, to tylko o zaletach. Czy naprawdę tak trudno dostrzec intencje mego tekstu?

Uraził mnie Leszek Bugajski pisząc, że wymieniam przywary drugo- i trzeciorzędne. Andrzej Niewiadowski postarał się lepiej, to tylko *„piana na powierzchni kotła"*. Pożałujecie tych słów. Skoro bohater, tło, sceneria, przesłanie (o które chodzi w CZY KTO WIE, DOKĄD JADĘ) są dla liczącego się krytyka drugo- i trzeciorzędne, cóż u licha stoi na pierwszym planie? Drugi i trzeci rząd można podmieniać bezkarnie – no to zamieńmy Pirxa na Martyna Pietkiewicza, wtłoczmy mu do ust słowa bohaterów Chruszczewskiego i osadźmy na „Celestii", zobaczymy czy nikt nie odczuje różnicy.

Jestem zwolennikiem precyzji w utworze literackim, gdzie im mniej dowolności w doborze składników, tym lepiej. Powieść, a bardziej jeszcze opowiadanie SF, winny być bez mała matematycznie precyzyjne. Bohater nie może wyglądać dowolnie i nazywać się jakkolwiek, bo to rzutuje na efekt całości. Bardzo spodobała mi się magia nazwisk w powieści Trifonowa „Niecierpliwość". Tam nazwisko określa człowieka, warunkuje go, ustawia; jest jakby zaklęciem, w którym mieści się nie tylko jego charakter, ale i przeznaczenie życiowe. (Jeden z zamachowców na cara nazywa się Rysakow; rzuca bombę: efekt – poszkodowane zostają tylko r y s a k i, czyli konie u karety władcy). W literaturze rosyjskiej jest to tendencja bardzo mocna, tam nikt nie nazywa się przypadkowo (vide np. Czerwiakow w „Rewizorze").

Swego czasu Lech Jęczmyk był obruszony na mnie z powodu nadto zwyczajnych nazwisk w „Arsenale" i zalecał mi zmiany. Nie posłuchałem: pracowałem nad powieścią już na tyle długo, że zżyłem się z bohaterami i wołałem ich sobie po nazwisku. Bałem się, że ze zmianą nazwisk zmienią mi się i ludzie. Tymczasem załoga „Megahiclu" musi nazywać się pospolicie, gdyż jest pospolita i w godzinie próby tej pospolitości nie przełamie. Co do Adama Nyada: niedawno przypomniałem sobie, że jego dziadek – emigrant z Polski naprawdę nazywał się NIEJAD (zgadnij, Leszek, która to była emigracja?). Sam nie wiem, jak mogłem tę ważną informację pominąć w „Arsenale".

V

Muszę teraz coś wyznać: jestem człowiekiem samotnym, te „Grzechy" napisałem dla siebie. Do mojej wiedzy dochodzą powoli i z trudem, ponieważ głodny [illegible]

odebrane osobiście niż tzw. doświadczenia poprzedników. Kiedy więc trafi mi się jak ślepej kurze ziarno, zaraz muszę się tym pochwalić. A że mam skłonności opowiadać trochę łżejszym językiem, faceci przyzwyczajeni do referatów i wyzbyci krzty dowcipu zaraz robią rumor, nazywając to felietonem. W ten sposób porządek rzeczy w ich umysłach nie ulega zachwianiu. A zwijcie to jak chcecie. Moje recenzje też nie są recenzjami – wiem, trzeba to jakoś nazwać. Wiedy dobrze, gdy porządek w szufladkach. Smuci tylko ta zażeczgłość Ziemkiewicza; przy takim traktowaniu słowa nie wróżę mu wielkich sukcesów. Ziemkiewicz wykorzystał ekstensywne możliwości rozwoju, teraz przydałoby się o trochę finezji – a tu zadęcie, sztywniactwo i ponure pomrukiwanie.

Tłumaczmy dalej. Stanem normalnym jest dla mnie stan porządku, czystych intencji, wysokiej jakości – tym bardziej pożądany w literaturze, im mniej możliwy do osiągnięcia w świecie. Porcja bylejakości, którą mogę tolerować, jest dla mnie dużo mniejsza od połowy. Cóż jednak robię na terenie SF? Mówienie, że tylko się męczę byłoby fałszywe. Jest we mnie jakaś cząstka czerpiąca z tandety niebywałą rozkosz. Wychowałem się na tej literaturze, winienem jej synowską wdzięczność, a może i wierność, salony nie dla mnie i mało do nich tęsknię, zwłaszcza gdy stwierdzę, w co zamieniły się teraz. Ja kocham tę literaturę z całym jej bagażem przywar – i że nie się jej nie wyrzeknę. Być może obiekt mojej chorej miłości musi być w jakiś sposób upośledzony. Nie wstydzę się tego, podobnie Chandler kochał literaturę kryminalną, o której mawiał, że jest z powodu swoich licznych braków przeznaczona dla ludzi inteligentnych. Twierdził także, że ponieważ kryminał nie dorobił się dzieł doskonałych, przeto nie skostniał jako gatunek i to mu się pisze na plus (przepraszam, że nie cytuję dosłownie, ale moje rozkawałkowane życie powoduje, że jak zwykle pracuję bez biblioteki).

Słowa Chandlera, o ile były takie, jak mi się zdaje, pasują do science fiction znakomicie. Nie mógłbym jej pokochać, gdyby była aniołem; anioły nie są do kochania, tylko do wielbienia. Jako człowiek zaangażowany uczuciowo, a przy tym uczciwy i ubogi jak sam Filip Marlowe (tak jest, zwłaszcza do uczciwości mam pewne pretensje) mogę czasem mojej ukochanej wygarnąć, co o niej myślę. Szkic o grzechach, pisany trochę pod wpływem nastroju, trochę ironiczny i autoironiczny (są tam i moje przykłady, czego nikt nie dostrzegł), był prywatną próbą zorientowania się, co mnie w SF drażni i co mi w niej odpowiada zarazem. „Grzechy" napisałem po to, by pokazać rejestr przewin mojej (i nie tylko mojej) ukochanej – lecz także po to, by tytułu „Kontakt", tandetnej scenerii i jednowymiarowego bohatera używano od tej pory ze świadomością celu artystycznego. Nie tak ważne są części, jak to co się z nich montuje – ale też ograniczenia części sprawiają, że nie z każdego zestawu blach i śrubek uda się złożyć samolot.

VI

Wyznań ciąg dalszy: niespodziewanie fantastyka stała się czymś ważnym w moim życiu. Nie zabiegałem o to. Wydawało mi się, że będę traktował SF jako zajęcie niedzielno-[illegible] tymczasem okradziono mnie ze niedziel. Tak. Mam zwyczaj, wyniesiony z wykładów teorii konstrukcji, iż sprawom dla mnie istotnym staram się przyglądać od gorszego końca. Szukam miejsc najsłabszych elementów, które najprędzej mogą zawieść.

Profesor [illegible], który mi teorię konstrukcji wykładał, jest także po części filozofem. Zwykł mawiać, że życie jest powołaniem do twórczości. Życie każdego człowieka [illegible]

kataklizmów, wywołanych przez człowieka [illegible] wiedniej? Otóż jedynym sposobem, by się w tym galimatiasie rozeznać, jest wyjście od drugiego końca, od strony ewidentnego, nie budzącego wątpliwości zła. W tym sensie wąchanie szamba, nurzanie się w chłamie i rozważanie, co jest dla kogo grzeszne nie wydaje mi się czynnością jałową, choć może odstręcza wielkich estetów.

Z fantastyką ma to jeszcze i tyle wspólnego, że chcąc wymierzać bolesne kopniaki widzialnemu światu trzeba w coś obuć bose stopy. Trzeba wziąć w rękę szablę przynajmniej z tektury – i tą jedyną bronią jest dla mnie literatura, którą staram się uprawiać. Aby mnie nie zawiodła w decydującej chwili, bym nie myślał, że wymierzam cios siekierą, a to była kostka masła, muszę najpierw dokonać przynajmniej zgrubnego bilansu jej wad, defektów czy grzechów – nazwa jest obojętna. I chociaż wiem, że każdy śmiałek wychodzący naprzeciw smoka z oblepionym cynfolią tekturowym mieczem, jest pajacem – godzę się na tę rolę z braku lepszych propozycji. Jeśli smoka nie zarżnę, przynajmniej zginę [illegible]. Ale kombinuję sobie: taka nie sztuka być świętym Jerzym, gdy ma się miecz z damasceńskiej stali, rączego rumaka i błogosławieństwo samego Pana Boga. Sztuka nim być, gdy się ma miecz z tektury, łapcie z łyka i pusty żołądek. Sztuka z gatunku wyśmianego, wydrwionego, wzgardzonego uczynić coś, nad czym ludzie pochylą się z zaciekawieniem i wdzięcznością. Na dobrą sprawę – gdy brak lepszych pomysłów – można z tego uczynić program życiowy i zajęcie godne mężczyzny.

A ośmielają mnie i czynią tak bezczelnym pewne przykłady realizacji pozytywnych. Czyli można, jeśli się bardzo chce. Magia sprawia, że tekturowy miecz czasem kładzie smoki! Kładzie je aż za dobrze, trzeba tylko znać zaklęcie. Ale posłuchajmy: *„Ta niezwykle interesująca powieść stała się w roku 1973 wydarzeniem na rynku czytelniczym. Mimo p o z o r n e j przynależności do gatunku SF, łączy ją z tym gatunkiem j e d y n i e sugestywna wizja świata nawiedzonego kosmiczną zagładą"* (podkr. M.O.). W ten sposób wydawca reklamuje „Robota" Adama Wiśniewskiego-Snerga. Miecz oblepiony cynfolią tak dobrze sprawia się ze smokami, że rycerz zapragnął wywyższenia między tych z prawdziwymi mieczami. Postanowił wyprzeć się swego niskiego pochodzenia, zdradzić dobrego bożka fantastyki. Dręczy mnie poczucie niestosowności takiego postępowania, że nie wspomnę o rycerskim honorze.

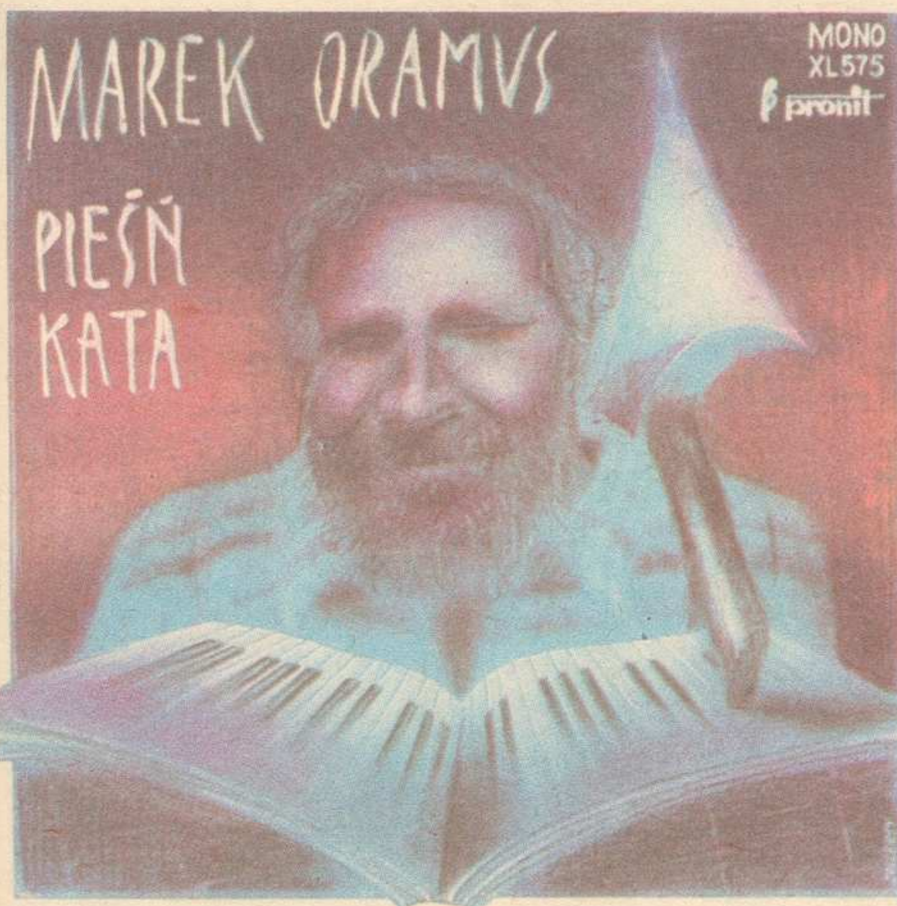
Idźmy dalej. Stanisław Lem także wybrał fantastykę naukową i swoje najlepsze dzieła napisał w pełni świadom jej ograniczeń. W rzezi wiszących u gardła ludzkości smoków osiągnął chyba mistrzostwo świata – niemożliwego uczynił zwyczajne. Ponieważ nie wypada mu być jawnym bardem własnych sukcesów, [illegible] się zowie Bogu winny gatunek, wiesza na nim psy, [illegible] en bloc dokonania innych. [illegible] twierdza, że Lem idzie na Nobla – w ten sposób? Nobel Noblem, ja Lemowi przyznałem go dawno – ale gdyby tak trochę pamięci [illegible] wyszło.

VII

Obawiam się, że mało kogo [illegible]

na X i spuścić mu manto, możecie rozpowiadać plotki o jego prowadzeniu się itp., ale najlepiej jeśli zaprzeczycie mu własną twórczością. Wtedy nagle smutnieją i odchodzą z tajemniczą miną. Cóż, getto pełne jest przywar, a ja zmagam się z nimi na bieżąco – dłubiąc prozę SF. Mam nadzieję, że moja fantastyka lepiej o tym zaświadczy niż moja krytyczna pisanina.

Na koniec sprawy nieprzyjemne. Zabolały mnie jednak nabite przez was, koledzy, siniaki. Zemsta będzie straszna: urządziłem z siebie cyrk, wygłupiłem się, teraz zbieram manatki i arena pozostaje pusta. Gotowa do waszych występów. SF, jak wam może wiadomo, jak była gatunkiem tandetnym, tak nim pozostała. Tu nie nastąpił żaden przełom. Jeśli powodem jej tandety nie są wymienione przeze mnie drugo- i trzeciorzędne grzechy (też ciekawa kwestia: czy drugorzędna literatura może popełniać grzechy pierwszorzędne?), muszą istnieć inne ukryte wady. I już rozumiecie, do jakiego to tańca zaproszenie, i za gardło porywa was strach. No, czemuście pobledli?



Marek Krzysztof Zalejski

Skłonny jestem zwolnić z obowiązku Rafała Ziemkiewicza (dajmy mu czas na naukę) i Macieja Parowskiego, pod warunkiem, że gdy przyjdę do niego na kacu, poczęstuje mnie piwem i bigosem o właściwościach Ubika. Ale Bugajskiemu i Niewiadowskiemu nie przepuszczę. *„Główne grzechy polskiej SF zgoła inaczej wyglądają"* – to Niewiadowski. Jak? W całym tekście ani mru-mru, tylko ogólnikowa wzmianka, że *„zamykaliśmy oczy na wiele innych pól problemowych"*. Bugajski: *„Oramus (...) nie potrafił wymyślić siedmiu istotnych jej grzechów (a musiało być siedem?)"*. Nie musiało, jest osiem, zalecam uważniejsze czytanie. I krople, które przelały kufel mej cierpliwości: *„Nie docierają do istoty rzeczy"* (niby ja z Platonem), *„autor »Sennych zwycięzców« nie dobiera się do istoty zjawiska"* (dwa razy Niewiadowski); *„mijając się z istotą zagadnienia, nagle wyciąga (...) wnioski"* (raz Bugajski).

Traktujcie moje zaproszenie jako wyzwanie. Ja teraz sadowię się w pierwszym rzędzie i będę się dobrze bawił. Pamiętajcie tylko, że wszystko ma być pierwszorzędne. Drugi i trzeci rzut załatwiłem sam. I sedno, dużo sedna. Samo sedno właściwie. Odwrotnie niż do tej pory. Czytelnicy i ja w ramach IRCH-y skontrolujemy poziom sedna. Stawką jest wasz honor krytyków – albo powiem po prostu, że zaprezentowana przez was strusia postawa krytyczna jest kolejnym grzechem naszej rodzimej ladacznicy.

Marek Oramus

Rybnik, październik 1986

Adam Hollanek

Na smyczy Lema?

Kończymy już tę dyskusję o grzechach fantastyki ze świadomością, że jak wszystkie spory literackie nie doprowadziła ona do jakichś większych uogólnień. Przeciwnie, ukazała, że to co wydaje się nam science fiction, jakimś bardzo konkretnym, określonym gatunkiem pisarstwa, czy raczej mozaiką, z której wyłania się jednorodny w gruncie rzeczy gatunek – bywa naprawdę za każdym razem czymś bardzo różnym: że nie ma jakiejś jednej i jedynej fantastyki, lecz jest tyle fantastyk ilu autorów, tych zdolnych i tych bez talentu.

Poza tym dyskusje fantastyczne ciągle – moim zdaniem niepotrzebnie, choć sam w tym grzęznę nieraz – babrzą się w swej specyfice, w swojej inności od „normalnej" literatury. W tym bardzo polemicznym eseju nie może się tej myśli także pozbyć i Marek Oramus, a jest to jak się Państwo przekonaliście raczej wyznanie niż szkic, wyznanie bardzo zresztą literackie zarówno w formie, jak w przybranej pozie. Uderzyło mnie, że autor „Kompleksu Hioba" (drukowanego w „Fantastyce" nr 7/86 bardzo interesującego opowiadania, chyba najlepszego ze wszystkiego co napisał) stwierdza, że „Jestem zwolennikiem precyzji w utworze literackim (...). Powieść, a bardziej jeszcze opowiadanie SF winny być bez mała matematycznie precyzyjne". Tymczasem precyzja matematyczna oddala od istoty życia raczej, niż przybliża do niej. Człowiek w swoich reakcjach jest często nieobliczalny.

I wyznaniem o precyzji Oramus przygważdża się do fantastyki, która właśnie jest zawsze precyzyjniejsza od normalnej literatury, bardziej od niej naukowa, nawet tam gdzie walczy z nauką, zawsze też dydaktyczna, czasem nawet bardzo naiwnie. Przykład z nazwiskami pasującymi do charakterów i roli – nazwiska takiego jak Rysakow z rysakami – jest świadectwem typowego grzechu fantastyki, jej powierzchowności, ale też jej magiczności zarazem.

Czyżby Oramus, któremu się to tak podoba, naprawdę nie potrafił czy nie chciał wyjść z kręgu zaczarowanego, fantastycznego getta, czyżby aż tak je ukochał, że nie dostrzega jego granic? Tymczasem wymienione opowiadanie „Kompleks Hioba" wskazuje, że świadomie czy mniej świadomie jego autor chce przekraczać te granice i umie to robić, jakkolwiek strumień świadomości, którym stara się operować w swej prozie wydaje mi się jeszcze nazbyt konsekwentny, nazbyt logiczny, co psuje efekt spontaniczności procesów intelektualno-emocjonalnych właściwych człowiekowi. Cóż, spadkobiercy Lema, trzymani bywają przez niego na dość krótkiej, niewidzialnej smyczy i nie potrafią się z niej od razu urwać. I to ich nieraz oddala od literackości. Może o tym powie ktoś, że to dobrze, ale ja sądzę, że raczej źle.

Podoba mi się natomiast ton całej wypowiedzi Oramusa – przekorny, ale szalenie osobisty, własny, ten ogląd przez niego literatury SF z jej gwałtownością reakcji autorskich i czytelniczych, z zacietrzewieniem miłosnym lub w nienawiści, o sile jakiej nie znają w tym względzie inne gatunki twórczości. I ten właśnie ton osobisty, własny, popycha Oramusa w kierunku „normalnej literatury" – o paradoksie – i każe mu odchodzić czy uciekać od tego, co kocha i krytykować samego Lema za jego ucieczkę i pogardę dla tego, przed czym ucieka.

Oramus dostał ostatnio od „Fantastyki" nagrodę za twórczość i za to właśnie odchodzenie od getta SF. Podobną nagrodę otrzymał wcześniej Petecki jako wyraz szacunku dla twardo przez niego reprezentowanej linii klasycznej SF. Oramus i Petecki to jakby dwa bieguny jednej sprawy, jednego świata fantastyki.

Tempora mutantur, a w zmieniających się czasach ulega galopującym przemianom zarówno sama fantastyka, jak i stosunek do niej. Dokąd prowadzi ten galop – trudno jeszcze dociec, a przykład drogi Lema uważam za nietypowy.

Malewska Hanna

(1911–1983)

Prozaik, dziennikarz, eseistka

Urodziła się 21 czerwca 1911 r. w Jordanowicach koło Błonia. Ukończyła studia historyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W latach 1935–1938 była nauczycielka szkół średnich. W okresie okupacji pracowała w tajnym szkolnictwie. Po wyzwoleniu weszła w skład krakowskiego zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego", była redaktorką naczelną miesięcznika „Znak". Debiutowała w 1933 r. powieścią „Wiosna grecka" nagrodzoną w 1932 r. na konkursie przedolimpijskim. Wydała m.in.: „Żelazna korona" (powieść historyczna, 1937), „Kamienie wołać będą. Powieść z XIII wieku" (1946), „Przemija postać świata" (powieść historyczna, 1954), „Sir Tomasz More odmawia" (1956). W 1947 r. otrzymała nagrodę wojewody krakowskiego za całokształt twórczości, w 1948 r. nagrodę im. Pietrzaka za powieść „Kamienie wołać będą". Zmarła w Krakowie 27 marca 1983 r.

W 1970 r. nakładem Instytutu Wydawniczego „Znak", ukazały się w jednym tomie dwie powieści Hanny Malewskiej: „Labirynt. **LLW, czyli Co się może wydarzyć jutro"**. Druga z nich nawiązuje do tematyki antyutopijnej wyznaczonej książkami Wellsa, Huxleya, Orwella. Akcja utworu toczy się w pozornie stabilnym świecie przyszłości, w którym sprymitywizowana kultura masowa zastępuje głębsze doznania emocjonalne wyręczając człowieka od myślenia, zadawania pytań, aktywności poznawczej. Ów świat ocalał z zagłady wojennej i funkcjonuje w formie szczątkowej, obwarowany aktami normatywnymi i prawodawczymi, setkami nakazów i zakazów ingerującymi w sferę psychiki i obyczajowości. Powolną agonię ustroju usiłują odwrócić bądź przyśpieszyć różne grupy społeczne toczące między sobą walkę o władzę – począwszy od liberalnych sił w łonie anonimowego rządu aż do skrajnie anarchistycznych organizacji lewicowych negujących aktualny porządek społeczny.

Bibliografia wybrana:

– Z. Dolecki (w:) „Kierunki" 1971/17
– St. Balbus (w:) „Życie Literackie" 1971/26
– W. Maciąg (w:) „Nowe Książki" 1971/9
A. Gołubiew, *Pisarska droga Hanny Malewskiej* (w:) A. Gołubiew, *Świadkowie przemian*, Kraków 1974.

■

Malinowski Krzysztof Wiesław

(ur. 1946)

Tłumacz, popularyzator nauki, prozaik

Urodził się w 1946 r. w Krakowie. Ukończył studia w Akademii Górniczo-Hutniczej. Po uzyskaniu dyplomu magistra inżyniera, specjalisty w zakresie energii jądrowej, odbył studia doktoranckie na Politechnice Warszawskiej. Tłumacz opowiadań i tekstów krytycznych SF z języka rosyjskiego i angielskiego. W latach siedemdziesiątych wyemigrował do Stanów Zjednoczonych. Napisał kilka książek popularnonaukowych: „Komputer – machina incognita" (współautor: A. Wolski, 1974), „Opowieści o robotach" (1976). W 1977 r. przełożył pozycję krytyczną o literaturze SF: „Co to jest fantastyka naukowa?" – Julija Kagarlickiego (Wyd. Iskry). Jako autor SF debiutował w październikowym numerze „Młodego Technika" w 1971 r. opowiadaniem „Pierwsi po Bogu". Swoje utwory zamieszczał w antologii „Kroki w nieznane" (t. 3 – Iskry 1972, t. 4 – Iskry 1973). W 1976 r. ukazał się jego zbiór opowiadań **„U wrót Wszechświata"** (Nasza Księgarnia; zawartość: Uczniowie Paracelsusa, Przeprowadzka, Transformacja, Hazard, Zabić Abla, Wczasy państwa Atkins, Schizochronia, Pierwsi po Bogu). Motywem przewodnim zbioru jest obserwacja zachowania człowieka w świecie przyszłości, jego kontaktów z robotami, istotami obdarzonymi sztuczną inteligencją. Choć jest to jeden z klasycznych tematów SF, w ujęciu Malinowskiego – nieco przewrotnym, groteskowym, ironicznym – zyskuje pogłębioną interpretację. Robot nie jest tu instrumentem strachu, jego bunt stanowi czytelną aluzję do relacji międzyludzkich, przywodzi na myśl stosunki między władcą a niewolnikiem (Uczniowie Paracelsusa, Pierwsi po Bogu, Zabić Abla). Autor odwraca klasyczny topos literacki: sprytne roboty przejmują władzę nad ludźmi, wykorzystują ich w sposób bezlitosny: oszukują (Hazard), kreują istoty na ich podobieństwo używając w tym celu matryc białkowych, a tym samym zapewniając sobie wygodne życie, pozbawione niebezpieczeństw i trosk materialnych.

Ironia Malinowskiego, bliższa groteskom Lema, może nazbyt spłycona od strony socjologicznej, ukazuje w krzywym zwierciadle ciemne strony ludzkiego charakteru. Nie kiedy nie potrzeba w tym celu wprowadzenia motywu robotyki: w „Transformacji" dokonuje się nieetycznego zabiegu na wybitnym matematyku, po to, aby określić możliwości ludzkie w zakresie wyobraźni przestrzennej. Najciekawszym opowiadaniem zbioru jest jednak „Schizochronia" ukazująca zagładę naszego świata zniszczonego wojną nuklearną oraz zachowanie ostatnich na Ziemi ludzi, którzy dożywają swych dni ogarnięci wzajemną nienawiścią, szukając zapomnienia w złudnej iluzji retrospektorów.

Bibliografia wybrana:

– B. Riss (w:) „Nowe Książki" 1977/9

■

Jakie hasło otwierało centralną kasę ekonomiczną spod znaku LLW?

Rywalizowały w niej dwie dążności: ekonomia potrzeb, humanizacja pieniądza, „produkcja dla człowieka" i przeciwnie, „służba produkcji", jątrzenie apetytów, wyścig reklamowy. Jednak i te wahania wydawały się – zaplanowane z góry.

Podobnie zaplanowane było generalne „stop", wszelkie światowe czerwone światło dla zbyt rewolucyjnych nowości technicznych, a nawet „czysto" naukowych, zdolnych zmienić sytuacje, zakłócić wątłą, z trudem odbudowaną równowagę świata rekonwalescenta (...).

Dawne czasy były włożone między bajki.

Oto znów miły, rodzinny, niezawodny serial prasy i telewizji: kot Beaucaire, w peruce i przy szpadzie wygrywa na gitarze swym kociętom przyśpiewując tęsknie: „Były to piękne czasy, o działki – Piękne jak sen – Koty bure pożerały się wzajem z pręgowanymi – I sławą rozbrzmiewały wszystkie strychy miasteczka! Ohej! Ale teraz sza – sza... Nie wolno zagryzać się i nigdy już poszarpane uszy i ogony złamane nie będą chwalebnymi sztandarami naszych czynów!" Kocięta płaczą rzewnie, a myszy powyłaziły z dziur i trzymają się za brzuchy ze śmiechu. To było rzekomo dla dorosłych. Dla dzieci szedł komiks z wiecznymi niepowodzeniami samochwała Zozorro.

Ani telewizja wypukło-kolorowa, ani bardziej „sofistykowane" stacje telepatyczne nie wyparły tygodniowych magazynów, koncentratu nie dzielnego dla klasy średniej (...).

Wybór. Tempo. Fakty. Fakty! Maszerują nabite faktami, lecz przejrzyste kolumny. Ogarniają, przeżuwają, preparują wszystko. To, czego tu nie ma, co zostało gdzieś na boku lub z tyłu, to nieważne nudziarstwo i plewy. Tutaj jest wszystko, reszta się nie liczy. Któż by mógł pytać o więcej, skoro i tak ledwie może przełknąć wszystkie cudowne „exiting", nowości, jakie spreparował dla niego majster prasowy?

Czasem chciałoby się rozerwać jakoś te kolumny niepowstrzymane, prawie groźne, jak marsz termitów. Oczyścić plac, czy otworzyć okno. Ale jak? Tu jest wszystko (...). Religia. Bezbłędnie teologicznie, pełne „werwy" i „życiowe" zreferowanie najświeższego rozłamu wśród integrystów. „Sport". „Literatura". Tu dosyć oględnie z góry, a nieco natrętnie z dołu propagowany panhumanizm, a tępiony neostrukturalizm. „Ludzie". „Obyczaje". „Sztuka" – znów lansowany weryzm lub sztuka-pismo, a wyśmiewany z lekka „dyskordyzm" czy korporalizm. Szpalty „Rekordu" kartkują bez reszty rzeczywistość. Wyczerpują jej zakres.

Znakomite pismo właściwie. Ale cóż kiedy jakieś trochę świńskie. Jak i ten superspryciarz, Mike Collins, jego redaktor (...).

To, czego business życzyłby sobie teraz: nieograniczone użycie energii jądrowej – nie leżało w rękach me-

Hanna Malewska

LLW

CZYLI
CO SIĘ MOŻE
WYDARZYĆ JUTRO

nagerów ani nikogo, z kim mogliby oni rozmawiać na równej stopie. Urząd Energetyczny, bardzo bliski – nie było się co łudzić – krewniak SW, wydzielał dość skąpo zneutralizowaną, „włoskowatą" jak mówiono A energię, a nikt nie miał ochoty prawować się z nim o więcej. Stanowczo nie była to materia do żartów i targów (za coś w rodzaju żartu mogłaby jedynie uchodzić przyjęta ogólnie nazwa „denaturat").

Gospodarka była okiełznana, przewidziana. Od szeregu lat już chemia nauczyła się robić ze wszystkiego wszystko. Wszechstronnie zautomatyzowana produkcja wymagała bardzo wysoko kwalifikowanych, ale stosunkowo nielicznych speców i organizatorów. Część z nich miała dość wyraźne funkcje polityczne, inni nie. Mogłoby się zdawać, że właściwie wszystko dzieje się za sprawą menagerów, tych dostrzegalnych – dla jako tako bystrego oka, uchwytnych, miłych na ogół (very Armand – like jak się wyrażał Almirante) ludzi praktyki.

Tak jednak nie było. A owi spece od realnego patrzenia na świat zadaliby kłam swojej reputacji, gdyby tego w pełni nie byli świadomi.

„Jak Bóg da", „Bóg raczy wiedzieć"; takie poczciwe wyrażenia w ustach Almirante odnosiły się z reguły do jego niewidzialnych mocodawców. Jeśli chodzi o „Święte Świętych" władzy światowej, ludzie tego pokroju zachowywali, jak na prawdziwych pragmatyków przystało, głębokie milczenie.

Co się tyczy prasy, ta z właściwym sobie niewinnym tupetem spokojnie pomijała kwestię władzy naczelnej. To samo robiły Instytuty Badania Opinii oraz ogół spokojnych, prywatnych ludzi.

Nie wszyscy jednak byli rozsądni, zwłaszcza po pijanemu. Żadne mass-media nie przekazały światu zdarzenia następującego.

Na wielkim przyjęciu z okazji sprostowania granicy między Stanem Kolumbia a Stanem Ekwador sędzia rozejmowy Ruy Gomez de Iterda, okazały dżentelmen, gładki i czarny jak karoseria zabytkowego Buicka, błyskający brylantami, tak wielkimi, że nie mogły być naturalne (ale były) – ograł doszczętnie całe towarzystwo w pokera (bogowie wiedzą czy to mogło być nautralne?). Potem pił dużo, bo trunki były wyborowe. Potem odtańczył starą sambę kubańską na antycznym stoliku od telewizji. Potem wystrzelał magazyn muzealnego Colta w wentylator (Rozrzut – 5 cm. Gdybyście wy wypili połowę tego co ja, zrobilibyście rozrzut we wszystkich gości).

Na koniec w palarni zaczął mówić od serca. Żebym ja raz zobaczył choć jednego z tych facetów. Z tych prawdziwych Extra – Fine – Long – Live – the World. Moi mili, przecie ja z tą granicą i w ogóle stanąłem na wysokości zadania i w ogóle – szkoda gadać: lepszy gość! I żebym ja ich raz zobaczył, tych Od Góry, owinąłbym ich sobie wokoło palca. Dobrałbym ich jak fula z ręki. Zrobiłbym z nich przepisowy karambol i akumulativ z porządkowym. Oni by mi fikali do taktu, jak Iterada-Girls. Tyko żebym ja ich raz przyuważył, tych prawdziwych do samej Góry – Tych LLW-Boys.

– Pan pozwoli senior Iterda – jeden z najbardziej szarych i niedostrzegalnych współbiesiadników stał za fotelem – Pan pozwoli ze mną.

– Hi, hi, mój typku. Pan jesteś co najwyżej z policji, a ja sobie życzę prawdziwych LLW-Commanderów!

Na korytarzu Ruy Iterda wreszcie wytrzeźwiał i pobladł. Szary człowieczek pokazał mu odznakę pod klapą, a Iterda wyjął z krawata pięciokaratowy brylant.

– Schowaj to pan i idź pan ze mną – szepnął mały, szary urzędniczek Wigilii, któregoś tam stopnia. Więcej nie słyszano o Ruy Gomezie de Iterda.



Andrzej Brzezicki

Hanna Malewska, „Labirynt. LLW, Czyli co się może wydarzyć jutro", Społeczny Instytut Wydawniczy ZNAK, Kraków 1970, wybór ze stron 220–226.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

Długo oczekiwana powieść Konrada Fiałkowskiego, znana dotąd ze słyszenia, jako że wcześniej wydano ją w Niemczech i Francji, okazała się być książką daleko wybiegającą poza granice konwencjonalnej science fiction. Wykorzystuje wprawdzie elementy tego typu literatury, posługuje się pewnymi chwytami narracyjnymi, bez których nie mogłaby powstać w tym kształcie, w jakim zaistniała, a które przynależą do klasycznego dorobku fantastyki naukowej, ale właściwie wszystko to ma znaczenie czysto pretekstowe.

Ukończona w 1980 roku, dołącza do grupy powstałych w latach siedemdziesiątych

ZOSTAĆ, ŻEBY ZROZUMIEĆ

powieści polskich, których tematem było przewartościowanie historii Jezusa Chrystusa. Ich autorzy próbowali spojrzeć nieco inaczej na opowieści spisane w Nowym Testamencie. Nie idzie mi tu na przykład o cykl Romana Brandstaettera „Jezus z Nazaretu", który ukazywał się na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, ale o te utwory, które stawiały na nowo problem poświęcenia dla innych, nie mogły uwierzyć w bezinteresowność najszczytniejszego poświęcenia, sprowadzały wszystko do kategorii czysto racjonalnych, kwestionowały boskość Chrystusa. To przewartościowanie natychmiast zwracało uwagę na utwór, przybliżało cały problem dwudziestowiecznej mentalności doszukiwania się poza wydarzeniami motywacji raczej spiskowej niż nadprzyrodzonej. Za sprawą tych utworów wracał też kanon podstawowych wartości etycznych, był różnymi sposobami badany i prześwietlany. Myślę tu o takich utworach, jak „Raport Piłata" Janusza Głowackiego (1973), apokryf „Według Judasza" Henryka Panasa (1973), którego autor zdążył przed śmiercią napisać część drugą, równie kontrowersyjną („Judasza dziennik intymny", 1985), a także o powieści Adama Wiśniewskiego-Snerga „Według łotra" (1978), zaliczanej do science fiction, choć w gruncie rzeczy ma ona bardzo mało wspólnego z literaturą tego typu.

Trudno teraz dociekać, czy pomiędzy tymi utworami bądź pomiędzy którymś z nich i „Adamem, jednym z nas" - powieścią Fiałkowskiego, istnieją jakieś powiązania - nie w tym rzecz. Temat należy do skarbnicy kulturalnej naszego kręgu i co jakiś czas ktoś w naturalny sposób sięga do niego tworząc swoją wersję. Zresztą w science fiction przymierzano się już do opowieści o Jezusie, choć raczej bez większych sukcesów.

Cóż więc zrobił Fiałkowski? Zachował zasadniczy zarys wydarzeń, choć postaci powieściowe noszą inne imiona. Z jednej więc strony nie ukrywał pokrewieństw fabularnych swego utworu z historią życia i śmierci Chrystusa, ale z drugiej - przez ową zmianę imion – chciał chyba zasygnalizować, że odczytywanie jego powieści „poprzez" Biblię wcale nie jest konieczne, że zrelacjonowana – znaczy coś sama z siebie. Wyczuwam w tym pewną sprzeczność, ale nie można, nie należy bynajmniej czynić z niej zarzutu: skoro jest na ten temat tak wspaniała opowieść o człowieku, który się poświęcił dla innych, dla Wszystkich, nie musiał autor wymyślać nowej, ba, nawet nie wypadało. Natomiast wprowadzenie nowych imion pokazuje poniekąd funkcjonalność tej historii poza całą sferą odniesień religijnych.

Dalej: Fiałkowski przewrotnie, korzystając z pomysłów zaczerpniętych z arsenału science fiction, spróbował również - jak poprzednio wymienieni autorzy – nadać opowieści o Bogu cechy racjonalne. Fantastyka naukowa pozwoliła mu w konwencji realistycznej pokazać to, co z punktu widzenia świadków mogło być uznawane za cechy boskie. Zakładając, oczywiście umownie, że świat przedstawiony fantastyki naukowej jest światem realnym, czy też takim, który może kiedyś zyskać realność. Z tym realizmem z science fiction są nieustanne kłopoty, ale skoro już się w to bawimy, trzeba wyrazić milczącą zgodę na pewne ryzykowne rozwiązania czy założenia obowiązujące w tego typu literaturze.

W powieści „Adam, jeden z nas" mamy następujące założenia: jakaś obca, wysoko rozwinięta cywilizacja ingeruje w rozwój cywilizacji ziemskiej. Robi to wprawdzie w sposób dość jednostronny, bo niszcząc miasta, kultury, kontynenty, które nie sprawdzają się w rozumieniu norm obowiązujących i przyjętych przez tamtą, „sterującą" cywilizację. Z powieści wynika, że na przykład zagłada Atlantydy jest dziełem tychże „opiekunów", tak jak i wiele innych katastrof o mniejszym zasięgu. Ludzkość jest nieświadomym uczestnikiem eksperymentu cywilizacyjnego. W powieści pojawia się kilku emisariuszy tajemniczych Innych, którzy nadzorują rozwój ludzkości. Jeden z nich, przybrawszy ziemską postać, naucza ludzi, przekonuje, chce zaprowadzić nowy ład moralny. Ci, którzy mu uwierzą, pójdą z nim, mają być uratowani, reszta - zginie. Flota gotowa jest do siania spustoszenia, wybrani mają wyjść z miasta. Akcję nadzoruje inny emisariusz, wcielający się w namiestnika Imperatora, a więc niejako najważniejszy urzędnik w mieście.

I tu zaczyna się właściwa opowieść. Admis, ten który miał ludziom pokazać nowy ład moralny, który miał ich nauczyć żyć po nowemu, a w razie sukcesu połowicznego uratować tych, którzy mu uwierzyli, nie wyraża zgody na zniszczenie miasta. Tym samym zakłóca przebieg eksperymentu, który polegał również i na tym, że Inni co jakiś czas manifestują swoją siłę i władzę, według słów drugiego przedstawiciela Innych, Adama (namiestnika), odpowiadają w ten sposób na oczekiwania Ziemian: *„To oni stworzyli nas takimi, jakimi chcą nas widzieć, z grzmotem piorunów, promieniowaniem i ogniem. Te efekty, tak prymitywne i obce nam, są im potrzebne, a przecież dla nich tu jesteśmy".* Admis skazuje siebie, jako człowieka, na śmierć. Wyrzeka się wszystkiego, co gwarantuje mu jego cywilizacja. Żyjąc między ludźmi zrozumiał, że *„nie można głosić nadziei i zabijać"* (tu właśnie, na str. 95 redaktor książki prawdopodobnie nie wychwycił błędu maszynopisowego i wygląda tak, jakby Admis rozmawiał z Admisem), zresztą wyznaje wprost: *„Ja jestem człowiekiem".* Jest to zgodne z przekazem biblijnym. Admis bowiem, z punktu widzenia ówczesnych Ziemian, dysponował czy mógł dysponować mocą boską: jako przedstawiciel niewspółmiernie wyżej rozwiniętej cywilizacji miał właściwie nieograniczone możliwości zmian ciała, przenoszenia się w czasie i przestrzeni, wytwarzania pola siłowego, porozumiewania się telepatycznego itd. Po prostu był bogiem. Ale tego się wyrzekł poświęcając swoje życie ludzkości, chcąc stworzyć legendę, pokazać, że można umrzeć za przekonania, w imię dobra, które tkwi w człowieku.

„...gdy stałem się człowiekiem i żyłem pośród nich, pojąłem, że ewolucyjny mechanizm wygasa na tej planecie. Nic otoczenie będzie ich kształtować, lecz oni zaczną kształtować planetę" – mówi Admis na krótko przed męczeńską śmiercią. *„Staną się tutaj lokalnymi bogami, a wiesz, co młodzi bogowie potrafią, gdy brak im rozsądku i nadziei. Niepokoję się o nich, Adamie. W Kosmosie jest tyle martwych planet i tak mało żywych. Ja chcę im pomóc. Tak jak potrafię, już teraz, kiedy jeszcze jest czas, by każdy z nich mógł stać się inny..."*

Myślenie Admisa było więc długofalowe, tak chyba możemy je nazwać, podczas gdy inni myśleli bardziej doraźnie, zresztą mieli do tego prawo, nie mając najmniejszych podstaw do utożsamiania się z losem Ziemian. On już mógł czuć się człowiekiem... W tej sytuacji całe jego poświęcenie, ofiara, jaką składa z samego siebie jest bardziej zrozumiała, a i jego boskość zyskuje jakieś logiczne wytłumaczenie. Co więcej, Adam, przedstawiciel Innych nadzorujący eksperyment też wyrzeka się swojej przynależności do Innych i staje się w finale powieści człowiekiem - „żeby zrozumieć". Żeby zrozumieć to wszystko, co tkwi w człowieku, co stanowi, że jest on zdolny do śmierci za jakąś sprawę i jednocześnie jest zdolny do zła, odnajduje w sobie siłę, by poświęcić wszystko bezinteresownie i jednocześnie konstruuje bronie mogące przynieść totalne zniszczenie.

Odrzucając kamuflaże, maski i kostiumy, nie zwracając uwagi na aluzje zawarte w tej powieści odnajdujemy w niej po prostu apel o powrót do podstawowych zasad etycznych i ostrzeżenie przed tym zagrożeniem, które człowiek sam na siebie sprowadza. W tym się głównie zawiera przesłanie tej powieści. Ona budzi nadzieję, podtrzymuje wiarę w to, że jako gatunek, jako cywilizacja możemy przetrwać, byle tylko nie dać zwyciężyć złu. Po to prawdopodobnie została napisana.

Leszek Bugajski

Konrad Fiałkowski: *Adam, jeden z nas.* Wydawnictwo Literackie, Kraków-Wrocław 1986. Cena 170 zł.

SF NA NOWO

Są przedsięwzięcia, które zyskują rozgłos zanim jeszcze ujrzą światło dzienne. Czasem zdarza się, że nie spełnią pokładanych w nich nadziei i wtedy spotykają się z krytyką znacznie większą, niż gdyby rzecz była wcześniej nikomu nie znana. Do takich właśnie przedsięwzięć należą wszelkiego rodzaju serie książkowe, bądź rubryki w prasie mające być w zamierzeniu efektem współpracy profesjonalistów z fanami.

O planowanej serii zeszytowej „Almapressu" i PSMF mówiło się już od dłuższego czasu. Toteż trzy pierwsze pozycje, które się w niej ukazały mają przed sobą żywot trudniejszy od opublikowanych gdziekolwiek indziej. Muszą bronić nie tylko siebie samych, ale też serii, która w założeniu ma prezentować debiutantów. Przypuszczam, że mogą się spotkać albo z głośną akceptacją, albo z równie głośnym potępieniem. Przy tego typu wydawnictwach niemożliwe jest, aby nie wzbudziły w środowisku żadnego odzewu. Może to i lepiej.

Napisałem, że zeszyty „Almapressu" miały prezentować debiutantów, stosunkowo jednak długi czas produkcji tomików sprawił, że dwóch spośród trojga autorów trudno debiutantami nazwać. Uważnym czytelnikom znani są z publikacji prasowych: jeszcze przed książkowym debiutem dorobili się pierwszych laurów: Krzysztof Kochański nagrody „Młodego Technika" i grupy TRUST na najlepszy debiut 1984 roku oraz wyróżnienia „Fantastyki" za „Zabójcę czarownic", a Grzegorz Drukarczyk nagrody „Fantastyki" za brawurowy debiut w 1985 roku oraz pierwszego miejsca w przeprowadzonym na „Polconie" plebiscycie na najlepsze opowiadanie roku 1985 (oba wyróżnienia za „Regułę przetrwania"). Kochański zresztą przedstawia w swoim zbiorze teksty już znane (publikowane wcześniej w prasie) i cenione. Wszystkie cztery są przykładem rzetelnej pisarskiej pracy i doskonałego opanowania rzemiosła. Prowadzeniem akcji, stopniowaniem napięcia i umiejętnością operowania nastrojem zapędza Kochański wielu polskich autorów SF w kozi róg. A przy tym z właściwym sobie wyczuciem unika pisania sprawnych czytadeł, każdy jego tekst niesie bowiem ze sobą jakąś głębszą refleksję, czy celnie postawione pytanie co do losów człowieka i jego miejsca w świecie. Nie daje się przy tym wmanewrować w natrętny dydaktyzm i dosłowność. Niektórzy czytelnicy nie dostrzegą, być może, głębszych podtekstów jego utworów, a mimo wszystko opowiadania te nie stracą dla nich na atrakcyjności. Wszystko to sprawia, że właśnie w Kochańskim upatrywałbym jak na razie czołowego autora młodego pokolenia.

Drukarczykowi należy zapisać na plus różnorodność tekstów zawartych w „Regule baśniowego mroku". Jest to zbiór autora wciąż jeszcze poszukującego swej drogi, niezdecydowanego w którą stronę podążyć; czy ku stylizacji „Bajki o dzielnym Gregu", czy ku klasycznemu, amerykańskiemu stylowi „Reguły przetrwania", czy wreszcie ku zagęszczeniu i skomplikowaniu języka widocznemu w najsłabszym chyba opowiadaniu zbioru „Ciemność rozjaśni twą duszę". Osobiście najchętniej widziałbym Drukarczyka jako autora tekstów zwięzłych, sprawnie prowadzonych i napisanych precyzyjnym stylem, takich jak „Reguła przetrwania", trudno jednak przewidzieć, czy będzie mu to odpowiadać. Jego opowiadania bronią się dobrze, zarówno pod względem formalnym, jak i zawartości myślowej, ma też Drukarczyk sporą sprawność w operowaniu słowem, choć zdarza mu się czasem obezwładniać czytelnika nadmiarem przymiotników wepchniętych w długie, wielokrotnie składane zdania. Nie sprzyja to porozumieniu autora z odbiorcą.

W zupełnie innym stylu utrzymane są opowiadania Katarzyny Urbanowicz – bardziej subtelne, łagodniejsze w środkach wyrazu, nastrojowe i wymagające od czytelnika pewnego rozsmakowania w tym typie literatury. Fabuła nie jest tutaj sprawą główną, brak w tych opowiadaniach napięcia i dynamicznej narracji. Opisy są raczej statyczne, a dialogi spokojne i złożone z pełnych, „uładzonych" zdań. Najistotniejszy dla tych opowiadań jest ich specyficzny nastrój, melancholijna zaduma nad sprawami, nad którymi na co dzień przechodzimy obojętnie. Jest to chyba dość charakterystyczne dla tworzących fantastykę kobiet. Katarzyna Urbanowicz pisze obrazami, rozsmakowuje się w szczegółach, potrafiąc przy tym przekazać trochę niezbyt wesołych refleksji o naszym życiu. Czytelnikowi, który nie szuka w SF fabuły, mogą jej teksty sprawić dużą satysfakcję. Dobrze się stało, że ta nieznana dotąd, nie publikująca w prasie autorka została przedstawiona szerszej publiczności, choć obawiam się, że uprawiany przez nią typ literatury cieszy się wśród miłośników SF znacznie mniejszą popularnością, niż fantastyka oparta na wzorach powieści sensacyjnej.

Wszystkie trzy zeszyty wypada uznać za udane, nowa seria zapowiada się zatem interesująco. Tym bardziej że przemawia za nią nie tylko wysoki poziom publikowanych tekstów, ale także dobre opracowanie, niezła grafika i estetyczne okładki. Przydałoby się może tylko zamieszczać w zeszytach spis treści i ujednolicić typografię okładek. No i cena (100 zł) jest jak na objętość almapressowskich zeszytów raczej wygórowana. Cóż, przyszły złe czasy dla miłośników książek.

Pozostaje mieć nadzieję, że seria PSMF i Almapressu nie obniży w przyszłości lotów, ma bowiem wszelkie dane ku temu, aby zadowolić nawet najwybredniejszych miłośników fantastyki i w ogóle dobrej literatury.

Rafał A. Ziemkiewicz

Krzysztof Kochański: *Zabójca czarownic.* Grzegorz Drukarczyk: *Reguła baśniowego mroku.* Katarzyna Urbanowicz: *Plama na wodzie.* Almapress, Warszawa 1986. Cena każdego zeszytu 100 zł.

WIZJONER

Mimo niepowodzenia powieści „2010 – Odyseja druga" i spektakularnej klęski nakręconego na jej podstawie filmu, Arthurowi C. Clarke'owi nie grozi zapomnienie na dobrowolnym wygnaniu w Sri Lance. Przemija wprawdzie moda na „klasyczną fantastykę naukową", maleje popularność najwybitniejszych jej twórców, lecz pasja literacka nie jest jedyną, na jaką cierpi autor „Odysei". Dowodem na to „1984: Spring. A Choice of Futures" (1984 – Wiosna. Wybór przyszłości), dwudziesta szósta (!) jeśli dobrze liczę, niefabularna pozycja w bogatym dorobku futurologicznym i eseistycznym brytyjskiego pisarza. I, zapewne, nie ostatnia...

„1984 – Wiosna..." to zbiór tekstów o różnej proweniencji: esejów, przemówień i „wystąpień" na różnego rodzaju spotkaniach i konferencjach. Były one publikowane wcześniej, w pismach tak różnych jak „Analog Science Fiction/Science Fact" i „Omni", „Time Magazine" i „National Geographic Magazine". Zgrupowano je w książce w czterech rozdziałach, zatytułowanych kolejno: „The Weapons of Peace" (Bronie pokoju), „Apollo and After" (Apollo i dalej), „The Literary Scene" (Scena literacka), „From the Coast of Coral" (Z koralowych wybrzeży). Każdy z nich odpowiada jednemu, dobrze znanemu kręgowi zainteresowań Clarke'a. Osobne rozpatrywanie kwestii łączności i komunikacji (ich rozwój ma być właśnie „bronią pokoju"), eksploracji kosmosu i fascynacji skarbami oceanu może jednak mylić. Problematyka najnowszej książki Clarke'a da się opisać prościej, przynajmniej z punktu widzenia czytelnika. „1984 – Wiosna" mówi po prostu o człowieku, o perspektywach naszej cywilizacji.

Jej stosunek do techniki to najważniejszy z interesujących Clarke'a problemów, składający się w istocie z dwóch ściśle powiązanych ze sobą zagadnień. Pierwsze z nich dotyczy relacji między ludzkością a techniką „ziemską". Dostrzegając (jak wielu) możliwość samozagłady cywilizacji Clarke nie traktuje jej jako alternatywy, nad którą warto byłoby dyskutować. Próbuje skupić całą swą uwagę na tym, co mogłoby uchronić nas przed samobójstwem. Obracając się w sferze nauki, przedstawia szansę ocalenia najzupełniej naukową, polegającą na ciągłej rewolucji (tak to właśnie nazywa, „steady revolution") środków komunikowania. Na naszych oczach rozpoczęła ją konstrukcja tranzystorowego radia – zakończenie zna tylko science fiction. Rewolucja komunikacyjna, oprócz możliwości nieograniczonego, niemal kulturowego rozwoju ludzkości daje nam do ręki potężną broń. *„W Sri Lance radioamatorzy z całkiem prostym sprzętem odbierali obrazy doskonałej jakości z potężnych satelitów radzieckich EKRAN"* – pisze Arthur Clarke. *„Dzięki nim mogliśmy oglądać Igrzyska Olimpijskie w Moskwie.*

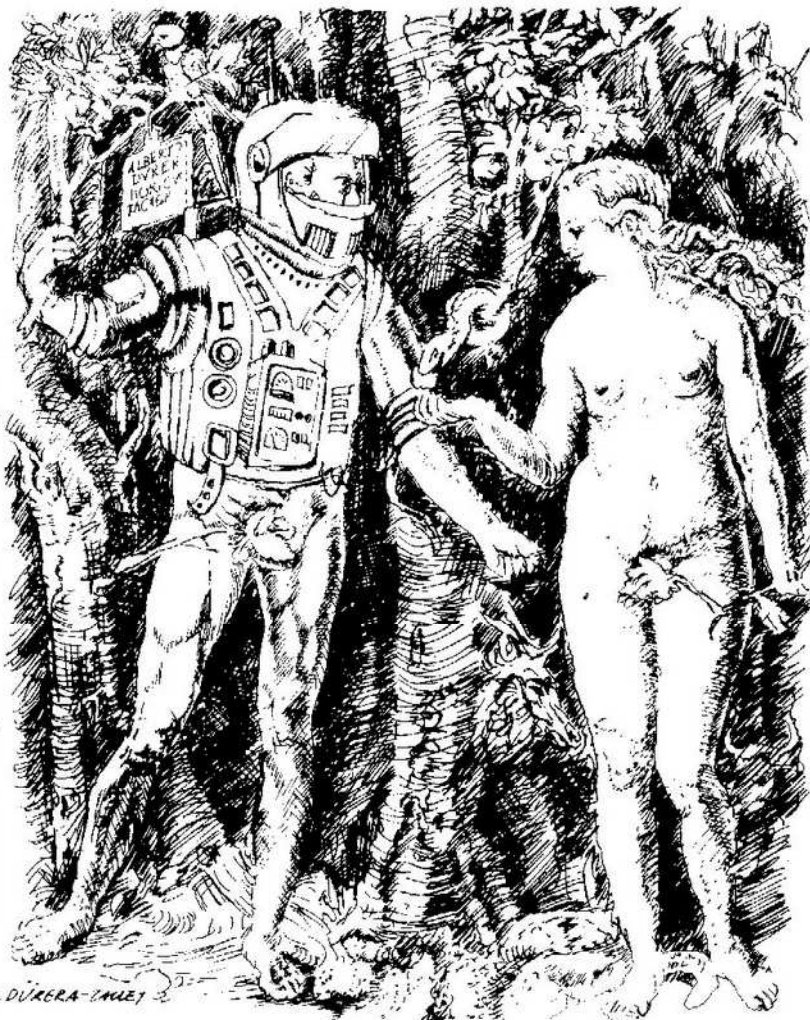
Człowiek a technika „kosmiczna" to drugie, równie ważne ogniwo rozumowania Clarke'a. Zgodnie z „obowiązującymi obecnie" prawami fizyki, autor świadomie ogranicza aktywność człowieka w kosmosie do planet Układu Słonecznego. Konieczność ekspansji jest jednak dla niego bezdyskusyjna i to zarówno ze względów cywilizacyjnych (ludzkość nie zniesie stagnacji), jak i... ekonomicznych. Clarke wyśmiewa „ekspertów", którzy leją gorzkie łzy nad „milionami wsadzonymi w rakiety i wysyłanymi w przestrzeń". Sposobem redukcji wydatków byłaby „winda do nieba" – najprostsza i najtańsza forma dostarczania ładunków na satelity poruszające się po orbitach stacjonarnych. Niemożliwe? Przecież ludzkość łatwo rozwiązuje problemy wyłącznie technicznej natury.

Clarke'a wiele różni od pomniejszych, zwłaszcza katastroficznych „proroków". Potrafi propagować rozwój techniki, broniąc jednocześnie czystości i piękna jednego z największych skarbców ludzkości: oceanu. Nie proponując rozwiązań drastycznych w swej skrajności znajduje szansę dla ludzi, dokonując równie oryginalnej co odważnej interpretacji rzeczywistości, której wszyscy jesteśmy świadkami. I nie jest chyba przypadkiem, że rozdział „Scena literacka" pozostaje na marginesie głównego nurtu zainteresowań A. Clarke'a, mimo że mówi dosyć dużo o fascynacjach pisarza (m.in. twórczością nie znanego w Polsce zupełnie Olafa Stapeldona). „1984 Wiosna" nie opowiada jednak o samym Clarke'u – dotyczy spraw bardziej uniwersalnych. Jej najlepszym podsumowaniem może być notka edytorska na okładce. *„Przeciw orwellowskiej dacie 1984 Arthur C. Clarke wybrał porę nadziei – wiosnę..."*

Krzysztof Sokołowski

Arthur C. Clarke: *1984 Spring. A Choice of Futures.* London 1984.

Przed dziesięcioma laty ogłosiłem w „Dookoła świata" felieton pod tytułem „Ewa z Adama czy Adam z Ewy?" (znalazł się on później w zbiorze „Biologia zmienia człowieka"). Chodziło w nim o biblijną relację dotyczącą kolejności pojawienia się na świecie pierwszej pary ludzkiej. Otóż, jak pisałem, znana wersja ze Starego Testamentu została zdementowana przez badacza francuskiego, profesora Josta.



TRÓJGŁOS W SPRAWIE PRABABKI EWY

Arnold Mostowicz

Jost przypomniał, że gonady, czyli gruczoły płciowe, nie są do szóstego – siódmego tygodnia życia płodowego na tyle zróżnicowane, by można było przewidzieć, czy z zarodka tego rozwinie się osobnik płci męskiej czy żeńskiej. Gonady są u zarodka potencjalnie dwupłciowe. Uczony francuski stwierdził, że u zarodka królika, któremu usunięto gruczoły płciowe rozwinęły się niektóre wewnętrzne narządy żeńskie, mimo iż chromosomowo był to zarodek płci męskiej (to znaczy, że w parze chromosomów płciowych jego komórek znajdował się chromosom Y). Kiedy zaś profesor Jost tej samej operacji dokonał na zarodku królika genetycznie żeńskiego (w parze chromosomów płciowych dwa chromosomy X) to mimo braku jajników u zarodka rozwinęły się narządy płciowe żeńskie zewnętrzne.

Jost wyciągnął z tego wniosek, że do wykształcenia się narządów płciowych żeńskich wcale nie jest niezbędne przekształcenie się gonad w jajniki. Natomiast przekształcenie się gonad w jądra jest konieczne, by u zarodka rozwinęły się narządy płciowe męskie. Inaczej mówiąc gonada rozwinięta w męskie jądra uniemożliwia rozwój organizmu żeńskiego. Do tego czasu uważano powszechnie, że rozwój płci zarodka jest uwarunkowany tylko tym, czy jajo było zapłodnione przez plemnik z chromosomem płciowym Y czy X. W zależności od tego centralna część gonady rozwijała się w jądro przy atrofii części korowej albo część korowa gonady przekształcała się w jajnik, powodując zanik warstwy centralnej.

Profesor Jost uznał za mało istotny podział gonad na część korową i na część centralną. Okazało się, że u zarodka płci męskiej narządy płciowe rozwijają się znacznie wcześniej niż u zarodka płci żeńskiej. Wynika to, zdaniem uczonego francuskiego, z faktu zahamowania normalnego rozwoju gonady przez jakiś czynnik, prawdopodobnie natury hormonalnej, kodowany przez gen znajdujący się w chromosomie Y.

Uczony francuski twierdzi dalej, że na wszystkich stopniach rozwoju życia, a zwłaszcza na tym, na którym powstają gonady, cały program rozwoju organizmu przewiduje zawsze powstanie osobnika płci żeńskiej i tendencja ta zwyciężałaby zawsze, gdyby nie ów chromosom Y.

O ile mi wiadomo, hipoteza profesora Josta nie została powszechnie zaakceptowana, a ów czynnik hamujący rozwój gonad w kierunku im właściwym nie został dotychczas wyodrębniony. Teoria nie została więc dotychczas potwierdzona od strony hormonalnej czyli biochemicznej. Otrzymała natomiast ostatnio potwierdzenie od strony biologii molekularnej.

Jak podaje miesięcznik francuski „Science et vie" (nr 825), światowej sławy uczony Allen C. Wilson, profesor biochemii na uniwersytecie Berkeley, doszedł do podobnej co profesor Jost odpowiedzi na pytanie kto był pierwszy – Ewa czy Adam? Uznał mianowicie, że wszyscy przedstawiciele naszego gatunku są potomkami kobiety, która żyła ok. 200 000 lat temu w Afryce. Profesor Wilson oparł swoje przypuszczenia na podstawie długich i żmudnych badań materiału genetycznego znajdującego się w mitochondriach. (Mitochondria są to znajdujące się w cytoplazmie istot żywych organelle, będące dla komórek czymś w rodzaju central energetycznych).

Uważa się dzisiaj powszechnie, że pojawienie się mitochondriów w cytoplazmie nastąpiło około dwóch miliardów lat temu. Co więcej, przypuszcza się, że mitochondria były pierwotnie samodzielnymi, niewielkich rozmiarów bakteriami, które zostały wchłonięte przez komórki znacznie większe i zachowały w łonie tych komórek pewnego rodzaju autonomię. To wchłonięcie (inaczej endosymbioza) okazało się korzystne, dzięki temu bowiem komórka zdobyła zdolność wykorzystania tlenu atmosferycznego.

Mitochondria mają wygląd ziarenek grochu wielkości od 2 do 6 mikrometrów (tysięcznych części milimetra), a ich liczba w komórce zależy od jej zapotrzebowania energetycznego. W przeciwieństwie do innych organelli komórkowych mitochondria mają swój własny materiał genetyczny, niezależny od materiału genetycznego jąder komórkowych. Jest on zresztą dosyć ubogi. U człowieka nie przekracza 16–17 tysięcy par nukleotydów. Jak na każdy fragment DNA przystało, również ten w mitochondriach koduje prawdopodobnie produkcję pewnych enzymów – w tym wypadku niezbędnych do katalizowania reakcji energetycznych.

Przypuszcza się na ogół, że z całości materiału genetycznego bakterii wchłoniętych przez większe komórki, część nukleotydów w ciągu tych paru miliardów lat została w organizmach bardziej skomplikowanych przetransportowana do jądra komórkowego, co z jednej strony zmieniło podłoże dziedziczne komórki, a mitochondriom odebrało, jeśli można się tak wyrazić, pełną samodzielność.

Tym to bagażem genetycznym mitochondrii zainteresowali się uczeni uznając, że stanowi on najlepszy trop umożliwiający odtworzenie historii rozwoju filogenetycznego (to znaczy gatunkowego) różnych organizmów wielokomórkowych.

Odtworzenie historii gatunku na podstawie DNA mitochondrialnego jest możliwe przede wszystkim dlatego, że w zależności od różnych odmian na przykład ssaków (myszy) czy owadów (muszki owocowej) istnieją w owym mitochondrialnym DNA dające się wyraźnie zaobserwować różnice. Jeśli idzie o człowieka stwierdzono istnienie około czterdziestu odmian DNA znajdującego się w mitochondriach. Dodajmy przy tym od razu, że są to różnice tak zwane ciche, nie mające w zasadzie żadnego genetycznego wpływu na organizm. Poszczególne odmiany czy typy tego DNA przenoszą się z pokolenia na pokolenie wyłącznie dzięki dziedziczności żeńskiej, to znaczy przez matkę.

Wspomniany profesor Wilson zebrał mitochondria z komórek 147 łożysk z całego świata, łożysk pochodzących od kobiet zarówno ze wschodu naszej planety, jak i zachodu, północy i południa. Na podstawie tej niezwykłej kolekcji skatalogował on wszystkie geny tworzące DNA mitochondrialne, jak też oznaczył różnice między poszczególnymi grupami nukleotydów mitochondrialnych. Następnie obliczył statystycznie czas, który mógł upłynąć, aby pojawiły się owe zmiany w genomie mitochondrialnym, począwszy od jakiejś hipotetycznej mitochondrii protoplastki.

Metoda ta, bardzo pobieżnie tu zrelacjonowana, nie pozwala, rzecz jasna, na ustalenie jakichś dat bardziej dokładnych. W każdym razie, jak stwierdza „Science et vie", *„badanie zmian w*

DNA mitochondriów u różnych ssaków, na przestrzeni szeregu pokoleń pozwoliło stwierdzić, że wskaźnik tych zmian wynosi około 2-4% na milion lat". A zmiany te, powtarzam to z naciskiem, przekazywane są wyłącznie przez matkę.

I tak profesor Wilson obliczył, że owa Ewa całej ludzkości, której mitochondria dały początek wszystkim odmianom mitochondrii ludzkich, żyła około 140 000 - 280 000 lat temu.

Ale to nie wszystko. Profesor Wilson doszedł ponadto do wniosku, iż mutacja, która legła u podstaw gatunku Homo sapiens była zjawiskiem, a właściwie wydarzeniem, jednorazowym. Przeczy to więc twierdzeniu, że różne odmiany naszego gatunku rozwijały się oddzielnie, niezależnie od siebie – z gatunków bardziej prymitywnych, jak na przykład Homo erectus (Jawa – około miliona lat temu) czy Człowiek z Pekinu (około 500 000 lat temu). Zdaniem profesora Wilsona owa Ewa ludzkości, a odczytał on to w mitochondriach, pojawiła się jednorazowo z Homo erectus, w Afryce. I ona była nosicielką jednej lub więcej mutacji „uczłowieczających".

Nasuwa się jednak pytanie natury czysto praktycznej. Jeśli owa afrykańska Ewa miała wydać na świat potomstwo, z którego i my się wywodzimy, to musiała zostać zapłodniona przez osobnika męskiego tego samego gatunku. Skąd się wziął ów osobnik płci męskiej? Oto problem. Profesor Wilson twierdzi, że istnieją tu dwie możliwości.

Pierwsza zakłada, że nie tylko Ewa była efektem mutacji, ale kilkoro osobników jednocześnie. Jest to, rzecz jasna, mało prawdopodobne, chociaż oczywiście niewykluczone, jako że i tak niewiele wiemy o przyczynach większości mutacji. W takim wypadku nowy gatunek rozwinąłby się nie w pierwszym, ale w następnych pokoleniach.

Druga hipoteza natomiast zakłada, że owa „decydująca mutacja" była recesywna. Dzieci tej Ewy, w wyniku skrzyżowania jej z samcem Homo erectus miałyby w swoim podłożu dziedzicznym po jednym egzemplarzu zmutowanych genów (względnie jednego tylko genu). Jeśli dzieci te krzyżowały się między sobą albo ze swoją własną matką, połowa potomstwa trzeciego pokolenia miałaby już obydwa niezbędne komplety zmutowanych genów niezbędnych dla kontynuacji nowego gatunku.

Tak czy inaczej u narodzin ludzkości legło... kazirodztwo: albo syn zapłodnił matkę, albo brat siostrę. Tylko w takim wypadku mógłby się rozwinąć gatunek, którego protoplastą byłaby mutantka Ewa...

Profesor Wilson nie potrafi powiedzieć czy owa pra-Ewa była biała, żółta czy czarna. Najprawdopodobniej jednak czarna. Na podstawie genomu mitochondrialnego uczony amerykański twierdzi, iż miejscem jej narodzin była Afryka. Materiał genetyczny mitochondriów wszystkich ras, wszystkich typów etnicznych ludzkości zawiera bowiem przynajmniej kilka takich „afrykańskich" genów charakterystycznych dla Murzynów współcześnie żyjących na tym kontynencie.

W ten oto sposób to, co profesor Jost wywnioskował analizując rozwój ontogenetyczny (jednostkowy) człowieka zostało potwierdzone przez badania filogenetyczne naszego gatunku. Pięknie!

Gdybym na tym zakończył niniejsze rozważania byłby ten felieton popularyzacją pewnego wycinka wiedzy o rozwoju naszego gatunku. Ale...

Ale z rejonu relacji mówiących o poszukiwaniach i badaniach biologicznych czy antropologicznych przejdziemy albo raczej przeskoczymy w rejon... mitologii. A skok to wart ryzyka. Konkretnie chodzi o mitologię Sumerów, a właściwie o tę jej część, która mówi o początkach gatunku ludzkiego. (Nawiasem mówiąc część ta prawie całkowicie pokrywa się z przekazem Starego Testamentu).

To, o czym Czytelnik przeczyta dalej jest streszczeniem wywodów amerykańskiego autora Zacharii Sitchina, znakomitego znawcy dziejów Sumeru, który o sprawach tych pisał w dwóch książkach: „Dwunaste ciało niebieskie" i „Stopnie do nieba".

Mitologia sumeryjska – twierdzi Sitchin – szczegółowo opisuje losy istot nazywanych Anunnaki, co oznacza: „ci z nieba, którzy są na Ziemi". Odpowiada ona nazwie Nefilim, o której mowa w VI rozdziale Księgi Genezis. Nefilim często tłumaczy się słowem „giganci", „olbrzymi", co jest o tyle niesłuszne, że słowo to dokładnie w języku hebrajskim znaczy „ci, którzy spadli z góry".

Zgodnie z obliczeniami Sitchina, Anunnaki mieli się pojawić na Ziemi ok 400 000 lat temu. Przybyło ich około tysiąca w kilku kolejnych ekspedycjach. Dowodzili nimi bracia: Enki (Ea) – „pan trwałego lądu" i Enlil – „pan nad słowem". Ich przyrodnią siostrą, o której życzliwość współzawodniczyli, była Ninhursag – „pani szczytu góry". Jej syn – zgodnie z tym, co odczytał Sitchin w klinowych tabliczkach akkadyjskich i asyryjskich, miał być zarówno władcą Ziemi, jak i panować na planecie, z której (zdaniem Sitchina) ekspedycja ta przybyła, to jest na nieznanej nam jeszcze dziesiątej planecie naszego układu.

Większość Anunnaków ciężko pracowała w kopalniach złota Afryki. Złoto to zaś miało być użyte do jakichś specjalnie ważnych celów na owej dziesiątej planecie. Wśród Anunnaki wybuchł bunt, w wyniku którego okazało się, że ciężko pracujących w kopalniach musi ktoś zastąpić. Kto?

Enki znalazł rozwiązanie – głosi mit. Na złotodajnym kontynencie żyje gatunek prymitywnych istot, które mogłyby wykonywać tę ciężką pracę, gdyby posiadały większą inteligencję. Sitchin twierdzi, że gatunkiem tym, na który wskazał Enki były małpoludy – Pithecantropus erectus. Chodziło więc o to, aby istotom tym przekazać pewne cechy właściwe Anunnaki. Mieliby wówczas przybysze do swej dyspozycji dostateczną liczbę rąk do pracy.

Sprawą tą zajęła się Ninhursag, która, jak twierdzi cytowany autor, miała sprawować coś w rodzaju szefostwa medyczno-biologicznego nad wyprawą. Zresztą, zamiast nieudolnie go streszczać, zacytuję Sitchina dosłownie (według „Stopni do nieba"):

„Przezwyciężyć trzeba było wiele trudności, dokonać wielu doświadczeń zanim znaleziono właściwą metodę. Ea i Ninhursag zapłodnili jajo samicy małpoluda nasieniem młodego astronauty. Zapłodniono jajo umieszczono nie w łonie prawdziwej matki, ale w łonie jednej z astronautek. I wreszcie otrzymano pierwszy egzemplarz..."

...„jak każdy jednak mieszaniec, istota ta była niezdolna do dalszego rozmnażania się. Aby otrzymać więcej prymitywnych osobników, czternastu boginiom z ekspedycji umieszczono w łonie zapłodnione jajo samic małpoludów. Siedem urodziło chłopców, a siedem dziewczęta"

Ale i te egzemplarze nie były doskonałe. Tym bardziej, że od pierwszej chwili zarysował się problem długości życia owych przekształconych w istoty inteligentne małpoludów. Dlaczego małpoludy umierały znacznie szybciej niż „astronauci" i dlaczego przedstawiciele nowego gatunku żyli jednak dłużej od swoich afrykańskich przodków? Był to tylko wpływ otoczenia czy też właściwość zapisana w podłożu genetycznym?

Nastąpiły więc dalsze próby i dalsze – pisze Sitchin – „manipulacje genetyczne", aż wreszcie otrzymano egzemplarz znacznie przydatniejszy dla celów Anunnaki od poprzednich. Nowy egzemplarz otrzymał nazwę Adapa i dał początek nowemu gatunkowi. Charakteryzował się większą inteligencją, większą zdolnością rozrodczą. Nie stety nie dorównywał przybyłym długowiecznością – twierdzi na podstawie tabliczek z pismem klinowym Sitchin. Ostatecznie Anunnaki mieli pochodzić z planety, której jeden obrót wokół Słońca trwał 3600 lat.

Ale nas najbardziej zainteresuje inny fakt. Oto bowiem wydała na świat ów pierwszy egzemplarz Adapa, bogini (astronautka?) Ninti, którą mit nazywa boginią-matką, a samo imię Ninti oznacza „kobietę, która dała życie".

Wszystkie te wydarzenia są nawet bogato ilustrowane na asyryjskich pieczęciach cylindrycznych. Na jednej z nich pokazuje Ninti bogowi Enki (który był też jej mężem) wydaną przez siebie na świat istotę, stworzoną na podobieństwo bogów... Szereg elementów na tej pieczęci (reprodukowana jest ona w obydwu książkach Sitchina) wskazuje, iż miała ona podkreślić czy też dać do zrozumienia, że wydarzenie to nastąpiło w autentycznym... laboratorium. Świadczyć o tym mają różnego rodzaju naczynia, butle, czy retorty.

Na jednej z tabliczek glinianych znajduje się następujący tekst:

„(Enki) z dużą znajomością udoskonalał go
Mądrości użyczył mu
Wiedzę dał mu
Ale nie dał mu wiecznego życia".

Na innej tabliczce, jak twierdzi Sitchin, przeczytać można, że Ninti urodziła istotę na podobieństwo boga i zgodnie z jej wolą jest to człowiek...

Oczywiście całą tę relację można czy nawet należy odczytać jako mityczny przekaz czegoś, co być może naprawdę się wydarzyło, jeśli oczywiście uznać, iż interpretacja Sitchina jest słuszna.

Co było później, po „wyprodukowaniu" istoty, której los był tak niezwykły – wiadomo. Jak już wspomniałem relacja biblijna mówiąca o stworzeniu Adama (Adapu) jest przypuszczalnie przetworzeniem (prawdopodobnie przez Mojżesza) mitu sumeryjskiego – znacznie zresztą bardziej malowniczego i znacznie obszerniejszego.

Imię Adam zawiera w sobie zarówno pierwiastek „dam" – krew, jak i „adama" – ziemia. („Adamatsu" – po akkadyjsku). Symbolika więc tego imienia jest wielostronna. Dusza, którą miał otrzymać Adam jest często w wielu mitach równoznaczna z krwią, a w redakcji asyryjskiej mitu mowa jest o doświadczeniach Enki z krwią. Ale poza tym Adam oznaczać może kogoś stworzonego z „czerwonej gliny", a także – co ciekawsze „jednego z Ziemi". W mitologii sumeryjskiej cały gatunek nazwany jest Adamu.

Pozostawmy jednak Stary Testament w spokoju. Nas interesuje interpretacja Sitchina. Zgodnie z tą interpretacją mit sumeryjski podwójnie niejako podkreśla rolę pierwiastka żeńskiego w powstaniu człowieka. Po pierwsze - przez użycie do doświadczeń (?) jaja samicy małpoluda, istoty, która zaludniała Afrykę, a po drugie - przez fakt uczestniczenia w tym wydarzeniu Ninti – „kobiety, która dała życie". Mamy w tym micie także fakt jednorazowego powstania naszego gatunku, a więc konieczność stosunków kazirodczych dla kontynuowania tego gatunku... Bo jak inaczej?

Całą tę interpretację mitu sumeryjskiego streściłem tu na odpowiedzialność Zacharii Sitchina. Uchodzi on za znakomitego znawcę języków hebrajskiego, akkadyjskiego, asyryjskiego. Jest także zwolennikiem hipotez paleoastronautycznych, co w oczach niejednego naukowca z góry go kompromituje.

Wydaje się jednak, że w świetle odkryć profesorów Josta i Wilsona tę interpretację mitu sumeryjskiego warto było przytoczyć. ■

15 miliardów lat temu COŚ SIĘ STAŁO (może zresztą było to 10 mld, może 20 mld lat temu, dokładnie nie wiadomo) – i oto „z niczego" zaczął nagle z nieprawdopodobną szybkością rosnąć dziwaczny pęcherz, z nim zaś pojawiła się znana nam materia, a także przestrzeń i czas... Tak właśnie, wedle teorii Wielkiego Wybuchu, teorii powszechnie przyjętej i udokumentowanej na tyle, że nazwano ją „standardową" – powstał Wszechświat. Może zresztą powstało wówczas wiele wszechświatów, ale o innych nic nie wiemy poza tym, że po prostu mogą istnieć.

Zwykle w noworocznych numerach różnych czasopism snuje się przewidywania: co przyniesie najbliższa przyszłość? Więc i ja spróbuję zastanowić się nad przyszłością, ale jak przystało na „Fantastykę" – nad przyszłością najdalszą, ostateczną. Tak więc nasze pytanie brzmi: co może stać się z owym powstałym 15 mld lat temu pęcherzem, jaki będzie koniec Wszechświata?

Z tamtej strony lustra

KONIEC WSZECHŚWIATA?

Maciej Iłowiecki

Wśród wielu różnych „końców", którymi straszą nas futurolbgowie i przepowiadacze przyszłości, ten przynajmniej koniec – chociaż byłby to koniec WSZYSTKIEGO – zupełnie nas nie wzrusza. Jakikolwiek by bowiem był – a przekonamy się zaraz, że nie tylko może być różny, ale nawet może nie nastąpić w ogóle – sprawa dotyczy czasów tak odległych, że naprawdę koniec Wszechświata nie ma dla nas ani dla następnych pokoleń żadnego znaczenia. Jest to jednak problem poznawczy niesłychanie ciekawy i to już w zupełności wystarcza, by poświęcić mu nieco uwagi.

Wedle stanu dzisiejszej wiedzy na początku był zatem Wielki Wybuch, ale nie pytajmy CO wybuchło, ani DLACZEGO wybuchło, ponieważ – powtórzę – wszystko, co znamy, łącznie z przestrzenią i czasem, pojawiło się właśnie wtedy. Była to – powiedzą nam kosmologowie – „chwila osobliwa" (trzeba przyznać, że najosobliwsza z możliwych!) i „niesensowne" (to znaczy nienaukowe) jest pytanie zarówno o przyczynę wybuchu, jak i o to, co było przedtem, skoro wtedy miał się zacząć czas. Nie wiem, czy można to w ogóle zrozumieć, można tylko pogodzić się z koncepcją, którą większość najlepszych znawców przedmiotu przyjmuje za racjonalną.

Pojęcie „wybuchu" sugeruje, iż nastąpił on w jakimś miejscu, ale nie łudźmy się, że przynajmniej tutaj natrafimy na coś zrozumiałego. Eksplozji nie można przypisać żadnego miejsca, bo i samo „miejsce" – tj. przestrzeń – powstała w chwili osobliwej, zanim zaś to nastąpiło, nie było niczego wokół punktu eksplodującego. Kolejny próg niepojętości – bo przecież nie możemy sobie wyobrazić takiej „nicości", dla naszych umysłów NIC jest pustą przestrzenią. No dobrze, ale przestrzeni jeszcze wtedy nie było.

Całe szczęście, że już dalszą historię tego świata, powstałego „z niczego", można i prześledzić i zrozumieć. (O nowych hipotezach, wedle których świat nam znany wyłonił się z czegoś w rodzaju „brzemiennej próżni" – innym razem.) Fizyka teoretyczna i kosmologia pozwalają poznać historię naszego Wszechświata poczynając mniej więcej od 10^{-35} części sekundy po chwili zero, w której ta historia w ogóle się zaczęła. 10^{-35} sekundy jest „krótkością" czasu tak małą, że staje się dla umysłu ludzkiego rzeczą równie niewyobrażalną, jak wieczność albo początek czasu. Dla rozważań o przyszłości ważne jest jednak

stwierdzenie, że ów tajemniczy „pęcherz", który wtedy zaczął rosnąć, rośnie nadal. Inaczej mówiąc, Wszechświat jakby stale znajduje się w stanie eksplozji, przestrzeń stale się rozszerza. Zjawisko, zwane „ucieczką galaktyki", czyli fakt, że wszystkie galaktyki, zbiorowiska kosmicznych obiektów, oddalają się w z a j e m od siebie, uzasadnił amerykański astronom Edwin Hubble i zapoczątkowało to nową erę w kosmologii. Słowo „wzajem" ma tu zresztą zasadnicze znaczenie, że powołam się na często używaną przenośnię: galaktyki oddalają się od siebie tak, jak na przykład kropki na powierzchni nadymanego baloni ka albo rodzynki w rosnącym „na drożdżach" cieście.

Otóż w 1929 r. ukazał się słynny artykuł Hubble'a, w którym uczony wykazał, że widmo światła dalekich galaktyk wykazuje tzw. przesunięcie ku czerwieni. Jest to – wedle powszechnie przyjętej interpretacji – spowodowane tzw. zjawiskiem Dopplera (jeśli źródło fali, w tym wypadku świetlnej, i jej obserwator poruszają się względem siebie, obserwator dostrzega zmianę częstotliwości tej fali). Przesunięcie ku czerwieni albo „poczerwienienie" światła dalekich galaktyk jest więc zjawiskiem analogicznym do na przykład obniżania się tonu gwizdka parowozu oddalającego się pociągu. Przesunięcie ku czerwieni – jeśli powyższa interpretacja jest prawidłowa, a wydaje się, że tak – oznacza więc rozbieganie się galaktyk, oznacza, iż Wszechświat się nadal rozszerza. Owa „ucieczka galaktyk" jest zarazem tym szybsza, im znajdują się one dalej od siebie. Można to określić tak: odległość pomiędzy dwiema niezależnymi galaktykami rośnie z prędkością, zależną od ich odległości. W obecnym więc stanie Wszechświata nieustannie i coraz szybciej powiększa się obszar galaktycznej pustki! Dla obserwatora w naszej Galaktyce, w Drodze Mlecznej, czyli po prostu dla nas, mieszkających na Ziemi, pozostałe dostrzegalne galaktyki uciekają z szybkością rosnącą ok. 17 kilometrów na sekundę co każdy milion lat świetlnych odległości (nowe, dokładniejsze wyliczenia mogą tę liczbę zmienić, ale nie zmienią istoty rzeczy). Najdalsze, najbardziej odległe galaktyki osiągają prędkość ucieczki bliską prędkości światła... Wydaje się to trudne do pojęcia, ale w kosmologii niewiele jest spraw łatwych do pojęcia. W każdym razie najdalszy znany dziś obiekt, kwazar oznaczony PKS 2000 330, ma przesunięcie ku czerwieni, wskazujące, że oddala się z sza-

loną prędkością 270 tysięcy kilometrów na sekundę (co stanowi ok. 92% prędkości światła)! Oznacza to, że ów kwazar oddalony jest od Ziemi o ponad 6 miliardów lat świetlnych (kto potrafi, niechże sobie wyobrazi taką odległość), a jego światło, które t e r a z spostrzegamy, musiało zostać wysłane z a r a z po Wielkim Wybuchu. Kwazar ten może już dawno nie istnieć, ale może być widoczny jeszcze przez miliony lat.

Dla porównania: Ziemia krąży wokół Słońca z prędkością 30 kilometrów na sekundę (co czyni 108 tys. km na godzinę), zaś cały Układ Słoneczny mknie wokół środka Drogi Mlecznej z prędkością około 250 kilometrów na sekundę. Są to dla nas prędkości przeogromne, cóż jednak znaczą wobec pędu galaktyk i kwazarów!

Zwróćmy uwagę na rzecz bardzo istotną: galaktyki oddalają się p o m i m o siły powszechnego ciążenia, która „ciągnie" je ku sobie z powrotem. Można wobec tego zadać kolejne pytanie: czy galaktyki będą się nadal nieskończenie oddalać, czy też siła grawitacji przeważy w końcu energię, uzyskaną w Wielkim Wybuchu i kiedyś zacznie się proces odwrotny – „ściąganie" galaktyk do siebie? W pierwszym wypadku, to znaczy przy energii dostatecznej, by wyrwać się więzom grawitacji, rozszerzanie się Wszechświata nie ustanie i możemy uznać, iż zamieszkujemy Wszechświat o t w a r t y i wiecznie ekspandujący, nieskończenie wielki. W drugim wypadku, jeśli energia pędzących galaktyk nie wystarczy, by przezwyciężyć grawitację, w jakimś momencie sytuacja się odwróci i galaktyki zaczną jakby „wracać", ciągnąć ku sobie i w końcu cały Wszechświat (razem z czasem i przestrzenią – tak!) zapadnie się w sobie, wróci do punktu wyjścia. Jeśli by tak było, oznaczałoby to, iż zamieszkujemy Wszechświat z a m k n i ę t y, który w końcu zacznie maleć – aż zmaleje do zera, powróci do nicości.

Od czego zależy spełnienie się którejś z tych ewentualności? Oczywiście od siły, z jaką przyciągają się galaktyki, czyli od grawitacji. Zaś grawitacja zależy od ilości materii (czyli od jej średniej gęstości) we Wszechświecie. Można wyliczyć teoretycznie, jaka jest owa gęstość graniczna materii i takie wyliczenie zrobiono; wedle dzisiejszego stanu wiedzy gęstość krytyczna wynosi około 10^{-29} grama na centymetr sześcienny, co oznacza mniej więcej 10 atomów na metr sześcienny. Jeśli zatem gęstość materii we Wszechświecie jest większa od krytycznej, Wszechświat za kilka miliardów lat m u s i zacząć się kurczyć, zapadać w sobie, „niebo" zacznie się stawać coraz bardziej jasne i gorące, Słońce wybuchnie, my zaś po prostu usmażymy się, wyparujemy w potwornym gorącu i ciśnieniu. Jeśli oczywiście jakiekolwiek życie przetrwa jeszcze 10^{10} lat, bo tyle mniej więcej czasu pozostałoby w zamkniętym Wszechświecie.

Jeśli jednak gęstość materii jest choćby trochę większa od krytycznej, galaktyki nie przestaną oddalać się od siebie; w miarę oddalania wszystko będzie się ochładzać, by w końcu stężeć w potwornym mrozie. Koniec równie przyjemny, jak poprzedni, ale bodaj jeszcze późniejszy.

Znowu natykamy się na sprawy godne największego zdziwienia. Losy Wszechświata zależą od tego, czy w jego przestrzeniach mieści się kilka czy kilkanaście atomów na metr sześcienny [illegible] Również niepojęte jest [illegible]

dozą prawdopodobieństwa obliczyć, ile w końcu atomów materii przypada na metr kubiczny przestrzeni, czyli jaka jest rzeczywista średnia gęstość materii we Wszechświecie. Wprawdzie wciąż istnieje niepewność co do zasadności takich wyliczeń, zatem dopuszczalny jest zarówno Wszechświat zamknięty, jak otwarty. Ale dziś większość astrofizyków skłania się ku przekonaniu, że średnia gęstość materii we Wszechświecie jest niższa od krytycznej (potwierdzają to różne obliczenia) i wynosi prawdopodobnie tylko 3 atomy na metr sześcienny. Mniejsza o to, jakimi metodami uzyskano taki wynik, najważniejsze, iż wskazuje on otwartość Wszechświata, który zatem będzie rozszerzał się aż do... Właśnie do czego? Co stanie się dalej?

Otóż – znowu z koniecznym zastrzeżeniem, iż jest to pogląd zgodny z obecnym stanem wiedzy i że wobec tego może się zmienić – czeka nas 6 zasadniczych przemian. Słówko „nas" oczywiście na wyrost, gatunek ludzki chyba nie przetrwa wygaśnięcia Słońca, a zgaśnie ono już w początkach I etapu, mniej więcej za 10 miliardów lat... Mamy jeszcze przecież trochę czasu.

Tak więc I etap będzie czasem śmierci gwiazd. Po wypaleniu większości swego wodorowego paliwa gwiazdy „spuchną", zmienią się w wielkie czerwone olbrzymy i wówczas powstały z wodoru hel zacznie spalać się na węgiel i cięższe pierwiastki – aż do żelaza. Gwiazda żelazna jest gwiazdą martwą – i właśnie ostatnie gwiazdy zgasną, kiedy Wszechświat będzie sobie liczył co najmniej... 10 bilionów lat. Ale pozostaną jeszcze planety.

I właśnie w II etapie martwe gwiazdy utracą swoje planety, nastąpi to po upływie 10^{17} lat od Wielkiego Wybuchu. Planety też zresztą będą martwe, zestalone w bryły lodu od dawna, nie będzie przecież słońc, które mogłyby je rozgrzewać.

W III etapie nastąpi tzw. parowanie galaktyczne, to jest ucieczka z galaktyk martwych gwiazd, planet, gazów międzygwiezdnych i pyłów w przestrzeń międzygalaktyczną. W czasie, kiedy już około 90% materii opuści galaktykę, reszta wciągnięta zostanie siłą grawitacji do jej środka. W środku galaktyk znajdują się (tak się przypuszcza dziś) superczarne dziury, jeśli zaś ich tam nie ma, powstaną właśnie wtedy – nastąpi zapadnięcie się galaktyk. Czarna dziura jest, jak wiadomo, obiektem we Wszechświecie najdziwniejszym, teraz można tylko przypuszczać, że jest miejscem, którego nic nie może opuścić, jeśli cokolwiek się tam dostanie. Być może jest to rodzaj przejścia do innego Wszechświata... W każdym razie już po krótkim – w tej skali – czasie, bo po 10^{18} latach od Wielkiego Wybuchu, wszystkie galaktyki „wyparują" i „zapadną się" we własne czarne dziury.

Etap IV zależeć będzie od tego, czy proton – uważany dotąd za cząstkę trwałą – ulega jednak rozpadowi. Pewne zjawiska zdają się wskazywać, że tak, wynika to również z teorii tzw. wielkich unifikacji. Proton żyje przecież niewyobrażalnie długo – wedle dzisiejszych obliczeń około 10^{30} lat! Dopiero więc po takim czasie nastąpi ostateczny rozpad martwych gwiazd, tych które „wyparowały" z galaktyk, uniknęły przechwycenia przez czarne dziury i błądzą nadal w nieskończonych przestrzeniach. Rozpad protonów wywoła różne zjawiska, których tu już opisywać nie będę, w każdym razie po przeminięciu 10^{32} lat we Wszechświecie pozostanie już tylko bardzo rzadka mieszanina elektronów, pozytonów, fotonów, neutrin i – oczywiście – pozostaną też wielkie, tajemnicze czarne dziury. 10^{32} lat to czas jeszcze 100 razy dłuższy od trwania protonu! Ale i ten czas jest jakby „mgnieniem oka" wobec etapu V, który trwać ma do 10^{100} lat (licząc od Wielkiego Wybuchu – czas V etapu jest więc dłuższy od wszystkiego, co zdarzyło się dotąd o 10^{68}! Kto ma energię, niech oblicza, ale są to i tak wszystko „trwania" bliskie wieczności, a na pewno dla naszych umysłów niepojęte).

Etap V jest więc okresem stosunkowo spokojnym – tylko przez niewyobrażalnie długi czas cząstki elementarne tracą energię i wciąż rozrzedzają się w nieskończonej przestrzeni, odbiegają wzajem od siebie.

Czarne dziury zaś także zanikają pod wpływem procesu, zwanego „kwantowym parowaniem" (taką możliwość wykazał w 1974 r. słynny kosmolog S. W. Hawking z Cambridge w Anglii). Właśnie więc mniej więcej po 10^{100} latach od Wielkiego Wybuchu – przy założeniu, że nasz Wszechświat jest otwarty – znikną ostatnie czarne dziury i pozostaną tylko – wciąż tracące energię – pewne cząstki elementarne. Co będzie dalej? Niektórzy twierdzą, że absolutny bezruch, zamrożenie, ostateczna śmierć Wszechświata.

Jeśli Wszechświat jest zamknięty, może być również cykliczny: rozszerzanie się do pewnych granic, potem kurczenie, kolejny Wybuch i znów rozszerzanie, znów kurczenie i tak dalej. W każdym cyklu odtwarzałyby się obiekty kosmiczne i z nimi – być może – życie. Model cykliczny zamkniętego Wszechświata jest zapewne bardziej dla ludzkiego umysłu „do pojęcia", niż Wszechświat, który rodzi się z „niczego" i po niezmiernie długim, ale przecież skończonym czasie starzeje się i zamiera. Bo ja wiem zresztą, co jest bardziej „do zrozumienia"?

Na razie wiele wskazuje na to, że Wszechświat jest otwarty i że „wygaśnie".

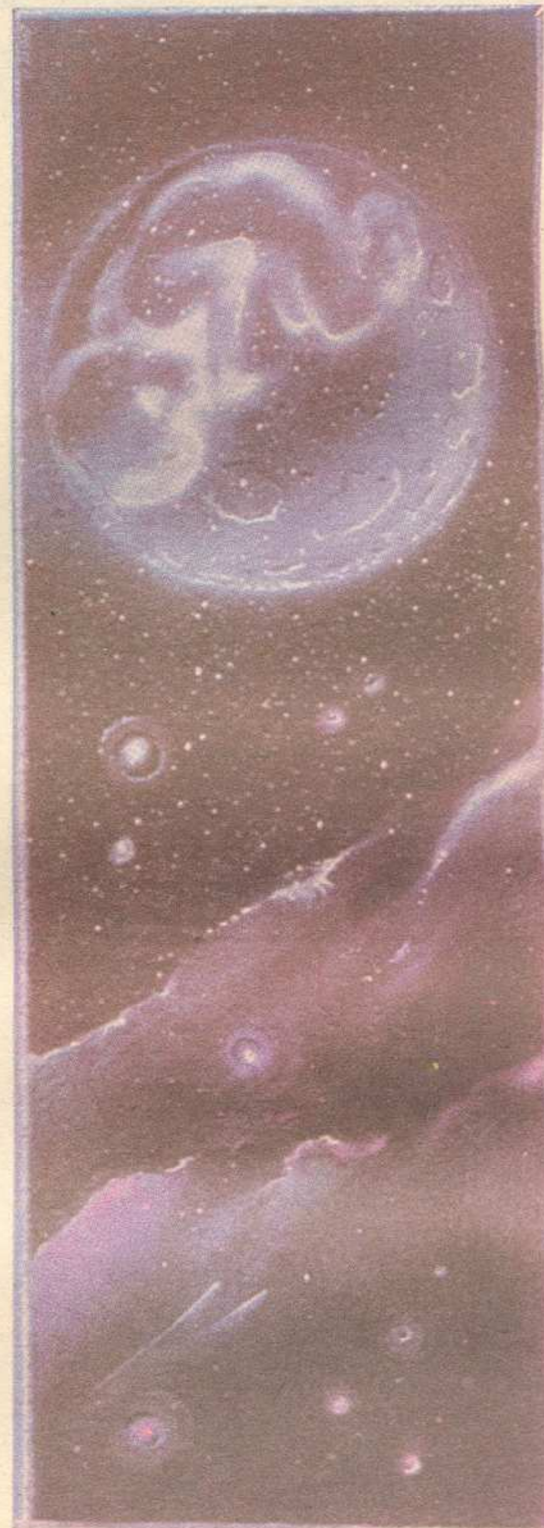
Wśród tych wszystkich nieprawdopodobnych dziwności, o których była mowa, może najbardziej dziwne jest to, że kruchy ludzki umysł ośmiela się twierdzić, iż przetrwa śmierć gwiazd i zmieni losy Wszechświata. Tak bowiem sądzi znakomity kosmolog i fizyk z Princeton – Freeman J. Dyson. Powiada on, ni mniej ni więcej, że rozumne życie może sterować fizyczną ewolucją Kosmosu i że wobec tego przetrwa ono nieskończenie długo! Po wygaśnięciu gwiazd może wykorzystywać inne źródła energii, w odpowiednim zaś momencie może *„opuścić ciała z mięsa i krwi"*. Dyson ma na myśli, że życie nie jest związane wyłącznie z białkiem i *„ma możność wcielenia się w toku ewolucji w dowolną substancję, najlepiej pasującą do jego celów"*. Zdaniem Dysona życie mogłoby więc istnieć w postaci na przykład obdarzonych świadomością „czarnych chmur". Ci, którzy czytali wydaną u nas książkę kosmologa Freda Hoyle'a („Czarna Chmura", Wyd. Lit. 1981), będą wiedzieli o co chodzi, choć znakomity uczony traktował swoją historię SF jako dobrą zabawę. Ale może w końcu ma to jakieś znaczenie, że dwa tak wybitne umysły naukowe (Hoyle i Dyson) nie wykluczają teoretycznie możliwości życia opartego na strukturze niebiałkowej?

Wracam do koncepcji Dysona – otóż twierdzi on dalej, że najbardziej niekorzystne okresy ewolucji Wszechświata życie mogłoby przetrwać w stanie świadomie uzyskanej anabiozy, hibernacji, fazy nieaktywnej. Najlepiej powołam się na słowa samego Dysona: „[w swych badaniach] *znalazłem Wszechświat, którego bogactwo i złożoność rosną nieograniczenie, Wszechświat, w którym życie ma trwać wiecznie i poprzez niewyobrażalne obszary przestrzeni i czasu informować o swym istnieniu sąsiadów. (...) Niezależnie od tego czy szczegóły moich rachunków okażą się poprawne, czy też nie, wydaje mi się, że wykazałem, iż istnieją poważne przyczyny naukowe, by traktować serio możliwość, że rozumne życie będzie w stanie dopasować ten nasz Wszechświat do swoich własnych celów"*.

Tak, to rzeczywiście chyba najdziwniejsza i najbardziej odważna konkluzja, jaką można zakończyć rozważania o końcu Wszechświata.

■

Marek Krzysztof Zalejski



Nowe „Feniksy"



W numerze sierpniowym (1986 r.) „Fantastyki" pisałem o trudnościach, jakie przeżywał kwartalnik literacko-krytyczny PSMF „Feniks", obiecując jednocześnie poprawę i regularne ukazywanie się kolejnych numerów. Mój optymizm okazał się uzasadniony. W chwili gdy piszę te słowa (połowa listopada 1986 r.) wyszedł już z drukarni siódmy numer „Feniksa", a następne dwa kończące rok 1986 są już w druku i powinny pojawić się na rynku w najbliższym czasie. Tym samym wszystkie opóźnienia zostałyby nadrobione.

Do najciekawszych pozycji w wydanych dotychczas numerach należy zaliczyć pięć opowiadań Franka Herberta (autora „Diuny"), „Teatr" Edmunda Wnuka-Lipińskiego, „Kajomars" Wiktora Żwikiewicza, „Władcę szczurów" Rafała A. Ziemkiewicza, dwa opowiadania Roberta Silverberga oraz „Pierścienie chwały" Thomasa R. Dulskiego. W „Feniksie" pojawiła się też nowa rubryka, opatrzona nadtytułem „Książka i film". Zamieszczane są tam (w całości lub we fragmentach) teksty literackie, na podstawie których zostały nakręcone sławne filmy fantastyczne oraz opracowania krytyczne dotyczące tych filmów.

„Feniksa" można jeszcze zaprenumerować pisząc do Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki (00-973 Warszawa, skr. poczt. 77).

Niestety, sytuacja z drugim periodykiem PSMF, „SFerą", przedstawia się trochę gorzej. Dotychczas ukazał się dopiero czwarty numer tego dwumiesięcznika. Pozostaje tylko wierzyć, że złe fatum ciążące nad „SFerą" zniknie i opóźnienia zostaną nadrobione.

Konkurs plastyczny

Podlaski Klub Miłośników Fantastyki „Taurus" ogłosił pod patronatem PSMF konkurs malarstwa i grafiki SF, adresowany wyłącznie do uczniów średnich i wyższych szkół o profilu artystycznym. Przewidziane są liczne nagrody, najlepsze prace zostaną wystawione w trakcie „Polconu'87". Zainteresowanych prosimy o szybki kontakt z Podlaskim KMF „Taurus" (15-089 Białystok ul. Kilińskiego 11, Spółdzielczy Dom Kultury).

Mak

Konkurs na short stories

Klub Twórców Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki ogłasza I Ogólnopolski Konkurs na Short Stories.

Nigdzie dotąd nie publikowane prace o objętości nie przekraczającej dwóch stron znormalizowanego maszynopisu, prosimy nadsyłać w trzech egzemplarzach w terminie do 30 kwietnia 1987 r. pod adresem: Klub Twórców PSMF, ul. Barcelońska 1, 02-762 Warszawa.

Prace konkursowe powinny być opatrzone godłem. Dane personalne autora należy podać w zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem. Nadesłanych prac nie zwracamy. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwodruku nagrodzonych utworów.

(raz)

1974 (dokończenie)

986. *MATERIAŁY z międzynarodowego spotkania pisarzy – twórców literatury fantastyczno-naukowej.* Poznań, 11–14 września 1973. Aut.: Elka Konstantinova [i in.]. Red. i przedm. Jerzy Kaczmarek i Bronisław Kledzik. Wstęp Czesław Chruszczewski. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 269, nlb 2, tabl. 4, portr., Rez., Sum. 2000 egz. – Wyd. na zlecenie Urzędu Wojewódzkiego w Poznaniu i Urzędu Miasta Poznania. – Na okł. tyt.: *MIĘDZYNARODOWE spotkanie...*
987. SPEINA Jerzy: *Bankructwo realności.* Proza Brunona Schulza. Poznań. Państw. Wyd. Nauk. 8° ss. 114, nlb. 2. Zsfg. 1000 egz. – Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Prace Wydziału Filologiczno-Filozoficznego, t. 24, z.1.
988. STĘPIEŃ Marian: *Bruno Jasieński.* Kraków. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 34, nlb. 2. 2 200 egz. PAN Oddział w Krakowie. Nauka dla Wszystkich, nr. 222.
989. TREPKA Andrzej: *Wizjoner kosmosu Konstanty Ciołkowski.* Katowice. Wyd. „Śląsk". 16° ss. 414, nlb., 6 tabl. 10, bibliogr. 10 000 egz.

„Zagadki nauki" (MS):

990. von DAENIKEN Erich: *Wspomnienia z przyszłości. Nierozwiązane zagadki przeszłości.* Tłum. [z niem.] Leonia M. Gradstein i Eligiusz Kodur. Posłowie Marek Marciniak i Olgierd Wołczek. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 174, nlb. 2, tabl. 15, bibliogr. 30 000 egz.
IŁOWIECKI M.: *Nowy...* – zob. F.
FAKTY, hipotezy, zagadki. W: *Kroki...* – zob. ASF.
LEM S.: *Summa...* – zob. F.
991. (?) [LITINĔCKIJ Izot B.]: *Spotkanie z bioniką.* Tłum. z ros. Hanna Dobrowolska. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° ss. 484, nlb. 4. 10 000 ezg. – Złota Seria Literatury Popularnonaukowej („Wendtowska"). Na k. tyt. nazw. aut.: Litynіecki. – Dotyczy m.in. „zagadek nauki" związanych z bioniką.
992. OPACZEWSKI Zbigniew: *Hipnopedia. Nauczanie we śnie naturalnym.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss.133, nlb.3, bibliogr. 3000 egz.

Futurologia (F):

993. BRATKOWSKI Stefan: *Przyszłość gatunku Homo sapiens. W: CZŁOWIEK wśród ludzi.* Red. Halina Milicerowa. Warszawa. Wiedza Powszechna. 8° s. 577–651. 20 000 egz.
994. HUSÉN Torsten: *Oświata i wychowanie w roku 2000.* Tłum. [z ang.] Józef Radzicki. Warszawa. Państw. Wyd. Nauk. 16° ss. 142, nlb. 3. 5000 egz.
995. IŁOWIECKI Maciej: *Nowy, niezbyt wspaniały świat.* Warszawa. Wiedza Powszechna. 16° ss. 457, nlb. 1. 10 000 egz. – F/MS.
996. LEM Stanisław: *Summa technologiae.* Wyd. III. Kraków. Wyd. Literackie. 8° ss. 505, nlb. 2, bibliogr. 10 000 egz. – F/MS.
997. LUBAS Bolesław, PODWYSOCKI Tadeusz: *Jutro kształtuje się Dzisiaj.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 170, nlb. 2, bibliogr. 10 000 ezg.
998. SUCHODOLSKI Bogdan: *Oświata i człowiek przyszłości.* Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 350, nlb. 2. 4000 egz.
999. SZPILEWICZ Aleksander: *Surowce dla przyszłości. Paliwa i energia.* Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 161, nlb. 2, mapy. 10 000 egz. – Prognozy. Perspektywy.
1000 TOEFFLER Alvin: *Szok przyszłości.* Tłum. [z ang.] Elżbieta Ryszka i Wiktor Osiatyński. Przedmowa Jan Danecki. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 559, nlb. 5, bibliogr. 15 000 egz. – Wersja skrócona, autoryzowana.

1975

SF dla dorosłych (ASF):

1001. ALDISS Brian W[ilson]: *Non stop.* Tłum. [z ang.] Marek Wagner. Warszawa. Iskry. 16° ss. 316, nlb. 4. 50 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1002. AUDRY Colette: *Ta druga planeta.* W: *Ta druga planeta* [oraz *Agent*]. Tłum. [z franc.] Ewa Fiszer. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° s. 5–120. 50 000 egz.
1003. *BARDZO dziwny świat.* Opowiadania fantastyczne. Aut.: Frederic Brown [i in.]. Tłum. z ang. i ros. Wyd. I w tym wyborze. [w metryczce mylnie III]. Warszawa. Książka i Wiedza. 16° ss. 164, nlb. 4. 75 000 egz. – Koliber – Stanowi wybór z „Kroków w nieznane". T.I. (poz. 703/70).
1004. BIOY CASARES Adolfo: *Wynalazek Morela.* Prolog Jorge Luis Borges. Tłum. [z hiszp.] Andrzej Nowak. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 93, nlb. 3. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy. – ASF/AF.
1005. BORUŃ Krzysztof: *Próg nieśmiertelności.* Warszawa. Iskry. 16° s. 236, nlb. 4. 30 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1006. ČAPEK Karel: *Inwazja jaszczurów.* Tłum. [z czesk.] Jadwiga Bułakowska. Wyd. III [w metryczce mylnie IV]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 295, nlb. 1. 40 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej.
1007. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Fenomen kosmosu.* Powieść. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 317, nlb. 3. 15 000 egz. – SF.
1008. CHRUSZCZEWSKI Czesław: *Rok 10 000.* Opowiadania fantastyczne. Wyd. II. Poznań. Wyd. Poznańskie. 16° ss. 342, nlb. 2. 20 000 egz. – SF.
1009. DICK Philip K[indred]: *Ubik.* Tłum. [z ang.] Michał Ronikier. Posłowie Stanisław Lem. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 268, nlb. 1. 20 000 egz. – Stanisław Lem poleca.
1010. FIAŁKOWSKI Konrad: *Kosmodrom.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 214, nlb. 2. 40 000 egz. – Fantastyka, Przygoda – Stanowi właściwie II wyd. „Wróbli galaktyki", uzupeł. opowiadaniem „Adam i Ewa".
1011. GÓREC-ROSIŃSKI Jan: *Beczka Diogenesa.* W: *Z nie domkniętych okien.* Opowiadania. Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° s. 121–191. 5000 egz.
1012. HOLLANEK Adam: *Muzyka dla was, chłopcy.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 201, nlb. 3. 20 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
KOREYWO M.: *Ludzie z planety...* – zob. CJSF.
1013. KOZŁOWSKI Tadeusz: *Poślizg.* Warszawa. Iskry. 16° ss. 233, nlb. 3. 20 000 egz. – Fantastyka, Przygoda.
1014. LEM Stanisław: *Odruch warunkowy.* Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 65, nlb. 3. 30 000 egz. – Stało się Jutro. Opowiadań fantastycznych zbiór czwarty.
1015. LEM Stanisław: *Opowiadania wybrane.* Wyd. II. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 452, nlb. 3. 30 000 egz. – Zestaw ten sam, co w wyd. I., poz. 869/73.

cdn.

Przygotował **Jacek Izworski**



Szulkinada!

Ciężka sprawa z Szulkinem. Po „Golemie", „Wojnie światów" i „O bi, o ba" – także najnowsze jego dokonanie – „Ga, ga – chwała bohaterom" to film fantastyczny. Za poprzednie zbierał reżyser nagrody na międzynarodowych fantastycznych festiwalach. Aż tu nagle, przyciśnięty przez poirytowanych dziennikarzy, wyznał na festiwalu w Gdańsku, że nie gustuje w konwencji SF i nie czuje się w niej kompetentny.

Niekompetentny? W konwencji fantastycznej? Rozumiem zastrzeżenia dziennikarzy, ale podzielam je tylko częściowo. Nie istnieje dziś nic jednoznacznie określonego, co mogłoby za taką konwencję uchodzić. Jeśli zaś konwencja istnieje, to Szulkin ją rozsadza i przekracza. W porównaniu z popularnym wyobrażeniem kina SF jako logicznej opowieści o egzotycznych przestrzeniach, przemierzanych przez metaliczne krążowniki, wyposażone w perfekcyjne komputery, obsługiwane przez postacie w nienagannych skafandrach – dają nam filmy Szulkina zdecydowanie za mało. Albo za dużo.

Przyjrzyjmy się metodzie reżysera w ostatnim filmie, bowiem tutaj zdaje się ją doprowadzać do krańca. Stadion Dziesięciolecia udaje w „Ga, ga" lądowisko obcej planety. Zsyp na śmieci staje się włazem kosmicznego krążownika. Komputer pokładowy wygląda jak piecyk, a w ewentualnym zebraniu rozproszonych myśli może mu pomóc uderzenie młotka zawieszonego obok na sznurku. Przed odlotem w odległe przestrzenie heros kosmosu pije wódkę, a chorągiewka, którą miał zatknąć na nieznanej planecie zapodziewa się tuż przed startem. Ktoś ją ukradł. Dla syna.

Gdzie my jesteśmy? Ano w pierwszej Szulkinowskiej komedii: *„W XXI wieku, kiedy nikt już nie chce obierać trudnego i ryzykownego zawodu kosmonauty, zaczęto przymusowo wysyłać w kosmos więźniów, których zadaniem jest zdobywanie innych planet..."* Takie otwarcie czuć na milę grepsem, aluzją i wicem. Bo nie klasyką przecież, nie nawiązaniem do tradycji gatunku. Bardzo daleko stąd do ekranizacji „2001: Odyseja Kosmiczna", „Solaris", „Star Trek"; niewiele bliżej filmów nowoczesnych, wyłamujących się z konwencji umownej jak „Koziorożec 1" czy „Blade Runner".

Na dziwnej planecie ląduje bohater-więzień-Scope. Oczywiście nie jest to żadna Australia–458, tylko nasza Ziemia zamieszkana przez potworne ludzkie marionetki. Takie same jakie Scope zostawił w swoim układzie i podobne do tych znanych z poprzednich filmów Szulkina. Tu są oni więźniami kłamliwych gestów, żyją biednie, a podniecają się zbrodnią, którą ktoś popełnia za nich i niejako w ich imieniu, a potem za karę kona na krzyżu-palu, dostarczając im jeszcze sadystycznej rozkoszy. Czy można w myśl jakiejś wyrodzonej metafizyki odkupić ich swoją męką? Tak czy owak pale wbite już w grunt czekają na bohaterskich zbrodniarzy, a w telewizji spikerzy opowiadają widzom o trudach umierania z kołkiem w tyłku. Bohaterów-zbrodniarzy tymczasem tuczy się, pieści, nakłania do przestępstw, zastawia na nich różne pułapki i podsuwa im piękne istoty płci odmiennej, jak bykom jałówki przed corridą.

Wszystko to jest potrzaskane, miejscami śmieszne, miejscami wstrętne, grepsiarskie, wyraźnie poklejone z różnych rzeczy i różnych inspiracji. Szulkin przyznaje się w czołówce do zapożyczeń z prozy Jabłońskiego i filmu „Ser" Pasoliniego. To drugie, to właściwie nowela filmowa, opowiadająca o statystującym w filmie o Chrystusie głodomorze, który nadużywa rozkoszy stołu i potem jako jeden z ukrzyżowanych łotrów naprawdę umiera na planie. Ale to jest zmyłkowy trop, reżyser spowiada się z mniej ważnych zapożyczeń, by ukryć bardziej istotne. Za ową Australią–458 aż przebierającą z podniecenia nogami na myśl o bohaterze, który narozrabia, a potem publicznie wyzionie ducha na owalnym stadionie – rozpoznaję przetworzonego po Szulkinowsku Kubę Rozpruwacza. Tego Kubę, którego bezeceństwami nasładzali się mieszkańcy miasta przyszłości z noweli Harlana Ellisona „Grasujący w Mieście na Krawędzi Świata". Kilka lat temu drukował nowelę „Przegląd Techniczny". Szulkin musiał to czytać.

Trop jest wyraźny, ale Szulkin przerabia to i pokazuje po swojemu. Podobnie jak w „Wojnie światów" oglądamy tu znowu telewizyjno-policyjną manipulację mającą zaprowadzić bohatera na miejsce kaźni. Dodaje Szulkin przerażającą, zniekształconą mistykę Krzyża, dodaje serię portretów małych i większych łajdaków, wśród których wyróżniają się grający na granicy dobrego smaku mistrz ceremonii w wykonaniu Stuhra i stanowczo już przerysowana prostytutka w wykonaniu Stalińskiej. A fantastyczność? – cóż, jak zwykle skąpie Szulkin swój plan w podświetlonej niebieskiej mgiełce, a przez ulice miasta planety Australia–458 przejadą co jakiś czas tajemniczy motocykliści z pochodniami. Natomiast w miejsce Ellisonowskiego prucia flaków dostajemy hot-dogi z ludzkimi paluszkami w środku i ręce oderwane od torsów policjantów oraz inne jeszcze, które wyskakują z szafy, by chwycić bohatera za gardło. W tym z kolei znać dodatkową inspirację komiksem i filmem komiksopodobnym, które Szulkin obejrzał, wydrwił, skontestował, a jednocześnie pożywił się ich poetyką i ich makabrą.

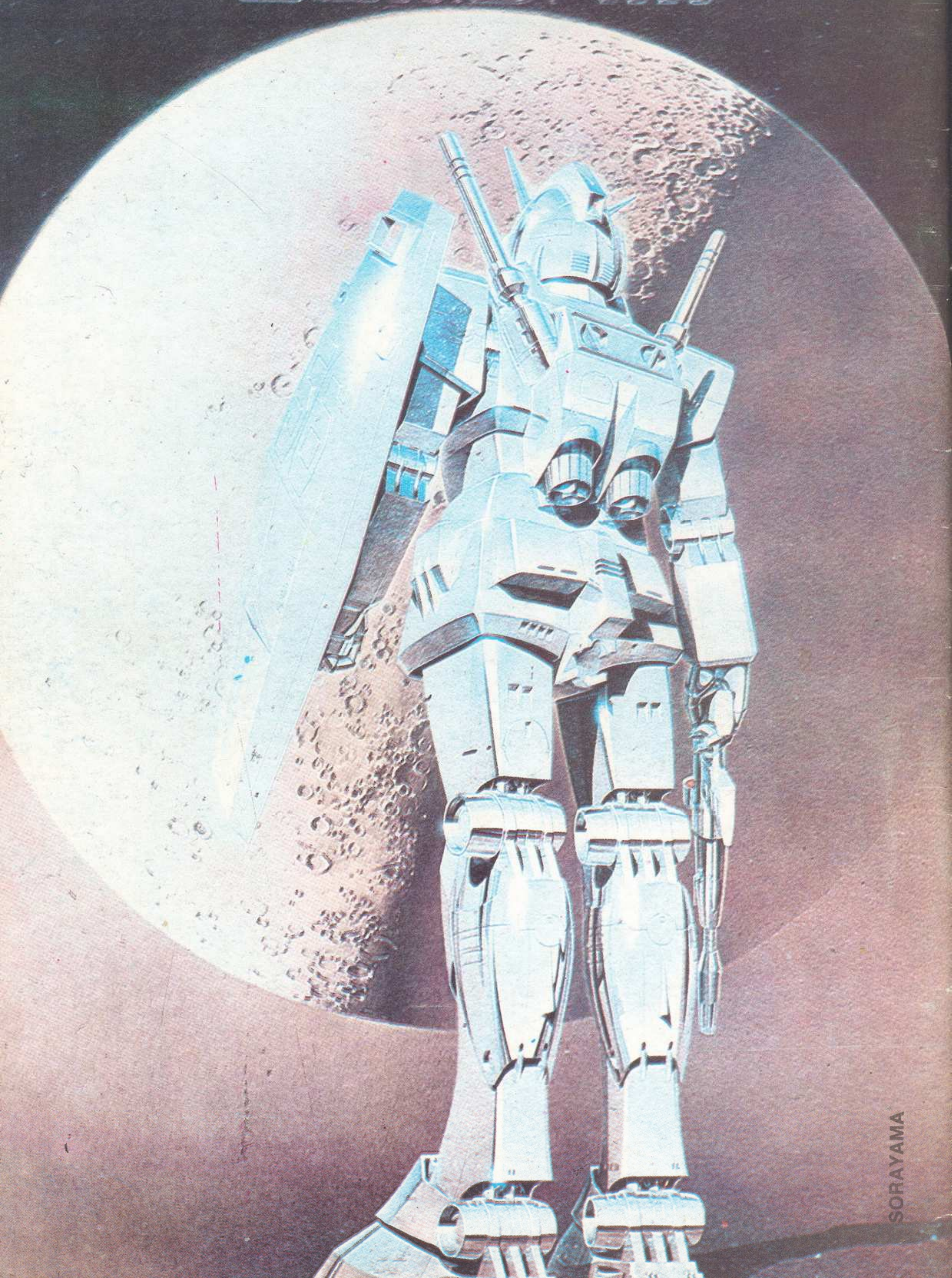
Nic tu nie jest na serio. Nic nie dopowiedziano do końca. Reżyser rozluźnia reguły logiki za cenę gestu, efektu, chwilowej śmieszności. Nawet happy end przyklejono do tej nieforemnej opowieści sztucznie i na siłę, żeby przyciągnąć widzów. Zmęczony i bierny właściwie bohater (Olbrychski) spotkał nie zużytą jeszcze, bo młodą i piękną Once (Figura); o nią jedną naprawdę zawalczy i potem uciekną oboje *„Poza Australia–458 żyć będą odtąd długo i szczęśliwie, dając początek nowej cywilizacji".* Wolne żarty. Prawdziwie w tym filmie konsekwentna jest tylko zaciekłość, z jaką reżyser wykpiwa, przedrzeźnia, kompromituje swoje człekokształtne istotki, nizając na nitkę epizody dowodzące ich małości, sprzedajności i fałszu. Wszystko zmarnują, spieprzą, nawet z Ofiary Krzyża zrobią wredną parodię. Szulkin mówi widowni – tacy jesteście. Ale widownia bodajże woli usłyszeć – takimi nas zrobiono. Dzięki temu elementarnemu niedogadaniu możliwe jest instytucjonalne i publiczne funkcjonowanie Szulkina.

W rzeczywistości film jest niespójny, w dokładnym czytaniu ujawnia duże nielogiczności. Mimo to ta koszmarna wizja przebrana za powiastkę filozoficzną ma siłę perswazyjną i jednak robi wrażenie. Szulkin idzie obok traktu światowej SF, zdaje się przeprowadzać swoisty test na odporność gatunku na deformacje, ale na razie stale wychodzi mu fantastyka. Raczej młoda fantastyka, w stylu zbliżona do punk, w każdym razie na pewno nie fantastyka Zajdlowska. Zajdel był nieskończenie bardziej od Szulkina precyzyjny, jego społeczne mechanizmy działają jak zegarki, a poza tym Zajdel nigdy nie tracił nadziei. Tej zaś Szulkin nie ma od dawna. Od początku.

Ciężka sprawa z Szulkinem. Odcina się od fantastów, trochę ich lekceważy, sądzi pewnie, że im zagrał na nosie, wypatruje więc widzów poza gettem SF, ale tak naprawdę trafia tylko do nas. My jedni łamiemy jego fantastyczne kody bez trudu. My jedni możemy mu wybaczyć odstępstwa od kanonu – poprawnie, gładko, połyskliwie zrobionego filmu SF. W każdym razie możemy próbować. Znamy przecież te kanony na pamięć i tak bardzo w głębi ducha jesteśmy nimi znudzeni. Ale inni, jak słychać, nie mający naszego treningu, zaczynają już być znudzeni poetyką Szulkina.

Maciej Parowski

GA, GA – CHWAŁA BOHATEROM. Scenariusz i reżyseria: Piotr Szulkin. Zdjęcia: Edward Kłosiński. Grają: Daniel Olbrychski, Katarzyna Figura, Jerzy Stuhr, Bożena Dykiel, Mariusz Benoit, Marek Walczewski, Dorota Stalińska i inni. Zespół „Perspektywa", 1985.


SORAYAMA